tygodnikprzeglad.pl

Nr 52 (1146)
20-26.12.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Przegląd

NUMER NA ŚWIĘTA

Prof. Kazimierz Banek
Plagiaty w Biblii

Prof. Marcin Kula
Historia chwalebna i haniebna

Jacek Pałkiewicz
Święta na krańcu świata

Byłem ogrodnikiem
Krzysztofa Pendereckiego

Ewa Wachowicz
Wigilia z tradycjami

Zjazd na nartach
z ośmiotysięcznika

OD WOŁYNIA DO WESELA

Michalina Łabacz

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
52 >
9 771509 311102

prasa.pl 659b2c71ae

Dobry prezent – dobra książka

Ilość stron: **248**
Oprawa: **miękka ze skrzydełkami**

Ilość stron: **208**
Oprawa: **twarda z obwolutą**

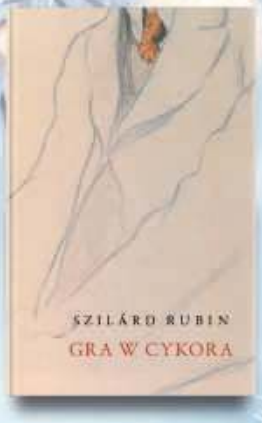

Ilość stron: **224**
Oprawa: **twarda z obwolutą**

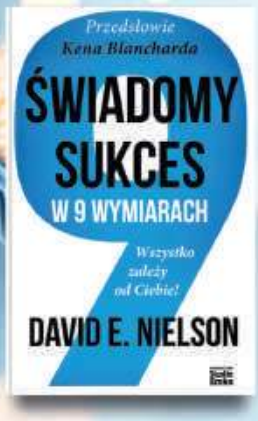

Ilość stron: **224**
Oprawa: **miękka ze skrzydełkami**

Ilość stron: **372**
Oprawa: **miękka ze skrzydełkami**

Ilość stron: **240**
Oprawa: **miękka**

Ilość stron: **232**
Oprawa: **miękka**

Ilość stron: **236**
Oprawa: **miękka ze skrzydełkami**

Ilość stron: **320**
Oprawa: **miękka**

WYDAWNICTWO Studio Emka

www.studioemka.com.pl **tel.: +48 22 616 00 67**

eprasa.pl 659b2c71ae

Jerzy Domański

Nie jesteście sami

Choć tematów do rozmów w czasie świątecznych spotkań nie brakuje, to tego jednego nie da się ominąć. Nie obejdzie się bez pytań o szczepienie. A stąd już krok do awantury. Bo w tej sprawie zachowania naszych bliskich i znajomych tak się rozjechały, że coraz trudniej o normalne rozmowy. Źle było już rok temu. Ale teraz jest dużo gorzej. Widzimy to na każdym kroku. Więcej agresji, egoizmu, zadufania i wiary w internetowe głupoty.

Haniebnie nieudolna wojna rządu z pandemią pustoszy nasze psychiki. Pogłębia i tak już ogromną nieufność między Polakami. Jesteśmy w diabelskim rozkroku między dominującym strachem a bezmyślną brawurą. U większości covid wzmaga lęk o własne życie i zdrowie. Ale ta większość i jej prawo do bezpiecznego życia bardzo słabo interesuje rządzących. Sądzę, że nasi czytelnicy należą do tej rozumnej większości ludzi zaszczepionych. Czyli do tej większości, która jest gnębiona podwójnie. Przez covid i przez władzę z niby-Zjednoczonej Prawicy. Dla Kaczyńskiego, Morawieckiego i Niedzielskiego o wiele ważniejsi są antyszczepionkowcy. Nie ma takiej bredni, której by już nie wygłosili ku aprobacie tych kilkunastu procent Polaków gwarantujących im mandaty poselskie. Posłowie antyszczepionkowcy są też w klubie PiS i Solidarnej Polski. Czy mamy więc finał gier Kaczyńskiego? Tak długo dokładał z państwowego dzbana do obozu władzy kolejne miernoty, aż mu się ucho urwało. A im większego palanta przygarnął, tym większy ma z nim problem. Wstydu nie liczę, bo to kategoria w PiS nieznana.

Parszywa relacja władzy z antyszczepionkowcami jest faktem. I czas ją nazwać bez owijania w bawełnę. PiS i związane z nim partyjki plus prezydent Duda to antyszczepionkowcy. Decyzje, które podejmują, nie zostawiają złudzeń. Reszta, czyli to, co pokrętnie mówią, to pic. Sprytnie opakowany przez ekspertów medialnych.

Jeśli sięga się po władzę, to bierze się odpowiedzialność za rządzenie. Za podejmowane lub niepodejmowane decyzje. I za ich skutki.

To oni odpowiadają za to, że zmarło tylu ludzi. Że jesteśmy w światowej czołówce zgonów na covid. Że do tej tragicznej listy trzeba dopisać tych, którzy nie przeżyli, bo nie było dla nich miejsc w szpitalach. Bo służba zdrowia jest fatalnie zorganizowana.

Życzę więc Państwu jak najlepszego zdrowia, by doczekać normalnego i sprawiedliwego państwa.

Drodzy Czytelnicy i Przeglądowa Rodzino,
życzymy Wam świąt w dobrym zdrowiu i przyjaznym otoczeniu. Wspierajmy się. Nie jesteście sami.
Zespół PRZEGLĄDU

CZYTAJ I WSPIERAJ

Drodzy Czytelnicy, dzięki Wam wydajemy nasz tygodnik i kolejne książki. W ciągu 20 lat wokół redakcji skupili się ludzie, których łączy podobne myślenie. Jesteśmy niezależni od polityków i reklamodawców. Dzięki Waszemu wsparciu rozwijamy naszą społeczność i obecność na Facebooku, YouTubie i Instagramie. Powiedzcie o tym wszystkim, którzy jeszcze nas nie znają.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy o darowizny na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta

KAŻDA ZŁOTÓWKA MA ZNACZENIE!

BĄKOWSKI

eprasa.pl 659b2c71ae

W NUMERZE

HISTORIA
8 **Plagiaty w Biblii**
– rozmowa z prof. Kazimierzem Bankiem
42 **Czyny chwalebne i haniebne**
Jakiej historii Polska potrzebuje

KRAJ
12 **Amantadyna – historia półprawd**
Lekowa dezinformacja
18 **Gdy Kościół przejmują radykałowie**
Niebezpieczni wierni
22 **Maestro i jego ogrodnik**
40 lat z Krzysztofem Pendereckim
26 **Prawica rządzi w internecie**
Czym zawojowali sieć

PSYCHOLOGIA
14 **Wszyscy jesteśmy na misji specjalnej**
– rozmowa z Ingą Duszą-Nowak

ZAGRANICA
30 **Przybieżeli i co dalej**
Polacy w Wielkiej Brytanii
34 **Kanclerz bez boskiej pomocy**
Korespondencja z Niemiec

KULTURA
38 **Miśka, pamiętaj, prawda jest najważniejsza!**
– rozmowa z Michaliną Łabacz
41 **Qulturalia**
66 **Sztuka w prezencie**

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY
46 **Problemy z dialogiem społecznym**
47 **Warto spokojnie rozmawiać**

OBSERWACJE
48 **Święta z Ewą Wachowicz**
Najlepsze przepisy
51 **Prezenty z historią**
Panda pod choinkę
53 **Żeby szybciej wrócić z gór**
Na nartach z ośmiotysięcznika
58 **Jacek Pałkiewicz. Obywatel świata o bożonarodzeniowych świętach**

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Nie jesteście sami
17 **Jan Widacki**
Cicha noc, święta noc
21 **Andrzej Romanowski**
Is fecit cui prodest
25 **Roman Kurkiewicz**
Miałem milczeć, zawarczę
29 **Andrzej Szahaj**
Bezwstyd nasz powszedni
33 **Tomasz Jastrun**
Sypianie z wrogiem

22
KRAJ

MAESTRO I JEGO OGRODNIK
40 lat z Krzysztofem Pendereckim

48
OBSERWACJE

ŚWIĘTA Z EWĄ WACHOWICZ
Najlepsze przepisy

53
OBSERWACJE

ŻEBY SZYBCIEJ WRÓCIĆ Z GÓR
Na nartach z ośmiotysięcznika

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF WIKTOR/FILM IT, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 659b2c71ae

Gambit Jaruzelskiego

Sukces stanu wojennego w sensie techniczno-logistycznym zawdzięczamy profesjonalizmowi ekipy, która ten stan przeprowadziła. Każda śmierć z tego powodu była obciążeniem, za co Generał wielokrotnie przepraszał. Społeczeństwo było bardzo zmęczone „karnawałem Solidarności". Co z karnawału, jak do garnka nie było co włożyć? Dlatego społeczeństwo milczącą postawą akceptowało wprowadzenie stanu wojennego. Część prawicy nazywa te postawy oportunizmem społecznym. Ale dzięki temu rozsądnemu oportunizmowi krew nie lała się strumieniami. Dziś, z perspektywy 40 lat, bilans mamy zgoła inny. Teraz nasza rzeczywistość to 500 ofiar covidu dziennie, nieudolna ekipa rządząca, co chwila jakieś afery korupcyjne. Czy o to szło?

Tadeusz Kalinowski

•

Ówczesna opozycja zawsze będzie przeciw wprowadzeniu stanu wojennego, a prawdę mówiąc, na tym ci ludzie zbudowali swoją legendę. Walczyli, byli internowani, a potem jedno wspólne zdjęcie z Wałęsą i proszę, oto jest wybraniec narodu. Wielu sprytnych z tego skorzystało, a rzesza robotników została szybko zapomniana.

Andrzej Kościański

•

Zenon Laskowik opowiadał, że podczas rejsu po Zatoce Gdańskiej wiedzieli wiele radzieckich okrętów. Wojska „sojuszników" były gotowe do interwencji. Stan wojenny był najlepszym rozwiązaniem. W 1992 r. widziałem rosyjską milicję. Pełen profesjonalizm, ale nie wiem, co u nas by się działo.

Radosław Wysocki

•

Nie brakuje nam różnych opracowań na temat stanu wojennego. Jednak często unika się w nich problemu alternatywy. Przed jakim wyborem – z jakimi konsekwencjami – stały ówczesna władza, struktury państwa z jego siłami zbrojnymi, w końcu całe społeczeństwo... Głównie z myślą o potomnych trzeba o tym mówić. Stale, otwarcie i dobitnie. Formułowane przez pięknoduchów hasło *no risk, no fun* sprowadziłoby nas do piekieł. Do dzisiaj stawialibyśmy pomniki, krzyże i obeliski poświęcone rodakom poległym, straconym, zaginionym...

Marek Zdziech

Dlaczego Kaczyński nas ogrywa?

Bo: jest intelektualnie sprawny, rujnować jest dużo łatwiej, niż budować, ludowi rozdaje łapówki, cwaniakom rozdaje stanowiska, ludowi daje lekceważenie elit, ma haki na cwaniaków, mściwym daje szansę się odgrywać itd.

BRAN

Dlaczego PiS gra antyniemiecką kartą?

Nie można wykluczyć, że to reakcja na niemiecką aktywność w sprawie ostatnich problemów na granicy polsko-białoruskiej. Pamiętajmy o telefonie Angeli Merkel do Łukaszenki. Niemiecka kanclerz, nie zwracając uwagi na krytykę ze strony Warszawy, odważyła się przejąć inicjatywę i doprowadzić do częściowego spadku napięcia. Upomniała się też o uchodźców, podkreślając, że pomoc humanitarna powinna polegać na współpracy z ONZ. To oczywiście nie mogło się spodobać wiadomo komu.

Grzegorz Arkuszewski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Obchodzący 13. urodziny Simba z BioParque w Rio de Janeiro otrzymał od opiekunów mięsny tort.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 659b2c71ae

Prawie 7,9 mln osób otrzymało 14. emeryturę w wysokości 1250 zł brutto, a ok. 1,2 mln osób kwotę mniejszą proporcjonalnie do wysokości emerytury.

Andrzej Skworz, redaktor naczelny, i zespół magazynu „Press" od 25 lat niestrudzenie wspierają niezależne i odpowiedzialne dziennikarstwo.

Sędzia Natalia Maszkiewicz z Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia uznała, że zatrzymanie przez policję Zbigniewa Komosy, który jednoosobowo protestował przed Kolumną Zygmunta z tabliczką „Nowy Polski Ład = Trybunał Stanu", **było „niezasadne, nielegalne i przeprowadzone w nielegalny sposób".** Podobnie oceniono zatrzymanie Arkadiusza Szczurka.

Zyta Rudzka została laureatką nagrody miesięcznika „Odra" za rok 2020. Doceniono jej powieści „Tkanki miękkie", „Krótka wymiana ognia" i „Ślicznotka doktora Josefa" tworzące oryginalny tryptyk, w którym na pierwszym planie są ludzie w starszym wieku.

Dr Michał Sierminski, historyk, który otrzymał nagrodę premiera Morawieckiego za rozprawę doktorską, całą kwotę, czyli 25 920 zł, przekazał inicjatywie Aborcja bez Granic. Odmówił bezpośredniego kontaktu z premierem.

9,8 mln użytkowników ma już polski Instagram. 59% osób korzystających to kobiety.

Premier Mateusz Morawiecki i minister Adam Niedzielski to politycy odpowiedzialni za paraliż służby zdrowia, bałagan i brak decyzji, skutkujące śmiercią tysięcy osób nie tylko na covid, ale też z powodu odwoływania planowych zabiegów.

Gdyby głupole mogły fruwać, ekipa Konfederacji zbliżałaby się do Marsa. **Dla poklasku prymitywów Winnicki, Berkowicz, Dziambor, Braun i Korwin-Mikke zbezcześcili pamięć ofiar obozów hitlerowskich, naśladując swoim transparentem „Szczepienie czyni wolnym" napis znad bramy w Auschwitz „Arbeit macht frei".** Debilizm dekady.

Na 64. miejscu wśród 180 państw znalazła się Polska w światowym indeksie wolności prasy przygotowanym przez organizację Reporterzy bez Granic.

NSZZ Solidarność pod wodzą Piotra Dudy doczekała się wniosku francuskich związków zawodowych o usunięcie jej z Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych zrzeszającej 92 krajowe konfederacje. Powodem jest poparcie udzielane przez Solidarność skrajnej prawicy.

Kibole Legii Warszawa, rozbestwieni bezkarnością i brakiem reakcji policji i prokuratury oraz kapitulacją władz klubu, **po przegranym meczu pobili zawodników drużyny.**

PRZEBŁYSKI

Jezus jeszcze bardziej zdziwiony

Wśród wielu obsesji Zbigniewa Ziobry w czołówce jest Jerzy Urban. Zamiast jeszcze głupiej ścigać sędziów, kieszonkowa wersja Kaczyńskiego zajmuje się zdziwionym Jezusem wpisanym w znak zakazu, czyli okładką „Nie" z sierpnia 2012 r. Ścigany przez prokuraturę, po ośmiu latach procesów, Urban został prawomocnie uniewinniony. Co w czasach dojnej zmiany nic jeszcze nie znaczy. A dla Ziobry wręcz doktryną jest, że sąd sądem, ale sprawiedliwość musi być po jego stronie. Złożył więc w sprawie Urbana skargę nadzwyczajną do Sądu Najwyższego. Do Urbanowego wieńca dołożył kolejny laur. Naukowy. Pierwszy przypadek skargi nadzwyczajnej z paragrafu o obrazę uczuć religijnych zostanie wpisany do historii procesów karnych. Minęło prawie dziesięć lat, a Jezus jest jeszcze bardziej zdziwiony. Teraz tym, że można robić takie numery jak rządząca prawica. Urban to przewidział i to pewnie tak wkurza Ziobrę.

Kulesza wyraża sprzeciw

Bandyci przebrani za kiboli rządzą. W Warszawie katują piłkarzy Legii, w Radomiu policjantów, a w wielu innych miastach każdego, kto im się trafi. Są coraz brutalniejsi. I bezczelniejsi, bo wyryczane hasło „Bóg-honor-ojczyzna" czyni ich bezkarnymi. Policja może ich ruszać dopiero w samoobronie. Co w tej dramatycznej sytuacji robi PZPN i jego nowy prezes Cezary Kulesza? Jako stały bywalec stadionów na meczach Legii i Jagiellonii od dawna widzi ten syf. Pierwszy kryzys za jego kadencji to od razu katastrofa. Zamiast twardo zareagować wspólnie z prokuraturą i policją, PZPN miauknął: „Wyrażamy sprzeciw wobec…" i dalej: „Będziemy wspierać starania na rzecz…". Tego nawet obśmiać się nie chce.

Królikowska-Avis nadaje na innych falach

Podobno ci, którzy mają słaby kontakt z rzeczywistością, żyją dłużej. Jeśli to prawda, to Elżbieta Królikowska-Avis może liczyć na długowieczność. Jest jak koń z klapkami na oczach. Mało co widzi. A jeszcze mniej, nie obrażając konia, rozumie. Biuletyn SDP „Forum Dziennikarzy" zamówił u niej tekst o organizacjach dziennikarskich. Wiedzieli, co robią. Królikowska-Avis spisała się wybornie: „W Polsce mamy tylko jedno znaczące stowarzyszenie dziennikarzy – SDP". Myśli bidulka, że SDP, biorąc miliony od dojnej zmiany, jest jeszcze niezależną organizacją. A wystarczyłoby Królikowskiej-Avis rozejrzeć się, wchodząc do Domu Dziennikarza przy Foksal. Jest tam wiele stowarzyszeń i organizacji. I żadna nie jest tak obrzydliwie usługowa wobec władzy jak SDP. Co do E.K.-A. już nie mamy złudzeń. Trudno uwierzyć, że w nowym roku prawda ją wyzwoli.

Jak doi ciotka S

Pisaliśmy o wielkich wpływach Ordo Iuris w czasach dojnej zmiany. To dla uzupełnienia dorzucamy wyczyny Solidarności (tej od Dudy). W spółkach, które nadzoruje wicepremier Sasin, solidarnościowcy mogą wszystko. Prezesi zarządów jedzą z ręki bonzom z zakładowych organizacji ciotki S. A jak nie chcą słuchać ich żądań, to won. Jakieś przykłady? Robert Choma, prezes, i Piotr Skrzyński, wiceprezes PGE Obrót. Wystarczyła pikieta związkowców przed biurem zarządu w Rzeszowie i zarząd wyleciał na zieloną trawkę. Podobnie Barbara Piontek, która prezesem Jastrzębskiej Spółki Węglowej była od marca do lipca. I prezes Tauronu Paweł Strączyński, któremu Solidarność dała porządzić cztery miesiące. Misie od Dudy (Piotra) bywają więc antyrządowe. Choć bez przesady. Wystarczy im sypnąć kasą. Obywatelu, twoją kasą.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 659b2c71ae

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy covid zmienił nastawienie Polaków do świąt?

PROF. STANISŁAW OBIREK,
teolog, historyk, antropolog kultury, UW

W moim przekonaniu wpływ epidemii na postrzeganie przez Polaków świąt powinien być widziany w szerszym kontekście tego, jak ona nas zmieniła. Święta, owszem, są szczególnym okresem, ale zachowania w tym czasie stanowią odzwierciedlenie, a może zwielokrotnienie tego, co obserwujemy od dwóch lat. Niestety, nasze społeczeństwo bardzo negatywnie wyróżnia się na tle innych swoim stosunkiem do covidu. Radykalnie niższy odsetek osób zaszczepionych oznacza, że Polacy nie traktują poważnie tego zagrożenia, a dodatkowo potwierdza to popularność wszelkiej maści antyszczepionkowych hochsztaplerów. Deklarowana troska o najbliższych w ogóle nie zaowocowała zachowaniami prospołecznymi, nie ma powszechnie dostrzegalnych przejawów dbałości o to, by nie zarażać innych, w tym własnej rodziny. Podsumowując, oceniam polskie społeczeństwo jako niedojrzałe, a covid jeszcze nasilił nieodpowiedzialne postawy.

DR MIRA MARCINÓW,
psycholożka, filozofka, PAN

Myślę, że wpływ pandemii na nasze podejście do świąt jest większy, niż chcemy przyznać. Chyba nigdy nie mieliśmy tylu obaw związanych z tym, czy uda nam się spotkać z osobami, z którymi chcielibyśmy spędzić ten czas. Zdajemy sobie sprawę, że pandemia może w ostatniej chwili pokrzyżować nam świąteczne zamiary. Dlatego wielu z nas ostrożnie podchodzi do planów związanych z tym czasem. Ale niepokój może też przeplatać się z wdzięcznością: bardziej doceniamy to, że możemy spotkać się w rodzinnym – choć często okrojonym – gronie. Z badań wynika, że jesteśmy przede wszystkim niezwykle zmęczeni pandemią, co może wzmagać obawy, czy damy radę przetrwać ten nierzadko stresujący czas. W dodatku, inaczej niż w zeszłym roku, również przecież pandemicznym, konflikty w gronie rodzinnym mogą dotyczyć różnic w podejściu do szczepień przeciw COVID-19. Przeczuwamy więc, że to może być ważny, ale niekoniecznie łatwy czas.

DR GRZEGORZ PIOTROWSKI,
antropolog kultury, socjolog, Europejskie Centrum Solidarności

Bez wątpienia wprowadził niejaką niepewność co do spotkań w większym gronie. Już słyszę dookoła np., że ludzie testują się przed wyjazdem na święta, zwłaszcza jeśli mają w nich uczestniczyć również osoby starsze czy w nie najlepszym zdrowiu. Natomiast wydaje mi się, że sama istota świętowania pozostaje niezmienna. Tradycja świąteczna jest w Polsce tak silna, że nasze przyzwyczajenia nie zmieniły się nawet podczas okupacji. By zmieniła je pandemia, musiałaby trwać 20 lat.

DANUTA ROSTKOWSKA,
czytelniczka PRZEGLĄDU

Epidemia bardzo różnie wpłynęła na polskie rodziny. Niektóre głębiej przeżywają każdy wspólnie spędzony czas, a już zwłaszcza wszelkie święta, bo silniej poczuły, jak kruche jest zdrowie i życie. Ale są i takie, które tak poróżnił stosunek do szczepień i różnego rodzaju zakazów, że w tym roku nie wszyscy ich członkowie przełamią się opłatkiem…

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 659b2c71ae

Plagiaty w Biblii

Odtworzenie tego, co w Starym i Nowym Testamencie zapożyczono z innych religii, nie jest specjalnie trudne

Rozmawia Paweł Dybicz

PROF. KAZIMIERZ BANEK
– historyk religii, były dyrektor Instytutu Religioznawstwa UJ

Panie profesorze, gdyby Biblię przepuścić przez program antyplagiatowy, to…

– Jeżeli byłby szeroko zakreślony, obejmowałby geografię, osoby, wydarzenia, piśmiennictwo, odkrycia archeologiczne itd., wskazałby splagiatowane treści, zapożyczenia w bardzo wielu miejscach. Zarówno w Starym, jak i w Nowym Testamencie.

Czy te zapożyczenia trudno odszyfrować?

– Nie, sprawa ich odtworzenia nie jest specjalnie trudna. Wystarczy znać sąsiednie cywilizacje i ich religie, zwłaszcza Egipt, Mezopotamię i cały starożytny Bliski Wschód. Biblia, a dokładnie Stary Testament, to tekst sakralny 12 plemion żydowskich. Plemiona te nie funkcjonowały w jakiejś próżni historycznej i geograficznej. Obok Kananejczyków, Fenicjan i Aramejczyków należały do większej grupy Semitów zachodnich. Mieli oni podobne panteony, podobne bóstwa. Głównym bóstwem wszystkich zachodnich plemion semickich był El, który w Biblii występuje jako Elohim, co jest liczbą mnogą od El. Dlatego mamy w judaizmie dwie tradycje: jahwistyczną i elohistyczną. U Semitów termin El z czasem zaczął być rozumiany jako Bóg, bóstwo. Te plemiona czciły, co mamy przekazane w Biblii, również innych bogów, głównie Baala, Aszerę i Astarte, a więc bóstwa kananejskie, które zwalczali kolejni prorocy izraelscy. To są obce bóstwa z punktu widzenia religii monoteistycznej, jaką stanie się religia żydowska. Ale ów program antyplagiatowy wychwyciłby też, że Psalm 104 jest wzorowany na egipskim „Wielkim hymnie do Atona", że opis potopu przypomina potop z sumeryjskiego „Eposu o Gilgameszu", że idea monoteizmu została zaczerpnięta od Echnatona i Zaratusztry, że idea Sądu Ostatecznego wzorowana jest na zaratusztrianizmie itd.

Zacznijmy od Egiptu, w którym żyła niemała diaspora żydowska.

– Była w jego niewoli przez dłuższy czas i musiała przesiąknąć kulturą egipską. Dowodzi tego choćby postać Mojżesza, który jest prorokiem i który miał się spotkać z Jahwe i przyjąć od niego nowe nauki. Mojżesz to postać tajemnicza, prawdopodobnie nie był Żydem, lecz Egipcjaninem. Został przejęty przez dwór faraona – opieram się na Biblii – kiedy miał trzy miesiące, i tam się wychowywał. Został więc wychowany w kulturze egipskiej i wierzeniach Egipcjan. Nie mówił po hebrajsku i reprezentował kulturę egipską. To widać nawet później. Kiedy ma objawienie Jahwe, Mojżesz mówi: „Jestem ciężkiej mowy i ciężkiego języka". Dlaczego? Bo nie znał hebrajskiego albo znał go bardzo słabo.

Mojżesz zaszczepił w plemionach semickich monoteizm.

– To jest sprawa kluczowa dla religii żydowskiej. Jak Mojżesz mógł wpaść na pomysł albo otrzymać objawienie o jednym Bogu – Jahwe? Otóż w tradycji Egiptu był taki ważny epizod w czasie panowania faraona Amenhotepa IV, co znaczy „Amon się cieszy". Amon był wtedy głównym bogiem egipskim. Amenhotep wprowadził rewolucję religijną, przyjął nowe imię, Echnaton („miły Atonowi"), i zaczął głosić chwałę jednego boga, Atona. Wprowadził więc monoteizm w Egipcie. Kapłanom związanym z kultem Amona, Ozyrysa, Izydy, Hathor, Atuma czy Re odebrano funkcje, świątynie i bogactwa. Warto tu przypomnieć, że Aton ukazywany jest w hymnach jako bóg jedyny, łaskawy i troskliwy, wszechwiedzący stwórca nieba, Ziemi i całego życia. To wszystko działo się pod koniec pierwszej połowy XIV w. p.n.e. A Mojżesz, jeśli faktycznie wyprowadził plemiona żydowskie z niewoli egipskiej, dokonał tego ok. 1270 r. p.n.e. Czyli 80 lat po śmierci Echnatona, pierwszego potwierdzonego źródłami faraona monoteisty. Monoteizm Mojżesza jest, jak się uważa w świecie nauki, zaczerpnięty z przemiany religijnej Amenhotepa w Echnatona.

Mojżesz dokonał więc w pewnym sensie rewolucji religijnej.

– Czytamy o niej w biblijnej księdze Exodus. Jahwe miał powiedzieć Mojżeszowi: „Nie będziesz miał cudzych bogów obok mnie. Nie będziesz się im kłaniał ani nie będziesz im służył, gdyż ja, Jahwe, jestem bogiem zazdrosnym i za występki ojców zsyłam kary na ich dzieci aż do trzeciego i czwartego pokolenia". A w księdze Leviticus jest napisane: „Ja jestem Jahwe, jestem Wasz Bóg, nie będziecie czynić tego, co czyni się w Egipcie, gdzie i Wy mieszkaliście kiedyś, nie będziecie czynić też tego, co czyni się w Kanaanie, do którego was poprowadzę. Nie wolno wam stosować się do ich obyczajów. Macie przestrzegać moich nakazów, zachowywać moje prawa".

Jak widzimy, Jahwe nie mówi do Mojżesza, że nie ma innych bogów,

eprasa.pl 659b2c71ae

on wie, że są inni bogowie w Egipcie i u Kananejczyków. Nie twierdzi, że to nie są bogowie, chce natomiast być jedynym bogiem dla plemion izraelskich. To nie jest klasyczny monoteizm, tylko monoteizm skierowany na jeden naród. Monoteizm narodowy.

Jak silne były wpływy religii ludów Mezopotamii na plemiona semickie?

– W Biblii są mocno zarysowane. Ważną postacią jest tu Abraham, który wyruszył z Ur do Harranu, a potem na tereny późniejszej Palestyny. Wielość wzmianek o Mezopotamii dowodzi, że Żydzi czuli swoją więź z dawną ojczyzną. I z niej zaczerpnęli motyw potopu, który opisany jest w „Eposie o Gilgameszu", bardzo starym tekście sumeryjskim, datowanym na XXVII w. p.n.e., spisanym prawdopodobnie już w XXV w. p.n.e. Znają też prawo talionu (oko za oko, ząb za ząb), wprowadzone w Kodeksie Hammurabiego, o czym wspomina jeszcze Jezus w którejś Ewangelii.

Biblię datuje się na 1200 r. p.n.e.

– W tym czasie powstały tylko pewne jej fragmenty. Natomiast cały tekst był tworzony przez kolejne pokolenia. Na przykład Księga Daniela powstała dopiero w II w. p.n.e. Czyli tworzenie Biblii to proces długotrwały. Jest to przecież nie tylko święta księga, ale również kronika tego narodu.

W „Enuma elisz" mamy więc pierwszy opis powstania świata. A co potem spotykamy w Biblii? Pierwsze zdanie jest takie: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię", czyli dokładnie to, co było w „Enuma elisz". Mamy tu wyraźnie zarysowane dwa podstawowe aspekty świata: niebo i ziemię. I to niebo jest traktowane jako pewna stała konstrukcja, coś w rodzaju nieboskłonu. Widocznie tak sobie wówczas niebo wyobrażano. W Biblii mamy zatem bezpośrednie odwzorowanie tego, co wcześniej Babilończycy wprowadzili do swojego systemu religijnego.

Noe to odpowiednik sumeryjskiego Utanapisztima z opowieści o Gilgameszu.

Na terenach Mezopotamii pojawił się również monoteizm.

– I z nim Żydzi zetknęli się po znalezieniu się w niewoli asyryjskiej, co zdarzyło się w 722 r. p.n.e., oraz w niewoli babilońskiej, kiedy w 586 r. p.n.e. Nabuchodonozor II zdobył Jerozolimę. Wtedy w Mezopotamii panował już zaratusztrianizm. Mamy więc monoteizm od strony Egiptu, przejęty przez Mojżesza od Echnatona, a od wschodu plemiona żydowskie poznają religię zaratusztriańską, która też uchodzi za jeden z najstarszych systemów monoteistycznych.

Koncepcję występowania w człowieku dobra i zła, a także ideę Anioła Stróża, Żydzi przejęli z zaratusztrianizmu.

Co Biblia przejęła z Mezopotamii, np. z Babilonu?

– Od czasów, kiedy wyłoniło się państwo babilońskie, dzięki Hammurabiemu w XVIII w. p.n.e., wśród dawnych, znanych bogów Mezopotamii (takich jak Anu, Enlil, Enki, Izyda) pojawiła się nowa postać – bóg Marduk. Żeby wyjaśnić, skąd się wziął i dlaczego stanął na czele panteonu, spisano poemat o stworzeniu świata „Enuma elisz", pochodzący prawdopodobnie z XVII-XVI w. p.n.e. Jest to skomponowana przez kapłanów Marduka opowieść o stworzeniu świata i ludzi. Marduk pokonał potwora żeńskiego Tiamat, ciało rozciął mieczem na dwie połowy i z jednej uczynił niebo, z drugiej ziemię.

To w niej pojawia się wątek Noego.

– Zgadza się. Biblijny Noe to odpowiednik sumeryjskiego Utanapisztima, z opowieści o Gilgameszu, któremu bóg Enki miał polecić zbudowanie statku – arki i zgromadzenie w nim rodziny oraz zwierząt. Czyli mamy tu spuściznę sumeryjsko-babilońską, która trafiła do Biblii. Ale w czasach niewoli asyryjsko-babilońskiej, która zakończyła się pod koniec VI w. p.n.e., przenikały też do judaizmu i do Biblii przeróżne idee wschodnie, głównie zaratusztriańskie. Chodzi tu zwłaszcza o Sąd Ostateczny, kwestię nagrody i kary pośmiertnej (niebo i piekło), czystość duchową i rytualną, zmartwychwstanie ciał, duszę nieśmiertelną. I te idee ukształtowały kulturę i wiarę żydowską, z czasem stały się dla religii żydowskiej pierwszoplanowe. Dowodem tego niech będzie *masziah*, którego później zgrecyzowano w Mesjasza. W biblijnej myśli żydowskiej to pomazaniec, człowiek, którego głowę pomazano olejem, przez co staje się królem. Ale pod wpływem zaratusztrianizmu, gdzie też jest podobna myśl o przyszłym zbawicielu ludzkości – Saoszjancie, Mesjasz będzie już nie tylko królem, lecz także Zbawicielem.

W historii religii odnotowuje się też wpływy irańskie, stosując teraźniejszą terminologię geograficzną, na plemiona semickie.

– Słusznie pan użył słowa irańskie, bo właśnie zaratusztrianizm powstał na terenie Iranu, później zdominowanego przez Persów, więc wpływy zaratusztriańskie to w rzeczywistości wpływy irańskie. Nie bardzo wiemy, kiedy żył Zaratusztra. Jego żywot datowany jest na XIV-VII w. p.n.e. Jeśli to XIV w., mamy wówczas epokę podobną jak egipskiego Echnatona. Generalnie przeważa pogląd, że Zaratusztra żył między XII a IX w. p.n.e. Pojawia się wówczas idea jednego boga, Ahura Mazdy, boga, który jest dobry i walczy ze złem. Ten dualizm – dobro i zło – który wprowadzili Irańczycy, mocno zaciążył na myśli żydowskiej i bliskowschodniej (np. manicheizm). Właśnie z zaratusztrianizmu Żydzi przejęli koncepcję występowania w człowieku dobra i zła. Dobro to jest duchowość, a zło to cielesność. Po śmierci ciała zmartwychwstaną, będzie Sąd Ostateczny oraz nagroda lub kara. Wiele wskazuje, że z zaratusztrianizmu zaczerpnięto też ideę Anioła Stróża. W zaratusztrianizmie były *frawaszi*, byty duchowe, które miały opiekować się konkretnymi ludźmi.

Żydzi uznali, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga.

– Nie tylko Żydzi.

Rzeczywiście, w wierzeniach egipskich człowiek został ulepiony z gliny przez Chnuma lub Ptaha.

– Bardziej Chnuma, bo na kole garncarskim ulepił człowieka. Poglądy na temat powstania świata i człowieka obserwujemy również w zaratusztrianizmie, gdzie człowiek

eprasa.pl 659b2c71ae

został stworzony w postaci Gajomarta a po jego śmierci z ziemi wyrosła para ludzka, Maszja i Maszjana. W Chinach było trochę inaczej, uważano, że bogini o nazwie Nügua stworzyła człowieka z błota albo gliny. Ci z błota to biedota, a ci z gliny to bogaci. W ten sposób usiłowano dokonać interpretacji rzeczywistości, a więc wyjaśnić, skąd się wzięły bieda i bogactwo.

Mojżesz to postać tajemnicza, prawdopodobnie nie był Żydem, ale Egipcjaninem.

Raczej tłumaczono podział klasowy.

– Owszem. W Biblii mamy natomiast Ewę, powstałą z żebra Adama. Skoro Bóg stworzył człowieka, to określił, jaki on ma być. Nie wiemy, jaki kolor skóry mieli Adam i Ewa, wobec tego pojawia się pytanie, skąd się wzięła np. czarna rasa bądź żółta, bo przecież wszyscy powinni mieć ten sam wygląd co Adam i Ewa.

Genetyka powinna to potwierdzić.

– Ale genetyka to już jest nauka.

Teraz duchowni mogą powiedzieć, że istnienie ras to wynik ewolucji człowieka.

– Którą to ewolucję ich poprzednicy jeszcze nie tak dawno mocno zwalczali. W ogóle nauka bardzo przeszkadza w trakcie upowszechniania koncepcji religijnych, ponieważ pokazuje, że są niespójne, mało racjonalne lub wręcz irracjonalne, jak to było chociażby z geocentryzmem uparcie popieranym przez Kościół aż do XIX w.

Wróćmy do Biblii. Gdzie widać więcej zapożyczeń: w Starym czy w Nowym Testamencie?

– To zależy, co rozumiemy przez Nowy Testament. On nie jest jednolity. Weźmy postać Jezusa. Jeśli w ogóle istniał, to miał na imię Joshua lub Jehoszua, które to imię zostało później zgrecyzowane na Jezus. W Ewangelii św. Łukasza czytamy, że do Marii przyszedł anioł Gabriel i oznajmił jej: „Oto poczniesz i urodzisz syna, i nadasz Mu imię Jezus. Będzie On wielki i zostanie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego ojca Dawida. Będzie królował nad domem Jakuba na wieki, a Jego królestwo nie będzie miało końca”. Nie ma tu mowy o tym, że Jezus będzie Bogiem, Zbawicielem, panem całego świata. On miał panować w Jerozolimie. Dopiero po śmierci Jezusa Paweł, który nie znał go w ogóle, rozpoczął działalność misyjną, w wyniku której z czasem rozbudowano doktrynę do tego stopnia, że Jezusa przemieniono w Boga. Dla mnie Nowy Testament to jedynie Ewangelie. Nie uznaję listów Pawła, ponieważ wykoślawił on pierwotną opowieść o Jezusie i to, kim on był. A był kimś w rodzaju działaczy społeczno-politycznych na terenie Palestyny. Opisuje ich żydowski historyk Józef Flawiusz (ur. w 37 r. n.e., zm. po 94 r.), wspomina o ludziach, którzy nawoływali do wyzwolenia Żydów spod obcego panowania, ale nie ma tam Jezusa.

Dlatego wielu poważnych badaczy kwestionuje historyczność Jezusa.

– To temat na osobną rozmowę. Nie ma dowodów historycznych, że Jezus istniał, a dowodzić, że nie istniał, nie ma sensu, bo w nauce dowodzi się, że coś istnieje, a nie że nie istnieje.

Motyw Heraklesa, syna Zeusa i śmiertelnej Alkmeny, to chyba niejedyne podobieństwo między religią helleńską a żydowską.

– Da się dowieść, że pewne myśli zawarte w ewangeliach zostały zaczerpnięte z religii greckiej. W niej jest np. Asklepios, najpierw heros, potem bóg, który leczył. Był synem boga Apollona i kobiety śmiertelnej, Koronis. W Grecji, toczącej wiele wojen, medycyna nabierała coraz większego znaczenia, toteż kult Asklepiosa umacniał się. Jezus ma wiele wspólnego z Asklepiosem, bo w ewangeliach ukazany jest jako teurg, mag, który leczył i uzdrawiał ludzi. Szczególnie interesujący jest tu jednak przypadek Apolloniosa z Tyany, maga, cudotwórcy i filozofa neopitagorejskiego z I w. n.e., którego żywot i dokonania opisał Flawiusz Filostratos.

W jakim stopniu źródła historyczne i odkrycia archeologiczne potwierdzają zapożyczenia Biblii z innych religii?

– Wspomniałem już, że Psalm 104 w Biblii to właściwie odwzorowanie egipskiego „Hymnu do Atona”. W nauce przyjęte jest to jako pewnik. W Paheri w Egipcie odnaleziono grobowiec z ok. 1500 p.n.e. z przedstawieniem faraona zamieniającego wodę z sześciu dzbanów w wino. Inne inskrypcje mówią, że bóg Sobek chodził po wodzie. Odkrycia potwierdzają nie tylko zapożyczenia, ale również wiele różnych przekłamań, a nawet oszustw.

Oszustw?

– Tak. W tym miejscu warto wspomnieć o Ewangelii św. Marka. Ludzie mają w domu Biblię i nie wiedzą, że mają tekst, w którym jest ewidentne oszustwo. Wyszło ono na jaw dopiero w połowie XIX w., kiedy to niemiecki badacz Konstantin von Tischendorf odkrył na Synaju najstarszy tekst Pisma Świętego z połowy IV w., tzw. Kodeks Synajski. W obowiązującej do dziś Ewangelii św. Marka w XVI rozdziale jest mowa o Jezusie, który wstał z grobu i pokazał się Marii Magdalenie i uczniom. Miał on powiedzieć wtedy: „Idźcie na cały świat, głoście ewangelię całemu stworzeniu” itd. Otóż w tym najstarszym znanym tekście Pisma Świętego nie ma tego fragmentu, nie ma takiego zakończenia Ewangelii św. Marka. Kończy się ona na 16,8. Jeśli Marek, który żył na przełomie I i II w., napisał tę Ewangelię, to tego fragmentu (czyli 16,9-19) nie zawarł. Znalazł się on w Kodeksie Waszyngtońskim z V w. Ktoś go zatem dopisał. W jakim celu?

Sprostowanie

Fundacji Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris do artykułu na tygodnikprzeglad.pl Roberta Walenciaka pt. „Rycerze kontrrewolucji, Ordo Iuris: jaką Polskę chcą nam urządzić” z dnia 15 listopada 2021 r.

Nieprawdą jest, że projekt ustawy „Stop Aborcji”, autorstwa Instytutu Ordo Iuris, przewidywał całkowity zakaz aborcji.

Jerzy Kwaśniewski – Prezes Zarządu Fundacji Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris
Magdalena Majkowska – Członek Zarządu Fundacji Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris

eprasa.pl 659b2c71ae

Mojżesz rozbija tablice z dekalogiem, Julius Schnorr von Carolsfeld, 1860 r.

Wzmocnienia siły przekazu, a raczej nakazu religii chrześcijańskiej i pozycji kleru.

– I dochodzimy do centralnej kwestii. Trzeba przekonać ludzi, że opowieści zawarte w ewangeliach są prawdziwe. Kiedy więc okazało się, że w dziele Józefa Flawiusza, historyka żydowskiego z I w. n.e., „Dawne dzieje Izraela", nie ma wzmianki o Jezusie i jego działalności, jakiś zaangażowany kopista lub tłumacz chrześcijański postanowił to „naprawić" i w odpowiednim miejscu dopisał taki akapit. Jest to tzw. *Testimonium Flavianum* (XVIII 3,3), mające potwierdzić autentyczność Jezusa. Pomyślmy chwilę: w starożytności żyli sobie Persowie, Babilończycy, Hetyci, Grecy itp. Oni wiedzieli, że mają swoich bogów, ale nie mieli zapędów do narzucania innym swoich wierzeń. Grekom nie przychodziło na myśl namawiać np. Egipcjan, by porzucili swoich bogów na rzecz helleńskich. Misyjność zaczęła się od religii monoteistycznej. Prawdziwy monoteizm jest wtedy, kiedy głosi się, że jest tylko jeden Bóg, a wszyscy inni to bałwany. Taki monoteizm wprowadził misyjność, bo jeżeli ktoś wierzy w bogów nieprawdziwych, to trzeba go od nich odciągnąć. Stąd się wzięły misje i wojny religijne.

Wiedza o tym, w ogóle o pochodzeniu religii, o zapożyczeniach czy wręcz przekłamaniach, jest wśród Polaków znikoma. Czym pan to tłumaczy?

– Właśnie tym monopolizmem religijnym. Musimy pamiętać, że w naszym kraju od tysiąca lat dominuje jedna religia i instytucja tej religii. Struktury Kościoła odgrywają ważną rolę w procesie kształcenia społeczeństwa. W interesie Kościoła, jego kleru i ludzi z nim związanych (*vide* minister Czarnek) było i jest takie nauczanie w szkołach, by służyło ich interesom, zachowaniu ich pozycji w państwie i społeczeństwie. Dlatego wiedza o innych religiach, jak również tej u nas dominującej, jest tak niewielka. U nas zaufanie do nauki jest bardzo małe, w dodatku religia jest w kontrze do niej. Nauka to ciągłe poszukiwanie, sprawdzanie, odrzucanie nieprawdy. Szukanie nowych rozwiązań. Natomiast religia daje gotowe rozwiązania, człowiek nie musi myśleć. I w ten sposób nie ma zachęty, by się rozwijać, poznawać prawdę.

Bo ją zastępują wierzenia.

– O to chodzi. Na swój użytek przeprowadziłem badania na temat stanu polskiej nauki w XVII i XVIII w. w porównaniu do europejskiej. Po lekturze zarysu rozwoju nauki przedstawionego przez Marię Uklejską doszedłem do wniosku, że wśród ówczesnych wybitnych europejskich naukowców jest tylko jeden Polak – Heweliusz, a inne nacje miały ich znacznie więcej: Francja 39, Anglia 32, Włochy 14, Niemcy 13, Holandia 10. Nawet niewielka Szwajcaria mogła się pochwalić pięcioma wybitnymi uczonymi, a Dania i Szwecja miały ich po dwóch. A przecież w tym czasie państwo polskie było największe na Starym Kontynencie. W innych krajach, gdzie Kościół nie odgrywał takiej roli, gdzie wiara nie była tak ważna dla funkcjonowania państwa, nauka mocno się rozwijała i widać było efekty. A u nas panowało przeświadczenie, że Bóg i Matka Boska nam pomogą, więc nauka nie jest nam do niczego potrzebna. Dziś też niewiele się zmieniło i kler nie za bardzo chce, by Polacy dociekali, jak jest z tą ich religią.

Ponieważ boi się, że prawda ich wyzwoli?

– Pewnie nie tylko od religii. Bo to jest taka sama sytuacja jak z eleganckim, nowiutkim samochodem albo z piękną dziewczyną. Kiedy miłośnik samochodów spogląda na jakiś atrakcyjny model, ulega urokowi jego wyglądu zewnętrznego, ale mechanik zna słabości tego egzemplarza i jest bardziej sceptyczny. Kiedy młodzieniec podziwia śliczną dziewczynę, jest na nią napalony, za to lekarz wie, co się kryje pod tą zewnętrzną formą i jakie mało ciekawe bebechy są pod skórą upchane. Podobnie jest z religią: człowiek mało obeznany z tym zagadnieniem może być pod wrażeniem opakowania, dobrze przemyślanego, atrakcyjnego i zadbanego, ale religioznawca, a zwłaszcza historyk religii, wie, jakie bebechy, jaka historia i ukryte cele są pod tym opakowaniem, i nie jest taki skłonny do podziwiania.

Psalm 104 w Biblii to właściwie odwzorowanie egipskiego „Hymnu do Atona".

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. AKG/EASTNEWS, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 659b2c71ae

AMANTADYNA – historia półprawd

Amantadynę zachwalają znane osoby, internetowi influencerzy, niektórzy lekarze. Nikt nie powołuje się na dane medyczne

Kornel Wawrzyniak

Na prawicy wietrzą amantadynowy spisek i pytają, co z wynikami krajowych badań. Antyszczepionkowcy wierzący w wirusa żądają prawdziwej terapii. Naukowcy zaś odpowiadają, że jak nie było, tak nie ma dowodów na skuteczność amantadyny w leczeniu COVID-19.

Dezinformacja

Od miesięcy opinii publicznej sugeruje się, że amantadyna może być skuteczna w leczeniu SARS-CoV-2 ze względu na jej działanie przeciwwirusowe. Dzieje się to m.in. za sprawą świadectw znanych osób, internetowych influencerów, a nawet niektórych lekarzy. Nikt nie powołuje się jednak na dane medyczne.

Skąd wzięło się przekonanie, że amantadyna, której używa się przeważnie w niwelowaniu objawów choroby Parkinsona, pomaga w leczeniu COVID-19? Wszystko zaczęło się od, to prawda, naukowego faktu – amantadynę stosowano przy wirusie grypy typu A (czyli tej, na którą co roku szykuje się szczepionki). Ale, jak podkreślają lekarze, wirusy mutują i stają się lekooporne, tak też było w tym wypadku. Skuteczność amantadyny w przypadku wirusa grypy jest więc półprawdą. A każda półprawda wielokrotnie powtórzona w social mediach staje się fake newsem.

W roku 2020 r. minister zdrowia Adam Niedzielski zlecił dofinansowanie badań pod kątem skuteczności terapii amantadyną w Agencji Badań Medycznych. Badania te miało realizować siedem ogólnopolskich ośrodków. Jedną z osób, które naciskały na sprawdzenie tej teorii, był wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł. W grudniu ub.r. wiceminister twierdził, że sam leczył się amantadyną podczas zakażenia SARS-CoV-2.

W kwietniu 2021 r. sprzedano niemal 100 tys. opakowań amantadyny.

Rok po swoim uzdrowieniu Warchoł wysłał do ministra Niedzielskiego list, w którym zarzuca mu celową obstrukcję w badaniach nad skutecznością amantadyny. Wiceminister sprawiedliwości dodaje, że zastój może być wynikiem nacisków koncernów farmaceutycznych, wszak amantadyna jest lekiem generycznym i w przeciwieństwie do szczepionek nie przynosi zysków Big Pharmie. Polityk powołuje się także na artykuł z czasopisma „Communications Biology", który jednak, mimo pierwotnego tytułu stwierdzającego skuteczność amantadyny, nie miał odpowiedniego ciężaru dowodowego. Niedzielski odpowiedział więc Warchołowi ostro, że ten opacznie zrozumiał wyniki badań, a krajowe analizy trwają, choć obecnie zajmują się tym już tylko dwie placówki.

To już wiedzieliśmy

Wróćmy do dezinformacji – okazuje się, że artykuł, na który powołał się Warchoł, miał ciekawe losy. Już po publikacji autorzy wprowadzili kilka korekt. Po pierwsze, zmienili sam tytuł – z „Amantadyna ma potencjał w leczeniu COVID-19, ponieważ hamuje znane i nowe kanały jonowe kodowane przez SARS-CoV-2" na „Amantadyna hamuje znane i nowe kanały jonowe kodowane przez SARS-CoV-2 in vitro". Po drugie, ze streszczenia usunięto następujący fragment: „Proponujemy zatem amantadynę jako nowy, tani, łatwo dostępny i skuteczny sposób leczenia COVID-19". Na dodatek wiele osób, w tym wiceminister Warchoł, powieliło inny błąd, zamieniając tytuł pisma „Communications Biology" na „Nature". Faktem jest, że obydwa tytuły należą do tego samego wydawcy, jednak „CB" nie ma tak restrykcyjnych zasad, jeśli chodzi o publikowanie artykułów, jak prestiżowe „Nature". A jak wskazuje portal RP.pl, poprawiono jeszcze jeden fragment artykułu – „zalecenie leczenia amantadyną" zamieniło się w „sugestię dalszych badań tego leku".

Jeśli chodzi o samo badanie, które ukazało się w „Communications Biology", specjaliści podkreślają, że nie poszerzyło ono wiedzy na temat terapii amantadyną. Z kolei wirusolog, prof. Krzysztof Pyrć, zwraca uwagę w rozmowie z Medonet.pl, że „autorzy publikacji sprzed kilku dni pokazali raz jeszcze to, co już wiemy: że amantadyna wiąże i hamuje aktywność kanału jonowego. Nie wykazano, że amantadyna hamuje zakażenie. Tym bardziej nie pokazano, że amantadyna leczy". Nasze źródło w Szpitalu Specjalistycznym im. dr. Władysława Biegańskiego w Grudziądzu, który był jedną z placówek, gdzie miały być prowadzone badania nad amantadyną, twierdzi, że bardzo szybko zaniechano podawania substancji. Nie powodowała ona bowiem lżejszego przebiegu choroby, nie odnotowano również, aby leczyła COVID-19.

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl 659b2c71ae

Naukowe fakty zupełnie nie przeszkadzają w szerzeniu dezinformacji. Plagą jest samodzielne leczenie się amantadyną według internetowych zaleceń. Kiedy wpiszemy hasło „amantadyna” w polską wersję wyszukiwarki Google, pierwsze trzy wyniki to reklamy szybkich e-recept na lek. Owszem, trzeba wypełnić formularz i opisać objawy, ale w internecie znajdziemy i do tego odpowiednią instrukcję. To rzuca inne światło na wywołującą oburzenie decyzję Ministerstwa Zdrowia z 8 grudnia 2021 r., aby ograniczyć dostępność amantadyny poza wskazaniami medycznymi. „W poprzedniej fali trafiła do nas pacjentka, która żarła amantadynę na potęgę – od razu trafiła pod respirator. Można powiedzieć, że amantadyna jest nawet zagrożeniem, bo ludziom wydaje się, że to lek – mówi anestezjolożka zarządzająca oddziałem covidowym w jednym z pomorskich szpitali i dodaje: – Antyszczepy, zamiast się leczyć, kupują amantadynę i wcale nie dziwię się ograniczeniom nałożonym przez ministerstwo, bo leku zaczyna brakować dla chorych na parkinsona”.

Doktor z Podkarpacia

Autorska terapia Włodzimierza Bodnara, pulmonologa z przychodni Optima w Przemyślu, jest jedną z najpopularniejszych „metod leczenia”, którą wymieniają się internauci. Doktor twierdził już na początku pandemii, że w ciągu 48 godzin może wyleczyć COVID-19 amantadyną. Schemat leczenia dostępny jest na stronie przychodni Optima, gdzie czytamy: „PROSZĘ PAMIĘTAĆ, że jestem autorem tego schematu. To jest mój projekt, stworzyłem go, przeanalizowałem i sam opracowałem”. W kwietniu br. Michał Janczura z TOK FM opisywał kulisy tej terapii. Okazuje się, że z 1518 osób, którym Bodnar wypisał amantadynę między marcem 2020 r. a kwietniem 2021 r., tylko 806 miało test na COVID-19, a u 608 wynik był dodatni. 17 osób, które doktor leczył amantadyną, zmarło.

Szał na amantadynę i dr. Bodnara jednak trwa – kiedy sprawdzamy opinie o klinice Optima, pochwały mieszają się ze skargami na to, że nie można się dodzwonić do rejestracji, bo linia bez przerwy jest zajęta.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 659b2c71ae

Wszyscy jesteśmy na misji specjalnej

Dobrze, żeby ludzie sobie pomagali, bo to działanie ku życiu, nikt sam nie przetrwa

INGA DUSZA-NOWAK
– pułkownik rezerwy, psycholog, 16 lat pracowała w wojsku, prowadziła rekrutację do jednostek specjalnych, pomagała żołnierzom powracającym z misji. Pracuje z osobami z zaburzeniami nastrojów, zachowania, jedzenia i lękami. Uczy w Polskim Instytucie Ericksonowskim.

Rozmawia Beata Igielska

Świat rozpada się na naszych oczach: pandemia, katastrofa klimatyczna, kryzys uchodźczy, inflacja. Próbujemy znaleźć jakąś kotwicę. Co robić, by nie oszaleć, skoro dotychczasowy model porządkujący ten świat już niczego nie tłumaczy?

– Nie wiem, czy nie tłumaczy. Zależy, jak postrzegamy to, co się ze światem dzieje. Jeżeli jako katastrofę, to rzeczywiście są wtedy potrzebne rozwiązania interwencyjne. Niektóre interwencje są bardzo uschematyzowane, np. służb medycznych. Również my w sytuacjach kryzysów mamy wypracowane reakcje, które nie będą w 100% satysfakcjonujące, ale mogą nam pozwolić przetrwać. Teraz właśnie jest taki czas, że trzeba przetrwać. Nie spodziewaliśmy się tylu kryzysów, bo od dawna dobrostan jest celem człowieka. A jednak okazało się, że dobrostan w pandemii jest zupełnie czymś innym. Nie sądzę, żeby nie działały żadne sposoby radzenia sobie z psychiką, które do tej pory mieliśmy.

Które mogą zadziałać?

– Jeśli ludzie dotychczas kierowali się wartościami: ja, moje, dla mnie, nadal będą nimi się kierować. Jeśli zaś kierowali się na wspólnotę, pracę dla dobra ogólnego, oglądając świat z wrażliwością, teraz też tym się kierują. „Ja" to małe podwórko, ja i moja rodzina *versus* inni. To od dawna znane zjawisko: żeby uspójnić system wewnętrzny, widzi się wroga na zewnątrz. Gdy więc przyszła pandemia, u wielu ludzi skrycie się w domach i izolacja wzmocniły działanie „ja". Druga grupa wyraźnie doświadczyła, że na „ja" nie da się przetrwać. Jeśli nie zrobimy czegoś dla innych: nie zamkniemy się dla nich w domach, nie założymy dla nich maseczki, nie przetrwamy. Pandemia objawiła opozycyjność tych wartości. Dziś wielu ludzi szuka środka pomiędzy „ja" a „inni".

Ten podział widać w społeczeństwie, antagonizmy dotyczą wielu tematów. Boimy się zjawisk, nad którymi nie mamy kontroli. Wzrósł nam poziom lęku, przybyło osób z depresją. Czy dlatego ludzie tak skaczą sobie do gardeł?

– Ludzie mają niski poziom zainteresowania, rozumienia zjawisk i rozumienia samych siebie. Reagują krótkoterminowo, incydentalnie: wystraszyłem się, więc natychmiast przypisuję jakąś interpretację temu wystraszeniu albo przyjmuję interpretację, którą ktoś mi poda, ale nie weryfikuję tego. Nie weryfikuję

eprasa.pl 659b2c71ae

informacji, tez, które są stawiane. Sami dajemy się oszukiwać. Nie mamy konstruktywnego podejścia do rozumienia sytuacji i za to powinniśmy ponosić odpowiedzialność. Szkoła nie uczy krytycyzmu wobec przyswajanego materiału. Nie dyskutuje się, nie uczy, że można mieć różne zdania, wątpliwości, wpaja się, że potrzebne są gotowe, czarno-białe odpowiedzi. To sprawia, że się opozycjonujemy: albo jest tak, albo tak, jakby nie było przestrzeni pomiędzy. A przecież jest jej mnóstwo, jest mnóstwo różnorodności. Ona zaś zawsze jest nadzieją i zaletą.

Teraz jest taki czas, że trzeba przetrwać.

Koncentrujemy się w rozmowie na pandemii, ale dotyka nas też kryzys uchodźczy. Wiele wrażliwych osób nie spało, gdy okazało, że niemowlak na granicy nie żyje, a czteroletnia dziewczynka błądzi w lesie przy 12-stopniowym mrozie. Jak sobie z tym radzić?

– Zależy, co kto uzna za poradzenie sobie. Bo jeśli ktoś uzna, że to ma go nie poruszać, to znaczyłoby, że przestajemy być ludźmi. Natomiast jeśli chodzi o reakcje, możemy zadziałać na poziomie własnych emocji i powiedzieć sobie: to straszne. Ale możemy pójść dalej i zapytać, co z tym zrobić, żeby inni tego nie doświadczyli. Jeżeli mamy ochotę wyłączyć telewizor i nie zajmować się problemami, również mamy do tego prawo. Czasami mamy wybór nie pomiędzy dobrym a złym wyjściem, lecz pomiędzy wyjściem trudnym albo trudniejszym. Niektórzy decydują się na to trudniejsze – rozważają, jak się nie dać depresji, smutkowi, lękowi. A są tacy, którzy rozważają tylko „trudne" – coś przeżyją, potem odetną się od rzeczywistości. Lecz ona w pewnym momencie zapuka.

Nie można udawać, że się nie widzi, nie słyszy...

– Nie jestem pewna, czy słowo udawać jest właściwe. Opisuje ono raczej świadomą motywację polityków, osób na stanowiskach. Natomiast większość ludzi ma prawo do mechanizmów obronnych, do tego, żeby przez chwilę czegoś nie widzieć, z czymś nie być w kontakcie albo być tylko tyle, ile jesteśmy w stanie. Dobrze, że na świecie są ludzie, którzy mają różną odporność na trudy, są w stanie patrzeć dłużej, szerzej, są w stanie działać.

Mechanizmy obronne bywają przedziwne. Wiele starszych osób z nikim się nie widuje, bo covid. Znam dziadków, którzy proszą córkę, by słoiki, w których podają zupę dla wnuków, odbyły 13-dniową kwarantannę. Gdy więc patrzę na te starsze osoby, u których w domach cały dzień ryczą telewizory, myślę, że odcięcie się od mediów mogłoby pomóc.

– W kryzysach bywa tak, że kisimy się we własnym sosie, nie mamy informacji z obszarów poza naszym standardowym środowiskiem, nie mamy szans, by znaleźć furtkę, otwarte drzwi. A może za nimi jest jakaś nadzieja, może to nie jest takie straszne, jak niektórzy mówią? Do ludzi, którzy narzucili sobie izolację wynikającą z lęku, należy wyciągnąć rękę i podawać im informacje, co jest bezpieczne, naukowe, rzeczywiste, a jednocześnie uszanować, jeśli wybiorą izolację. Pamiętajmy jednak, że przedłużająca się izolacja powoduje wycofanie się i nieadekwatną oceną rzeczywistości.

Jeśli nie zbudowaliśmy relacji ze sobą, zaczynają się trudności w budowaniu jej z drugim człowiekiem.

Uczniowie odreagowują długotrwałą izolację i siedzenie przed komputerami.

– Izolacja spowodowała, że dzieci przestały być wystawiane na naturalne bodźce: że trzeba coś załatwić, porozmawiać z rówieśnikiem, ale też z kimś dorosłym, pohamować się przed przeklinaniem. Każda izolacja sprawia, że najpierw następuje wyciszenie, opada naturalna mobilizacja organizmu. Kiedy zaś wracamy do świata, nagle doświadczamy bombardowania wszystkimi bodźcami, które wcześniej były naturalne. Ponieważ wyciszyliśmy poziom zdrowej czujności, nasz organizm i psychika doświadczają stanu ogromnej mobilizacji, jakby nagle wydarzyło się coś dramatycznego. Dziś sporo młodych ludzi woli siedzieć przed komputerem, bo nie musi się konfrontować z trudami życia. Jeżeli siedzą za długo, doświadczają niemocy w konfrontowaniu się z rzeczywistością. Dlatego powinno być jak najmniej nauki online. Niestety, tak zaczynają działać szkoły językowe, korepetycje.

Spróbujmy jednak dać czytelnikom jakieś narzędzie do radzenia sobie z trudną sytuacją.

– Nie ma w świecie nic uniwersalnego. Wszyscy chcemy być inni, więc jesteśmy inni. Mamy oczywiście dużą potrzebę, żeby coś było uniwersalne, taką uproszczoną poradą – jak ją zastosuję, mam gwarancję czegoś. Tego nie ma i dlatego jest tak trudno, bo ludzie, zamiast rozpoznawać, co im dobrze służy, rozglądają się za złotą receptą, nie tworzą własnej. Jeśli pacjent mówi, że coś jest słuszniejsze, pytam: dla kogo? Jeśli coś jest słuszniejsze dla pani/pana, to super, ale kto miałby to ocenić? Nie ja ani świat, tylko pani/pan. Jednym posłuży długi spacer, drugim obejrzenie wzruszającego filmu. Epidemia nasiliła rodzaj bezruchu – nie podejmujemy decyzji, nie szukamy wyjścia, nie tworzymy go, bojąc się, że nasza decyzja nie będzie trafna. Owszem, jest takie ryzyko. Ale życie jest ryzykiem.

Dobrze, że mówi pani o poczuciu sprawstwa. Akurat w moim przypadku to działa. Kiedy coś zrobię, daje to chwilową ulgę, obniża poziom lęku.

– Ludzie potrzebują poczucia sprawstwa w wielu wymiarach. Coś dobrego ugotuję, przeczytam książkę, podejdę do okna i przez 10 minut pooglądam świat, to będzie *mindfulness*. Sprawczość może być w wielu obszarach. Tylko że wychowaliśmy się w schematach, które często nie pasują do życia w danym momencie: skończę najlepsze studia, dostanę dobrą pracę w korporacji, posiedzę tam 12 godzin, wrócę do domu, do dzieci. Ludzie chcieliby mieć wszystko. Tak się nie da. Reklamy obiecują szybką obsługę w banku, szybszą apkę, dzięki której zyskamy więcej odsetek, a prawda jest taka, że nie wszystko jest możliwe „szybko". Gdy dzwoni telefon i nie odbierzemy go już po

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 659b2c71ae

pierwszym dzwonku, ludzie obrażają się albo martwią, że coś się stało. Zaczynamy mieć bardzo niską tolerancję na niewiedzę, niejasność, ambiwalencję. Dlatego oczekujemy, żeby rada była uniwersalna i zadziałała natychmiast. A przecież wszystko, co wartościowe, wymaga czasu, tworzenia. „Dajcie czasowi czas", jak pisał Edward Stachura. Sam sobie w pewnym momencie go nie dał i wiemy, jak to się skończyło.

Dobrze też jest docenić to, co mamy, nawet jeśli to tylko ciepło w domu, łóżko, jedzenie. Dobrze pomyśleć, jakimi mimo wszystko jesteśmy szczęściarzami. Bo jeśli pogrążymy się w lękach, nie pomożemy ani sobie, ani innym.

– Powiem coś kontrowersyjnego: nie ma przymusu pomagania. Jeśli ktoś pomaga z przymusu, dlatego, że tak należy, będzie miał poczucie, że coś sobie odbiera, coś musi poświęcić. Ideą pomocy jest poczucie pomagających, że mają wystarczająco wiele i umieją sobie wyobrazić, jak miło będzie, gdy ktoś się uśmiechnie, poczuje ciepło, zje ciepły posiłek. Do tego nie potrzeba niezwykłego poświęcenia. Wartością pomagania jest to, że chcemy dać coś od siebie, żeby ktoś się poczuł tak dobrze jak my. To rodzaj empatii. Dziś idea pomagania jest karykaturalna: tak należy, tak trzeba. Nie trzeba. Ale dobrze, żeby ludzie sobie pomagali, bo to działanie ku życiu, nikt sam nie przetrwa.

Boisz się, że książki nie dotrą na czas?

Na szczęście są E-BOOKI w specjalnej cenie (od 9,90 zł)

Możesz zamówić nawet na ostatnią chwilę

Zapłać z PayU lub PayPal i czytaj od razu

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Dlatego warto sobie przypominać, że należy się wspierać. Nie antagonizujmy się bardziej. Bo w końcu całe społeczeństwo będzie musiało walczyć z syndromem stresu pourazowego.

– Nie nadużywałabym tak ciężkiego kalibru, choć rzeczywiście może nas czekać takie zjawisko. Niezależnie od naszych pomysłów na życie, od wartości, jakie wyznajemy, atrakcyjniejszą podróżą może być znalezienie wspólnotowości, wspólnej przestrzeni, znalezienie podobieństwa między nami a ludźmi, z którymi na pierwszy rzut oka nic nas nie łączy. To jest dopiero ciekawa podróż. Ale ludzie zaczynają nie być ciekawi drugiego człowieka, bo nie są ciekawi siebie. Boją się siebie, nie znają siebie, więc trudno im być otwartym na drugiego człowieka. Jeśli nie zbudowaliśmy relacji ze sobą, zaczynają się trudności w budowaniu jej z drugim człowiekiem. Nie lubimy siebie, nie rozumiemy, nie dajemy sobie prawa do słabości, radości, szczęścia, dobrego życia, cierpienia i jego skutków. Jesteśmy ubodzy, bo nie pojmujemy, że człowieczeństwo, życie to przeżywanie wszystkich uczuć. To jest esencja życia.

W takim razie jak poznawać siebie?

– Z ciekawością. Metod jest wiele. Neurolodzy i badacze mózgu wiedzą, że proces nudzenia się jest doskonałym sposobem poznawania siebie. Jest kontaktem pomiędzy tym, co już wiemy, a tym, co tworzymy wobec świata. Popatrzę w sufit, coś mi się przypomni, usłyszę jakieś słowo, poczuję, że mam ochotę usłyszeć tę piosenkę. Gdy leżymy na łóżku, nudząc się, albo jedziemy autobusem do pracy, oglądając świat za oknem, niby nic nie robimy, ale wtedy siebie poznajemy. A ludzie tego nie robią, zaglądają w telefony...

Mamy wręcz przymus ciągłego robienia czegoś: muszę czytać, muszę coś sprawdzić, a tak naprawdę uciekamy przed sobą.

– Jasne, że kiedyś trzeba coś przeczytać, sprawdzić. Tylko że ludziom trudno być z własnymi myślami, dlatego potrzebują zająć czymś uwagę. Widzę w autobusach ludzi z zamkniętymi oczami, może drzemią, co też wydaje mi się świetnym pomysłem, bo może są trochę zanurzeni w sobie, a nie tylko zmęczeni lub niewyspani. Zachęcałabym, żeby obcować z własnymi uczuciami, refleksjami, myślami, nauczyć się je rozróżniać. A my chętniej włączamy telewizor albo zajmujemy czymś innym uwagę.

Ostatnie lata hołubiły nas: katastrofy zdarzały się daleko, pandemie w Chinach lub Afryce. Żyliśmy sobie w bogatszej części Europy. Czy nagle wszyscy nie znaleźliśmy się na misji specjalnej?

– To trafne porównanie. Tylko że żołnierz decydując się na wyjazd na misję, przygotowuje się, a i tak bywa zaskoczony faktami i swoją reakcją na nie. My zaś nie spodziewaliśmy się tej misji. Tkwimy w specyficznym sposobie przetrwania, reagujemy incydentalnie, instynktownie, co warto później poddać refleksji. To nie znaczy, że reagujemy źle, bo może najlepiej, jak można w danej chwili, ale być może już w kolejnej chwili będzie można inaczej. Dzięki poddawaniu się refleksji możemy nauczyć się różnych rzeczy.

Przecież mówiłyśmy, że nie chcemy tej refleksji się poddawać.

– Zgadza się, nie ma przymusu. Tyle że im dłużej nie poddajemy czegoś refleksji, tym większe koszty dopadną nas w którymś momencie.

Zatem życzmy czytelnikom, żeby refleksyjnie popatrzyli na siebie w trakcie świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

– Z całego serca życzę, aby ludzie pozwalali sobie na refleksję, żeby ją rozwijali w otoczeniu życzliwych przyjaciół, znajomych, żeby się nią wymieniali i nie pozostawali z nią w izolacji, bo mogą coś zyskać od innych. I żeby refleksja prowadziła ku życiu, przyszłości, a nie przeszłości.

Nie ma przymusu pomagania. Jeśli ktoś pomaga dlatego, że tak należy, będzie miał poczucie, że coś musi poświęcić.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 659b2c71ae

Z Galicji

Jan Widacki

Cicha noc, święta noc

W gazetach informacja o kolejnym dramacie na granicy. Tym razem o zaginionej w lesie czteroletniej dziewczynce. Wcześniej był przypadek ciężarnej kobiety, którą znaleziono „na linii granicznej", by posłużyć się ulubionym zwrotem pani rzecznik Straży Granicznej. Kobieta poroniła i niedawno zmarła w szpitalu, zostawiając piątkę dzieci. A przed nią jeszcze 19-letni chłopak, który utonął w Bugu, i dwóch innych imigrantów zmarłych z zimna i wyczerpania. Nie znamy losu dzieci z Michałowa wywiezionych na „linię graniczną", czyli, mówiąc po prostu, do lasu. Na dalszą poniewierkę, na głód, zimno, być może śmierć.

Pan minister jest dumny. Skutecznie strzeżemy granicy. No, chyba nie tak skutecznie, skoro co najmniej kilka tysięcy osób jakoś się przedarło do Niemiec, gdzie umieszczono ich w ludzkich warunkach w kontenerach obozu dla uchodźców. Z dziećmi idzie lepiej. Propaganda rządowa ostrzega, że uchodźcy to terroryści i sodomici. Na ohydnej konferencji prasowej dwóch ministrów „siłowników" demonstruje zdjęcia, które mają uwiarygodnić tę tezę, uciekając się nawet do fałszerstw i manipulacji. Pokazany przez TVP obrazek z konferencji prasowej, ów sodomiczny akt z krową, niezależni dziennikarze zidentyfikują później jako obrazek znany od dawna z internetu. Władza ogłasza stan wyjątkowy na granicy z Białorusią. Na teren nim objęty nie mają wstępu dziennikarze ani organizacje humanitarne. Gdy skończy się określony przez konstytucję czas trwania tego stanu, będzie on faktycznie kontynuowany, ale już w sposób niekonstytucyjny.

Premier raz po raz chwali naszych dzielnych żołnierzy, pograniczników i policjantów. Bronią granic ojczyzny! Nawet stoczyli zwycięską bitwę z grupą zdesperowanych uchodźców, którzy usiłowali sforsować graniczne zasieki. Zdobytą na nieprzyjacielu broń pokazała reżimowa telewizja. Jakieś kije, butelki, mokre trampki. Zwycięstwo godne chwały Wiednia i Chocimia. Po raz kolejny powstrzymaliśmy muzułmańską nawałę. Szczerze współczuję tym żołnierzom, policjantom i pogranicznikom. Nie są tam z własnej woli. Oddzieleni od rodzin, żyjąc w trudnych warunkach, zmuszeni są do robienia rzeczy, jakich może przynajmniej niektórzy robić by nie chcieli. I wątpię, czy będą z tych rzeczy kiedyś dumni. Aby byli, TVP i MON zorganizowały dla nich specjalny koncert „Murem za polskim mundurem". Idea tego koncertu mimo wszystko pozostaje niejasna. „Murem za polskim mundurem" to znaczy co? Bezkrytycznie popieramy wszystko, co mundurowi robią na białoruskiej granicy? Zdaje się, że znaczny procent Polaków jest gotowy popierać takie stanowisko. Ale większości to nie obchodzi.

Idą święta. Jest inflacja. Na święta trzeba wydać więcej niż w ubiegłym roku. Ile będzie kosztował karp? Gazety informują, że w Zakopanem i okolicy w tym roku drożej niż w Austrii. Na przedświątecznym kiermaszu na krakowskim Rynku drożyzna horrendalna. Ceny zup w tekturowych kubeczkach, szaszłyków i grzańca poszybowały w górę. A ceny wędlin! Serów!

Do świąt zaś już niedaleko. Mimo pandemii wypełnią się kościoły, a w niebo polecą słowa kolęd. Piękne i wzruszające. Ludzie rozczulą się nad losem Jezuska, dla którego „nie było miejsca w żadnej gospodzie", co to narodził się „w stajni w ubóstwie i głodzie", „malusieńki leży wśród stajenki, płacze z zimna". Większość nawet nie skojarzy tego płaczącego z zimna Jezuska z dziećmi, które w lesie na granicy też płaczą z zimna. Nie pomyśli, że Święta Rodzina, uciekając przed Herodem, miała szczęście, że Egipt był pod władzą Rzymian, a ci nie zamknęli granic i nie kazali ich bronić legionistom, choć to zajęcie chwalebne. Miała szczęście, że na tej granicy w słusznej sprawie nie stosowano push backu. Nie pomyśli o tym ta większość ani nie usłyszy w kazaniach. Polski Kościół ma wszak ważniejsze sprawy na głowie niż nauczanie Ewangelii.

O ileż praktyczniej i bezpieczniej litować się nad losem małego Jezuska niż nad losem małego Ajmala, Ramila czy Muhameda umierającego z zimna, głodu i wycieńczenia na naszej granicy. Litość dla Jezuska można wyrazić, śpiewając kolędy, to nic nie kosztuje. Litość dla Ajmala, Ramila czy Muhameda musiałaby się łączyć z jakąś aktywnością, może jeszcze wydatkami, a może naraziłaby na gniew władzy. Lepiej skoncentrować się na Jezusku. Choć ten Jezusek, jak dorósł, to uczył: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili". Ale to też jakoś niekoniecznie się kojarzy z tym, co się dzieje na granicy.

Do naszych żołnierzy, pograniczników i policjantów przyjadą kapelani. Pewnie zorganizują im piękną pasterkę. Może na pasterkę przyjedzie minister albo dwóch? Może sam premier? I nad pogranicznymi lasami popłynie z tysięcy gardeł: „Jezus malusieńki leży wśród stajenki, płacze z zimna, nie dała mu matula sukienki". Czy w tym roku i w tym miejscu nie zabrzmi to szyderczo? Może głos tak będzie się niósł, że usłyszy go nawet skulony w lesie zmarznięty Ajmal, Ramil, Muhamed? I wtedy, jeśli ktoś słowa kolędy mu przetłumaczy, nie będzie mógł się nadziwić, że jest przy granicy kraju, gdzie panuje religia, której pierwszym przykazaniem jest miłość bliźniego.

A może, ku przestrodze, do lasu poniesie się głos innej kolędy: „Złość okrutna dziecię prześladuje, wieść to straszna, wieść to smutna, Herod spisek knuje". Jeśli te słowa dotrą do lasu i ktoś je zrozumie, to kogo obsadzi w roli Heroda i jego siepaczy?

Tych nielicznych, którzy upominają się o humanitarne traktowanie uchodźców, którzy bezinteresownie jako wolontariusze próbują w różny sposób pomóc nieszczęsnym ludziom oszukanym przez Łukaszenkę i rozmaitych szemranych pośredników, politycy rządzącej partii i reżimowe media nazywają sojusznikami Putina i Łukaszenki. Trudno. Na razie nie grozi za to więzienie. A to, że są nieliczni? Ale ważne, że są i tacy. Sprawiedliwych wśród narodów świata też chyba było mniej niż szmalcowników. I nie mam wątpliwości, po czyjej stronie jest dziś moralna racja.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 659b2c71ae

Gdy Kościół przejmują radykałowie

Jednym z głównych problemów Kościoła w Polsce nie są dziś ludzie, którzy zwracają mu bilet. Kłopotem są ci, którzy w nim zostają

Jarosław Makowski

1.

Do wczoraj świat postrzegany oczami naszych duchownych był prosty. Polscy biskupi walczyli z zewnętrznym wrogiem. Nawet jeśli głównie był to wróg, którego sami sobie stworzyli, ten bój wydawał im się na śmierć i życie. Walczyli więc z moralnym relatywizmem, który ponoć drzwiami i oknami wdzierał się do tradycyjnych polskich domów. Walczyli z *gender*, które wydostało się z uniwersyteckich zajęć i seminariów w ramach *gender studies*, by siać spustoszenie przede wszystkim w duszach polskich kobiet. Walczą z ideologią LGBT, jak ją nazywają, która z kolei deprawuje polską młodzież – młodzież, która zamiast na lekcje religii woli chodzić na strajk klimatyczny. Walczą zatem hierarchowie także z ekologizmem, bo – jak twierdzą – to moda, która stała się wyznacznikiem społecznego zaangażowania młodzieży z wielkich miast. I na koniec: biskupi nie ustają w przekonywaniu wiernych, że Polska utraci swoją katolicką tożsamość, jeśli lud wierzący pozwoli rozpłynąć się rodzimemu katolicyzmowi w zachodniej, a ściślej europejskiej, poprawności politycznej.

Tak oto od kilku dekad budowany jest w Polsce Kościół, który ma być na kształt oblężonej twierdzy. W tak rozumianym Kościele nasi duchowni czują się jak ryba w wodzie. Księża wchodzą na barykady, choć już nikt za bardzo nie chce z nimi walczyć. Ale taka strategia pozwala im mobilizować siebie nawzajem, jak również tych wiernych, którzy podobnie postrzegają świat. W tym światopoglądzie nie ma miejsca na krytycyzm. Kościół jest jak matka, a matki się nie krytykuje. Być członkiem tak rozumianego Kościoła, to stać twardo za biskupami. Wspierać swoich proboszczów. I jednocześnie być głuchym na nieprawości i zgniliznę moralną, która niemal każdego dnia wylewa się z kościelnych instytucji. Kim więc są najwierniejsze córy i synowie w tak pojmowanym Kościele?

2.

Kościół w Polsce stał się dziś zakładnikiem tych, którzy są z biskupami – jak hierarchowie sądzą – na dobre i na złe. To dlatego narodowcy czują się w polskich świątyniach jak u siebie w domu. Przez księży i zakonników – choćby paulinów z Jasnej Góry – postrzegani są jako sól polskiego katolicyzmu. Biskupów napawa dumą widok młodych mężczyzn zasilających szeregi Młodzieży Wszechpolskiej, krzyczących: „Tylko Bóg!". Są dumni, gdy spoglądają na polityków prawicy, którzy, ilekroć otworzą usta, zapewniają, że Kościół z narodem, a naród z Kościołem jeden organizm tworzą. Napełnia ich nadzieja, kiedy mężczyźni z różańcem na zaciśniętej pięści zapowiadają, że będą bronić rodzimego katolicyzmu i rodziny przed zalewem zachodniego relatywizmu i rozpusty.

> Księża wchodzą na barykady, choć już nikt za bardzo nie chce z nimi walczyć.

Paradoks polega na tym, że dziś największym zagrożeniem dla polskiego Kościoła nie są jacyś tam lewacy czy ateiści. Są nim nacjonaliści obnoszący się z katolicyzmem, także ci w sutannach, tacy jak ks. Roman Kneblewski, którzy uniwersalne przesłanie chrześcijańskie mówiące o miłości bliźniego sprzedają za tępy nacjonalizm tylko dlatego, że ich zwolennicy zrobią sobie na ramieniu tatuaż z wizerunkiem Matki Boskiej. Trzeba tym katolickim nacjonalistom przypomnieć, co mówił Jezus z Nazaretu: „Nie każdy, który Mi mówi: »Panie, Panie«, wejdzie do królestwa niebieskiego". Nie każdy, kto krzyczy: „Bóg-Honor-Ojczyzna!", jest pobożnym katolikiem.

Kolejna wpływowa grupa, która trzyma się mocno w Kościele, to religijna prawica. Ta dla swojego projektu politycznego sprowadza żywą wiarę do katolicyzmu kulturowego. Chrześcijańska wiara jest jej kompletnie zbędna. Dla biskupów to ważna grupa, gdyż atakuje wszystkie wskazywane przez Kościół -izmy: feminizm, genderyzm, ekologizm. Jednocześnie głównym przeciwnikiem religijnej prawicy jest papież Franciszek z jego podejściem do uchodźców. Papież, który mówi: „Uchodźcy to nie liczby, tylko osoby. To twarze, imiona, historie życia i odpowiednio do tego należy ich traktować". Tym stwierdzeniem Franciszek doprowadza religijną prawicę do wściekłości.

W jej oczach papież – w przeciwieństwie do polityków polskiego rządu – jest naiwniakiem, który chce otworzyć drzwi przed najeźdźcami. Oto niektóre wpisy na temat Franciszka: „Kończ waść, wstydu oszczędź!", „To są jawne kpiny z naszego Zbawiciela. Ohyda spustoszenia". „Prawdziwy pasterz broni owce przed wilkami, a fałszywy zaprasza wilki, by pożarły owce", „Opętanie. Profanacja krzyża", „Wracaj do Argentyny ty diable!!!!".

Dlatego trzeba to napisać wprost. I to tuż przed świętami Bożego Narodzenia: chrześcijaństwo jest w Polsce obiektem zniewagi i poniżenia. Nie, nie gardzą chrześcijaństwem liberałowie czy lewactwo. Gardzi nim duża część katolickiej prawicy, gardzą liczni księża, którzy zamienili żywą wiarę ojców w religijny, podszyty prawicową polityką światopogląd.

I kolejna grupa, choć nie tak liczna, ale bardzo wpływowa – „moralni radykałowie" pokroju organizacji Ordo Iuris czy ruchów *pro life*. To oni wymusili na Kościele i na rządzącej

eprasa.pl 659b2c71ae

Narodowcy czują się w polskich świątyniach jak u siebie w domu.

prawicy zaostrzenie prawa antyaborcyjnego, które docisnął kolanem Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej na zlecenie Jarosława Kaczyńskiego. Można powiedzieć, że Kościół dzięki nim dopiął swego, jeśli chodzi o politykę reprodukcyjną. Ale cena, jaką płaci, jest duża: kobiety zwracają Kościołowi bilet, gdyż nie chcą być sprowadzane do roli inkubatorów. Nie chcą umierać jak pani Iza z Pszczyny przez to, że lekarze boją się prokuratora nasłanego przez Ordo Iuris. A to właśnie kobiety, co pokazują wszystkie badania, są w głównej mierze przekaźnikami wiary każdemu kolejnemu pokoleniu. Kościół bez kobiet, wierzących matek i babć, traci dynamikę, *de facto* nie istnieje.

Tak czy inaczej, najwierniejszymi córami i synami dzisiejszego Kościoła w Polsce stali się ludzie, którzy wyznają typ katolicyzmu walczącego, potępiającego i połączonego z moralnym rygoryzmem prawnym. Katolicyzmu, który odpycha i wyklucza ludzi. Katolicyzmu, który najlepiej czuje się w politycznych wojnach rozpętywanych przez religijną prawicę.

3.

Ale to nie koniec. Bo problemem są też ci księża, którzy nadal hołdują przekonaniu, że istnieje Kościół nauczający i Kościół słuchający. To zwolennicy kultury klerykalnej, która sprowadza się do zarządzania, planowania i nauczania kościelnego tylko przez duchownych. Właśnie ona jest jednym ze źródeł kryzysu polskiego Kościoła – kryzysu polegającego na tuszowaniu pedofilii, bo ważniejsze od prawdy i dobra ofiar jest dobro instytucji. I arogancja księży, która sprawia, że wierni odchodzą, bo nie chcą być traktowani jak pionki, podlegać przemocy

Nie każdy, kto krzyczy: „Bóg-Honor-Ojczyzna!", jest pobożnym katolikiem.

duchowej, która prowadzi do patologii ubezwłasnowolnienia świeckich. Mówiąc wprost, księża są dziś nie tylko źródłem kryzysu instytucji kościelnej, ale też przeszkodą w rozwoju wiary pobożnych ludzi. Są źródłem zgorszenia do tego stopnia, że ludzie porzucają wiarę.

Już słyszę ten argument: w Kościele jest się dla Pana Boga, a nie dla księży. To kolejny klerykalny szantaż, w którym ćwiczeni są polscy katolicy. Kiedy nasi księża słyszą, że ludzie przez ich zachowania i postawy tracą wiarę, mają jedną odpowiedź: „To strata ludzi, nie nasza". Nie wierzycie? Już sięgam po dowody. Oto wpis ks. Daniela Wachowiaka w mediach społecznościowych: „To prawda. Ostatecznie nie Kościół traci, jeśli ludzie od Niego odchodzą, ale to odchodzący ludzie tracą Kościół". I kolejny przykład twitterowego idola prawicy, ks. Janusza Chyły, który przytacza zdanie rekolekcjonisty głoszącego nauki w jego parafii: „Ks. prof. Jan Perszon podczas rekolekcji: W internecie piszą, że Kościół traci młodzież. Że Kościół stracił Irlandię. A jest dokładnie odwrotnie. To młodzież i Irlandia traci Kościół. Traci szczęście i piękno wiary w Chrystusa obecnego w Kościele".

A więc tak: to, że ludzie zwracają Kościołowi bilet, jest winą tych ludzi. Nie mają dość mocnej wiary. Oburzają się na księży, którzy gorszą maluczkich, a powinni trwać na posterunku, zaciskać zęby i chodzić do kościoła. Słaba to wiara, gdy gorszysz się zachowaniem księdza. Tak oto jasno daje się do zrozumienia wiernym: „Nie macie żadnych narzędzi, aby nas dyscyplinować. Nawet jeśli przez naszą negatywną postawę porzucacie Boga i Kościół, robicie krzywdę sobie, nie nam".

Takie postawienie sprawy, dość powszechne w polskim Kościele, to przejaw pychy i arogancji księży. To źródło kultury klerykalnej, która w polskim Kościele przypomina trąd. Dobrze ją opisał na początku pontyfikatu papież Franciszek, mówiąc o grzechach klerykalnych. Jest nim m.in. to, że wielu biskupów i księży żywi przekonanie o swojej wyjątkowości, „namaszczeniu" przez Boga. Myślą, że podległe im instytucje działają, bo oni są genialni i zawsze podejmują trafne decyzje. Jak fałszywe to przekonanie, widzimy choćby po ukaraniu przez Watykan za krycie pedofilii abp. Sławoja Leszka Głódzia i bp. Edwarda Janiaka. Ich kariery w Kościele mogły się rozwijać, bo w klerykalnym świecie obowiązuje krycie i kultura sekretu, by włos z głowy duchownemu nie spadł. Zawsze odbywa się to kosztem pokrzywdzonych.

Przejawem klerykalizmu jest i to, że skupia się on na doczesności. Dlatego instytucje kościelne

FOT. MACIEJ ŁUNIEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 659b2c71ae

przypominają globalne korporacje, w których zysk, funkcjonalność i przychody są ważniejsze niż ludzie. Szef-proboszcz przypomina maszynę od procedur w globalnej korporacji, a nie duszpasterza, który idzie z ludźmi przez trudy życia. Zbyt często księża koncentrują się na „chlebie", a przecież wiemy z Biblii, że nie samym chlebem człowiek żyje.

W efekcie kultura klerykalna żywi się następującym paradygmatem: mamy Kościół nauczający – to biskupi i księża, którzy są dla wiernych przewodnikami – i Kościół słuchający, czyli laikat, który winien się stosować do wskazówek i zaleceń duchownych bez zbędnego gadania i dyskusji. Tak właśnie działa trąd klerykalizmu, który tłamsi każdy rodzaj reformy i zmiany w Kościele. Choć sobór watykański nauczał: *Ecclesia semper reformanda* (Kościół zawsze potrzebuje reformy).

Czy istnieje szansa, że głęboko zakorzeniona w naszym Kościele kultura klerykalna zostanie przełamana, czy też wierni będą go porzucać? Dziś nie widzę, żeby trąd klerykalny zatrząsł się w posadach. Przeciwnie, im większa krytyka księży przez wiernych, tym bardziej księża zwierają szeregi. Tym bardziej mają poczucie, że należy być solidarnym nie z katolikiem czy katoliczką dopominającymi się zmiany, ale z braćmi w kapłaństwie. Dziś w Polsce księża zachowują się tak, jakby Kościół miał istnieć tylko po to, by dawać im zajęcie. Nie widać w ich zachowaniu ani duszpasterskiego żaru, ani wiary, ani potrzeby przerwania zaklętego kręgu klerykalnej korporacji wpływów i interesów.

Dlatego pytanie, które wczoraj wydawało się obrazoburcze, dziś stawiane jest z całą powagą: czy nasi księża wierzą? Jak bowiem można rano sięgać do Ewangelii, gdzie napisane jest, że będziesz kochał bliźniego swego jak siebie samego, a potem szczuć na osoby o odmiennej orientacji seksualnej? Jak można czytać w Biblii, że Kościół jest dla wszystkich, a zaraz potem wychodzić i głosić kazanie, że albo popierasz „dobrą zmianę", albo nie jesteś dobrym katolikiem? Z ust księży nieraz jako wierni słyszeliśmy, że żyjemy tak, jakby Boga nie było. Dziś trzeba powiedzieć: „To wy, duchowni, żyjecie i działacie tak, jakby Bóg już dawno umarł".

Brakuje księży, którzy częściej biliby się w swoje piersi, a nie w piersi parafian.

Stare powiedzenie głosi: „Jeśli chcesz narobić sobie wrogów, spróbuj zmienić niepisaną tradycję". Pierwszym krokiem do zmiany byłoby więc zerwanie z klerykalną solidarnością, przekonanie, że ksiądz, który popełnia przestępstwo i grzeszy, nie zasługuje na ochronę ze strony kolegów, że trzeba go rozliczyć. Mimo wielu znaków, że ta solidarność ostatecznie pogrąża Kościół w odmętach hipokryzji i obłudy, dla dużej części duchownych wciąż jest o wiele ważniejsza niż uczciwość i przyzwoitość, niż wiarygodność Kościoła. Przekonują się o tym bracia dominikanie, którzy pod swoim dachem zapewniali bezpieczną przystań o. Pawłowi M., seksualnemu sadyście i duchowemu tyranowi.

Brakuje księży, którzy w imię prawdy i przyzwoitości zaryzykowaliby narobienie sobie wrogów wśród reszty. Brakuje tych duchownych, którzy częściej biliby się w swoje piersi, a nie w piersi parafian. Brakuje w końcu kapłanów, którzy komfort duchowy swoich wiernych ceniliby bardziej niż dobro instytucji, której służą. Krótko: brakuje księży, którzy rzeczywiście wierzyliby, że dobry i miłosierny Bóg istnieje.

4.

Gdy Kościół przejmują radykałowie – religijna prawica, narodowcy, radykalni działacze *pro life* czy wspierający ich księża – nie może dziwić, że część katolików szukających Kościoła otwartego, przyjaznego i ewangelicznego, zwraca biskupom bilet. Dlatego dziś jednym z kluczowych problemów Kościoła w Polsce nie są osoby, które z niego odchodzą. Kłopotem są ci, którzy w nim zostają, gdyż wiarę chrześcijańską zamieniają na katolicki światopogląd przydatny w wojnach kulturowych.

Proces, który widzimy w Polsce – wypychania ludzi z Kościoła – dobrze oddaje anegdota z południowych stanów USA. Jej bohaterem jest Afroamerykanin, który chciał wejść do kościoła białych, ale go z niego wyrzucono. Wtedy przychodzi Bóg i go pociesza: „I ja od wielu lat chciałem wejść do tego kościoła, ale mnie też zawsze wypędzali". Bóg jest na wygnaniu. Stoi przed drzwiami polskiego Kościoła, ale nikt nie chce go wpuścić.

A co dzieje się z tymi, którzy odchodzą lub przed którymi zamyka się kościelne drzwi? Oni nie porzucają wiary, ale swoją wiarę prywatyzują: „Bóg tak, Kościół nie".

Jarosław Makowski

eprasa.pl 659b2c71ae

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Is fecit cui prodest

Uczynił ten, komu przyniosło to korzyść. Starożytna zasada dochodzenia karnego każe zastanowić się nad konfliktem, który dzieli dziś zarząd Agory i redakcję „Gazety Wyborczej". Z „Wyborczą" można się zgadzać lub nie, lecz teraz w ogóle o to nie chodzi. Nikt przecież nie zaprzeczy, że była ona (i jest) jedną z liderek wolnych mediów, że zawsze działała na własny rachunek i własną odpowiedzialność. Pomawiana niegdyś, że stanowi nieformalny organ Unii Demokratycznej/Unii Wolności, potrafiła nawet tej partii zaleźć za skórę. Gdy zatem wolne media spotykają się dziś z ograniczeniami i represjami, sprawa „Wyborczej" jest sprawą każdego z nas.

Sytuacja staje się bowiem dramatyczna. Póki w minionej kadencji parlamentarnej władze deklamowały o „repolonizacji mediów", można było jeszcze udawać, że nie traktuje się tego poważnie. Choć i wtedy wypadałoby pamiętać, że najbardziej nawet niesłychane słowa Jarosława Kaczyńskiego trzeba traktować śmiertelnie poważnie. Ale po sześciu latach działań tej władzy? Po sekwencji wydarzeń w jednym, kończącym się właśnie roku? Po lutowym projekcie nałożenia na media podatku od reklam (pamiętamy protest „Media bez wyboru": czarne strony dzienników, czarne ekrany telewizorów)? Po marcowym zakupie przez PKN Orlen Daniela Obajtka grupy Polska Press, wydawcy 20 dzienników i 150 tygodników regionalnych? Po trwającej 19 miesięcy przepychance o TVN 24? Rezultaty są widoczne. W dziennikach regionalnych zmieniono redaktorów i nurt krytyczny wobec władzy zamilkł. Nad TVN 24 zawieszono miecz Damoklesa, który może opaść w każdej, dogodnej dla władzy chwili. Podatek od reklam też zapewne wróci. Oto tło, na którym trzeba widzieć wydarzenia rozgrywające się w gmachu przy ulicy Czerskiej.

Cóż, zarząd rządzi. A to znaczy, że może wszystko. Jednak wyznaczenie „Gazecie Wyborczej" nowego, w istocie szeregowego miejsca w spółce, każe raz jeszcze przypomnieć, o czym mówią dziś wszyscy: to Agora została powołana dla „Wyborczej", nie odwrotnie. To nie nos jest dla tabakiery. Decyzja zarządu tak zasadnicza jak połączenie „Gazety Wyborczej" i portalu Gazeta.pl byłaby zrozumiała tylko wtedy, gdyby redakcja „Wyborczej" sobie nie radziła. Tymczasem radzi ona sobie dobrze, a może i bardzo dobrze, bo świadczy o tym otwieranie jej kolejnych oddziałów terenowych. Owszem, istnieją koszty pozwów ze strony władzy – jest ich ponoć ok. 70. Lecz przecież taka jest cena niezależnego dziennikarstwa, a procesy te „Wyborcza" i tak z reguły wygrywa. O generowaniu drastycznych kosztów trudno byłoby zatem mówić, lecz gdyby naprawdę wysuwano taki argument, sam w sobie byłby on kwestionowaniem niezależności.

Tak, zarząd jest od rządzenia. Zarząd jest od zarządzania. Sęk w tym, że redakcja jest od redagowania. Nie wyobrażam sobie redakcji, której organ zewnętrzny – nawet gdyby miał to być własny zarząd – dyktowałby strukturę, usytuowanie w łonie spółki i skład personalny. Też byłoby to przecież kwestionowanie niezależności. A gdyby istotnie doszło do fuzji, gdyby interes „Wyborczej" został utopiony w interesie czysto komercyjnym, misja pisma uległaby destrukcji. Czyli zniszczeniu, choćby rozłożonemu na raty.

Czy rzeczywiście o to chodzi? Jakieś światło rzuca krążący w sieci materiał opracowany przez wieloletniego dziennikarza „Gazety Wyborczej", Wojciecha Czuchnowskiego. Analiza ta, precyzyjnie udokumentowana, obnaża rozmaite działania zarządu Agory – te nietrafione i te wręcz dające się zakwalifikować jako działanie na szkodę spółki. Materiał to w istocie wstrząsający, choć przecież do zbliżonych wniosków może też prowadzić sama lektura Wikipedii. Jeżeli zatem w przeszłości zarząd raczej generował koszty niż zyski, a równocześnie oszczędzał na zespole redakcyjnym, doprowadzając do kolejnych zwolnień – to jaka była jego troska o swe najważniejsze dziecko? No ale właśnie: czy „Wyborcza" rzeczywiście była/jest dla zarządu najważniejszym dzieckiem? Czytając raport Czuchnowskiego, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że zarząd, zamiast wspierać redakcję, sprzyjał procesowi jej stopniowego ograniczania. Zarząd sam dla siebie był najważniejszym dzieckiem.

Czy „Gazeta Wyborcza" rzeczywiście była/jest dla zarządu Agory najważniejszym dzieckiem?

Czy zatem wszystko zmierza do rozpędzenia redakcji? Do wyrzucenia jej naczelnego, Adama Michnika? Dziś trudno to sobie wyobrazić, ale nie takie rzeczy w państwie PiS trudno było sobie kiedyś wyobrazić. Nieważne jednak, czy zarząd Agory naprawdę porozumiał się z PiS. Ważne, że partii rządzącej niesie najwspanialszy prezent. I jakaż byłaby w tym prezencie finezja: PiS nie zniszczyło „Wyborczej", „Wyborcza" zniszczyła się sama! Tak oto, metodą salami, jest odkrawana nasza wolność. Jeżeli ktoś rzeczywiście „wolności oddać nie umie", musi dziś krzyczeć: ja też jestem „Gazetą Wyborczą"!

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 659b2c71ae

Maestro i jego ogrodnik

Stanisław Dudek: Krzysztof Penderecki nauczył mnie kochać drzewa

Leszek Konarski

Trwająca 40 lat wielka przyjaźń pomiędzy Krzysztofem Pendereckim a Stanisławem Dudkiem, ogrodnikiem w posiadłości kompozytora w Lusławicach, to piękna historia. A najciekawsze, że Dudek, dzisiaj ceniony fachowiec w dziedzinie dendrologii, nigdy wcześniej nie był ogrodnikiem i nie uczęszczał do żadnej szkoły rolniczej. Wszystkiego nauczył się od Pendereckiego.

– Tak, przyznaję, to Krzysztof Penderecki zrobił ze mnie ogrodnika – mówi Stanisław Dudek. – To on nauczył mnie kochać drzewa i mogę to każdemu powiedzieć z czystym sumieniem. Jestem mu za to bardzo wdzięczny, bo nie tylko przekazywał mi swoją wielką wiedzę o drzewach, ale też nauczył mnie szacunku dla każdej rośliny. Dzięki niemu pokochałem zawód ogrodnika.

– Penderecki wykształcił wielu znanych muzyków i jednego ogrodnika? – pytam.

– Tak, to prawda, jestem jego uczniem. Gdy po raz pierwszy zobaczyłem, jak Profesor kocha drzewa, jak otacza je szacunkiem, jak dobiera odpowiednie gatunki, urzekł mnie jego stosunek do natury. Mówiłem mu, że nie mam wykształcenia ogrodniczego, a on mi tłumaczył, że najważniejsze to być wśród drzew, rosnąć razem z nimi i je kochać. Drzewa nas połączyły i choć Profesora nie ma już wśród nas, one stoją i są coraz większe i piękniejsze.

Stanisław Dudek mieszkał pod Gorlicami. Jako chłopak chciał kupić motocykl i w czasie wakacji pracował w firmie budowlanej wuja, która w 1982 r. prowadziła prace przy dworze Elżbiety i Krzysztofa Pendereckich w Lusławicach koło Zakliczyna, niedaleko Tarnowa. Przymierzał się do różnych zawodów, ale nawet przez moment nie przypuszczał, że może zostać ogrodnikiem. Dopiero gdy zobaczył, jak w tworzonym wokół dworu parku Penderecki sadzi drzewa i z jaką pasją o nich mówi, zaczął rozumieć, ile radości daje człowiekowi obcowanie z drzewami. Po wielu rozmowach o życiu drzew, widząc zainteresowanie Dudka, Penderecki zaproponował mu posadę ogrodnika. Nie pomogły tłumaczenia młodego człowieka, że nie ma wykształcenia ogrodniczego, kompozytor odpowiadał, że od szkoły ważniejsza jest miłość do tego, co się robi.

Kolekcjoner drzew

Zabytkowy dwór w Lusławicach, mocno zniszczony, z odpadającymi tynkami i zawilgoconymi podłogami i lamusem z zawalonym stropem, Pendereccy kupili w 1974 r. Posiadłość otaczał zapuszczony dwuhektarowy park. Krzysztof Penderecki postanowił prześwietlić stary drzewostan na tyle, aby stworzyć osie widokowe. Przed dworem ocalały resztki starodrzewu. Kompozytor zastał tu wiekowe klony, jesiony, olchy oraz aleję obsadzoną grabami, wiodącą do grobu przywódcy arian, Fausta Socyna, Włocha, który schronił się tu przed prześladowaniami Kościoła i zmarł w Lusławicach w 1604 r. Na podjeździe przed dworem rósł także okazały tulipanowiec amerykański, posadzony jeszcze w latach 30. XX w. przez poprzedniego właściciela majątku. Po remoncie dwór w Lusławicach stał się jedną z najpiękniejszych zabytkowych rezydencji w Polsce. Równolegle powstawał park.

> Penderecki wykształcił wielu znanych muzyków i jednego ogrodnika.

Stworzenie wokół dworu wspaniałego parku, z drzewami pochodzącymi z całego świata, było jednym z największych marzeń Krzysztofa Pendereckiego i rzeczą nie mniej ważną niż komponowanie muzyki. Sukcesywnie dokupywał ziemię, rozbudowując park i tworząc kolekcję unikatową na skalę europejską.

Krzysztof Penderecki jeździł po całym świecie i, jak sam kiedyś powiedział, w pewnym momencie życia poczuł, że zwiedził już wszystkie najznakomitsze muzea i galerie, nadszedł czas na ogrody botaniczne. Gdzie tylko był, szukał ogrodów botanicznych, notował łacińskie

FOT. MAREK BEBŁOT/LUSLAWICE.COM

eprasa.pl 659b2c71ae

Przyjaźń pomiędzy kompozytorem Krzysztofem Pendereckim a Stanisławem Dudkiem trwała przez 40 lat.

nazwy drzew i potem kupował wymarzone okazy. Dawniej, ze względu na przepisy celne, przemycał cenne sadzonki przez granicę w reklamówkach lub pomiędzy bukietami kwiatów. Od 1982 r. w znajdowaniu najciekawszych drzew pomagał mu Stanisław Dudek.

– W Lusławicach prof. Penderecki wstawał bardzo wcześnie, około godz. 5 rano – wspomina Dudek. – Wychodził na ganek, słuchał śpiewu ptaków i potem zabierał się do pracy. Rozkładał papier nutowy na dużym stole w swoim gabinecie i pisał muzykę. Potem, gdy się zmęczył, często odwracał papier nutowy na drugą stronę i robił szkice nowego fragmentu parku. Pokazywał mi ten rysunek i mówił: „Stasiu, ja bym to tak widział, zobacz, tu posadzimy to, tam tamto, tu będzie alejka, co o tym sądzisz?". Zawsze ze mną wszystko konsultował. Niekiedy coś mu podpowiedziałem, doradziłem, ale zawsze realizowałem jego pomysły, bo to był jego wymarzony park, tak samo ważny jak jego symfonie. Zawsze mi powtarzał, że chciałby po sobie zostawić nie tylko muzykę, ale i drzewa.

I tak powstawały kolejne fragmenty parku, ogród włoski z czterema poziomami tarasów, angielski, japoński, aleje dębowe, sekwoi i tulipanowców amerykańskich, olbrzymi labirynt zbudowany z 15 tys. przyciętych grabów. Plan tego labiryntu pochodzi ze znalezionej we Francji kamiennej płyty z XIII w. i nigdy, poza Lusławicami, nie został zrealizowany. Dla Krzysztofa Pendereckiego labirynt to ważny symbol drogi twórczej. To metafora artysty, który wiecznie błądzi, poszukuje drogi, co zdaniem kompozytora było znacznie cenniejsze niż łatwa, prosta droga do celu.

– Sadzonki drzew prof. Penderecki kupował na całym świecie i z wielu krajów nadchodziły przesyłki. Czasem wsiadaliśmy w samochód i jechaliśmy do szkółek w Niemczech czy w Holandii. Potem w Polsce powstało wiele znakomitych szkółek i było łatwiej coś ciekawego kupić. Pamiętam, jak raz Profesor zatelefonował do mnie i powiedział: „Stasiu, jutro będę miał dwie i pół godziny, przyjedź do Warszawy, pojedziemy do Pęchcina, bo Szmitowie mają coś nowego". A szkółkę prowadzoną przez Joannę i Bronisława Szmitów w Pęchcinie koło Ciechanowa uważał za najlepszą w Polsce, z jej właścicielami był zaprzyjaźniony, odwiedzali go w Lusławicach. Czasem ja znalazłem ciekawą szkółkę i tam jechaliśmy. Do Lusławic Penderecki zapraszał znanych dendrologów, którzy konsultowali z nim niektóre nasadzenia i przy okazji ja też sporo się nauczyłem. Nie twierdzę, że mieliśmy same sukcesy. Zdarzało się, że drzewa sprowadzone z innych kontynentów nie wytrzymywały naszego klimatu.

Dla Krzysztofa Pendereckiego tworzenie parku było nie mniej ważne niż komponowanie muzyki.

Krzysztof Penderecki tłumaczył ogrodnikowi, że tak jak filatelista chce mieć w kolekcji najwartościowsze znaczki, tak i on chciałby mieć w Lusławicach najpiękniejsze drzewa. W lusławickim parku zgromadził prawie 2 tys. gatunków. Pamiętał niemal wszystkie ich łacińskie nazwy. – Zawsze mi powtarzał, że park to nie las, każde drzewo musi mieć swoje miejsce. Tak powstała unikatowa kolekcja – arboretum.

Ceremoniał sadzenia

Pierwsze drzewa były w parku sadzone ręką kompozytora, potem pomagał mu Stanisław Dudek: – Profesor zawsze bardzo chciał brać osobisty udział w każdym sadzeniu nowych drzew i tak starał się układać plany koncertowe, aby w okresach nasadzeń, w kwietniu oraz na przełomie września i października, być w Lusławicach. W kalendarzu pisał: „Sadzenie. Lusławice" i w miarę możliwości przyjeżdżał. Każde nadejście przesyłki z sadzonkami to było dla niego święto. Dawaliśmy mu szpadel i w grupie kilku osób szliśmy sadzić drzewa we wskazanym miejscu. Nie kopał dołów, miał do tego pomocników, ale bardzo chciał być obecny, dotknąć sadzonki przed włożeniem jej do ziemi. Mówił stale: „To są moje drzewa, ja je tu posadziłem".

W swoim arboretum Penderecki posadził klony kanadyjskie, japońskie, chińskie, ponad 40 odmian buków. Gdy na świat przyszła jego wnuczka Marysia, w dwóch krzyżujących się alejkach zasadził 132 dęby polskie i amerykańskie. W tym parku są chiński miłorząb, modrzew japoński, jodła koreańska, korkowiec amurski, mamutowiec olbrzymi, kielichowiec, kanadyjski klon cukrowy, chińska topola. Tu również znajduje się jedyna w Polsce aleja tulipanowców pochodzących z amerykańskiej Georgii.

Wszystkie drzewa tworzą jedną wielką, polifoniczną orkiestrę i choć nie słychać tu dźwięków, czuć rękę dyrygenta. Najstarszy jest 250-letni dąb *Quercus robur*, zasadzony przez poprzedników, a najmłodszy dąb *Quercus rubra*, dar urodzinowy prezydenta Niemiec, posadzony w dniu 86. urodzin Pendereckiego – 23 listopada 2019 r.

Jerzy Niesiobędzki (1934-2021)

Z głębokim żalem żegnamy wybitnego krytyka i eseistę, Prezesa Honorowego Klubu Krytyki Teatralnej Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Przez wiele lat związany z Toruniem i Bydgoszczą, kierownik literacki teatrów w tych miastach, zastępca redaktora naczelnego bydgoskich „Faktów", był wnikliwym obserwatorem teatru w całej Polsce.

Zarząd Klubu Krytyki Teatralnej SDRP/polska sekcja AICT

eprasa.pl 659b2c71ae

Penderecki mawiał, że może mieszkać wszędzie na świecie, ale jego ukochanym miejscem na ziemi są Lusławice, gdzie jako dendrolog czuje się bardziej pewny niż jako kompozytor. Każde drzewo musi być zakorzenione w ziemi i sięgać nieba, tak samo jak sztuka. I przypominał: „Bez korzeni nie ostoi się żadna sztuka". A pod koniec życia, zastanawiając się, co trwałego oprócz muzyki po nim zostanie, był pewien, że „drzewa pozostaną".

Żywa pamiątka

Krzysztof Penderecki wiedział, że drzewa w jego parku będą coraz większe i piękniejsze, obawiał się tylko, czy po jego śmierci przyszły właściciel zespołu dworsko-parkowego będzie się opiekował należycie tym miejscem. Dlatego kilka lat temu wyszedł z propozycją odpłatnego przejęcia przez państwo jego posiadłości w Lusławicach i powierzenia jej pod opiekę znajdującemu się obok Europejskiemu Centrum Muzyki, instytucji powołanej i stworzonej w myśl idei kompozytora. W maju 2019 r. Elżbieta i Krzysztof Pendereccy oraz minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński podpisali list intencyjny dotyczący zamiaru kupna przez skarb państwa tego „wyjątkowego założenia dworsko-parkowego" i udostępnienia go społeczeństwu. Przygotowania do zawarcia transakcji przerwała śmierć kompozytora.

Starał się tak układać plany koncertowe, aby w okresach nasadzeń być w Lusławicach.

Jeden z najwybitniejszych polskich kompozytorów współczesnych, autor czterech oper, ośmiu symfonii i wielu innych utworów orkiestrowych, zmarł 29 marca 2020 r. w wieku 86 lat. Z powodu pandemii w kościele Matki Bożej Królowej Polski na Woli Justowskiej w Krakowie, w pobliżu krakowskiego domu artysty, odbyła się prywatna msza pogrzebowa dla najbliższej rodziny, a urna z prochami została złożona w kościele św. Floriana, gdzie czeka na oficjalne państwowe uroczystości pogrzebowe, z odprowadzeniem urny do Panteonu Narodowego w krakowskim kościele św. Piotra i Pawła przy ulicy Grodzkiej. Obchody zaplanowano na 29 marca 2022 r.

Realizując wolę kompozytora, 24 listopada 2021 r., w Europejskim Centrum Muzyki Elżbieta Penderecka i minister Piotr Gliński poinformowali o podpisaniu umowy w sprawie nabycia przez skarb państwa, za ponad 20 mln zł, posiadłości w Lusławicach wraz z 15-hektarowym parkiem i powierzenia opieki nad tym miejscem Europejskiemu Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego. Ta otwarta w 2013 r. instytucja jest miejscem spotkań muzyków z całego świata. Teraz jej misją będzie również udostępnianie miejsca bliskiego sercu patrona – wspaniałego dworu i ukochanego parku.

– Krzysztof Penderecki nigdy nawet nie pomyślał, że jego posiadłość mogłaby przejąć osoba prywatna – mówi Adam Balas, dyrektor ECM. – Chciał tu pozostawić po sobie pamiątkę dla potomnych. Lusławice były dla niego azylem, z radością wracał tu z każdej podróży.

Za granicą kompozytor najczęściej odwiedzał ogrody botaniczne.

Choć swoje utwory pisał też w domu w Krakowie i w czasie pobytów w Jastrzębiej Górze, najbardziej lubił tę ciszę w Lusławicach. Tu komponował muzykę i tworzył swój park. Te drzewa dodawały mu sił, on z nimi rozmawiał. Był architektem krajobrazu i wizjonerem myślącym, jak ten park będzie wyglądał za wiele lat. Przejmując dwór i 15 ha arboretum, nie chcemy tworzyć muzeum, to będzie żywe miejsce pamięci po wielkim kompozytorze. Teraz umożliwiamy już wycieczkom zwiedzanie parku, myślę, że na wiosnę uda się udostępnić zwiedzającym dwór.

Jak zapewnia dyrektor Balas, opiekunem parku nadal będzie Stanisław Dudek, teraz jako pracownik ECM. – Ogrodnictwa uczył mnie Krzysztof Penderecki, jestem jego uczniem i znam tu każde drzewo – podkreśla Stanisław Dudek. – Profesor uświadomił mi, jak bardzo trzeba kochać drzewa, a jak człowiek coś raz pokocha, zostaje to na całe życie. Nie wyobrażam sobie robić coś innego.

Leszek Konarski

WAŻNE! URATUJMY MAMĘ I DZIECKO

Szanowni Państwo,
Pokornie schylamy przed Wami głowy, prosząc o ratunek dla źrebnej Anielki i jej maleńkiej córeczki Antosi. Wiemy, że są Święta, że macie wiele ważnych spraw, ale one nie mogą czekać. Jeśli teraz nie zrobimy nic, one za kilka dni stracą życie.

Anielkę znaleźliśmy w miejscu, gdzie śmierć jest codziennością. Zasłaniała sobą własne dziecko. Z rzeźnicką liną na głowie, w komórce, do której nie dociera ani światło, ani nadzieja, czeka na wykonanie wyroku.

Bezbronna, oszukana przez wszystkich, którym ufała, bez szansy na ratunek. Czy wie, że przed nimi najgorsze? Czy przeczuwa, że gdy nadejdzie koniec, zostaną siłą rozdzielone? Czy pęknie jej serce, gdy nie będzie mogła ocalić rozpaczliwie wołającego ją na pomoc Antosi? Czy może zginie z rąk rzeźnika pierwsza? Nie chcemy o tym myśleć ani wiedzieć. Ty i ja mamy wybór. One nie mają już nic. **Konie te stoją w miejscu najgorszym z możliwych. Handlarz, który je kupił, prowadzi przydomową ubojnię. Skupuje te, których nikt inny nie chce, zabija na miejscu.** Tu nie ma długich terminów na spłatę, a negocjacje to lekcja cierpliwości i pokory. **Dostajemy czas do 28 grudnia** na zebranie 3700 zł – tyle kosztuje ich życie i transport. Prosimy, podarujmy im życie na święta. Wspólnie możemy to zrobić.

Jeśli możesz pomóc, dokonaj darowizny "Ratunek dla ANIELKI I ANTOSI"
numer konta: 23 1020 4027 0000 1102 1692 6564
Fundacja BENEK, ul. Orzechowa 15, 63-004 Szewce
KRS0000794938 - podaruj 1% podatku na zwierzęta.
www.fundacjabenek.pl Tel: Michał Bednarek 506 349 596

DZIĘKUJEMY CI ZA KAŻDE WSPARCIE

Działamy od 11 lat. Uratowaliśmy setki zwierząt. Prowadzimy warsztaty terapii zajęciowej w 31 placówkach, a w naszym ośrodku w Szewcach również hipoterapię, onoterapię i zajęcia edukacyjne. Nie zatrudniamy żadnego pracownika, wszystkie prace wykonujemy sami, bądź dzięki wsparciu naszych cudownych wolontariuszy.

eprasa.pl 659b2c71ae

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Miałem milczeć, zawarczę

Wiem, wiem: święta, rodzinnie, tradycja, wszyscy razem, uśmiechnięci i obżarci, niby milczą, a się drą, niby słuchają zwierząt, a od telewizora nie odchodzą. Pomyślałem: pomilczę i ja. Ale się nie dało, więc napiszę, o czym milczę.

O 13 grudnia 1981 r. Ważna data, pamiętam ten dzień, odcisnęły się te wydarzenia na całym moim życiu. Ale minęło od nich 40 lat, wiemy więcej, jesteśmy gdzie indziej, wiemy, czym to się skończyło, możemy porównać z innymi miejscami świata, gdzie wojskowi przejmowali władzę – jak to robili, jakim kosztem. Przychodzi więc znać umiar. Przypomnimy tylko Chile, nie tak wiele lat wcześniej, czy Argentynę. A może zamach majowy z 1926 r., Berezę czy stłumienie strajku chłopskiego w II RP? Z czym do gościa? Tymczasem Bogusław Chrabota, redaktor naczelny „Rzeczpospolitej", w swoim komentarzu rozwibrowuje się jak rozbiegany diesel, jesteśmy pewni, że zaraz z tej grozy cały spłonie. Pisze już w tytule: „Stan wojenny jako ostatni akt stalinizmu". No doprawdy? Fobia antykomunistyczna w powikłaniach wywołuje pełną amnezję historyczną? Ale to dopiero przygrywka...

„Pamiętam nastrój, jak z przedsionka komory gazowej" – tu nasz autor wkracza na grząskie pole denializmu holokaustowego, bo żadną miarą ani form, ani skali, ani rezultatów przemocy stanu wojennego nie da się postawić obok Zagłady, zgrozy II wojny światowej, eksterminacji z lat 1939-1945. Na mniejszym diapazonie histerii, ale z niezrównaną brawurą szarżuje Chrabota na kobyle historii w wiek XIX: „Tak, stan wojenny był gorszy niż zabory". Wstydźcie się, sybiracy, szubieniczni straceńcy, więźniowie carskich czy pruskich kazamat i cytadel – nic nie wiecie o cierpieniu, boście półtora roku stanu wojennego nie doświadczyli... Żywi też autor mgławicowe sny o potędze i determinacji oporu: „Gdyby stan wojenny trwał dłużej, wyzwoliłby walkę zbrojną z komunistycznym reżimem". No przykro czytać takie dyrdymały. Dobrze czy źle, ale Solidarność wybrała jako ideę walkę bez przemocy – nie mówię tu o grupie podpuszczonych przez fanatycznego księdza małoletnich, przypadkowych zabójcach sierżanta MO Zdzisława Karosa – i tego na dobre i na złe się trzymała. Tym był podziemny ruch wydawniczy, tym były szybko gasnące i sporadyczne strajki. Ani przez chwilę nie istniał realny wariant „bojowy" – cóż, nie wystarczy żyć w danych czasach, trzeba jeszcze coś o nich wiedzieć, a na dodatek rozumieć.

Ale cele publicystyczne ma Chrabota znacznie bardziej dalekosiężne: „Mam coraz mniej cierpliwości, by słuchać bajań o historycznej konieczności czy realizmie ekipy Jaruzelskiego. Coraz bardziej mnie wkurza relatywizm moralny ekspertów i świadków epoki. Bo zło, choćby pięknie opakowane, zawsze zostanie złem, a dobro dobrem. Nie stać nas na subtelności egzegetów polityki, kiedy walczy się o jasny sens historii". Prawnik, politolog kształcony w USA, publicysta, komentator polityczny dużego, ważnego dziennika to pisze? Czy egzaltowany katecheta i najmądrzejszy ze wszystkich student pierwszego roku czegokolwiek? Jasny sens historii? Jeden? Jasny? Skądeś, chłopie, się wziął? Chyba z Krakowa... No, w rzeczy samej. Ta sama *Alma Mater* co urzędującego Dudy – Uniwersytet Jagielloński, ten sam wydział... No, orły, sokoły polskiej tromtadracji wyleciały nam na nieboskłon. Wiem, że trudno naczelnemu powiedzieć, że bzdury plecie i androny nad andronami, jak pisał Kohelet, ale dlaczegoście mu to uczynili, koleżanki i koledzy z „Rzeczpospolitej", milcząc?

Choć jest wytłumaczenie – wprowadzenie stanu wojennego zakłóciło redaktorowi Chrabocie 17. urodziny, a już „miał być jakiś tort, impreza, rock'n'roll". Szkoda tortu, ale żeby przez 40 lat przywoływać ten żal większy niż Stalin, komory gazowe, zabory? Co to musiał być za tort! Z kremówek? I „Barka" w wersji rock'n'roll, jaką lubi Andrzej Duda zatańczyć?

Tymczasem sąd w Wielkiej Brytanii zrobił milowy krok, żeby doszła do skutku ekstradycja Juliana Assange'a, założyciela WikiLeaks, globalnego portalu ujawniającego przekręty najmożniejszych i najpotężniejszych, od władz USA poczynając. Władz, o których już dzisiaj bezspornie wiemy, że planowały operację zgładzenia Assange'a, zatrzymanego i przetrzymywanego od 11 lat w Wielkiej Brytanii (przez lata schronienia udzielała mu ambasada Ekwadoru, od dwóch lat przebywa w areszcie brytyjskim). Długo osią oskarżenia były zarzuty o przestępstwa seksualne, mimo umorzenia postępowania przez szwedzką prokuraturę – nie wyszedł na wolność. W USA grozi mu 175 lat więzienia, inni mówią o karze śmierci. W końcu ujawnił utajnione depesze na temat zbrodni wojennych w Afganistanie, Iraku, szczegóły funkcjonowania Guantanamo, depesze amerykańskich ambasad. Represje wobec Assange'a przechodzą w ciszy. Także polskiej.

> W tym roku nie ma żadnej Wigilii, bo zagościła śmierć na polsko-białoruskiej granicy.

I na koniec polskiej ciszy – wśród nocnej ciszy nikt się nie rodzi, tylko umiera. W tym roku nie ma żadnej Wigilii, bo zagościła śmierć na polsko-białoruskiej granicy. Dobrze przyjęta i zaopiekowana przez polskie władze (chrześcijańskie do bólu). Wśród umarłych-zamordowanych był i Jezus, były kobiety w ciąży, dzieci i młodzi mężczyźni. Polska granica tylko dlatego nie spływa krwią, ponieważ jest mróz i krew zamarzła. Żyjemy w kraju ludzi z kamiennymi sercami. Żadnego li, li, li, li, laj, żadnego dodatkowego nakrycia, tylko dla naszych, swoich. Żadnych życzeń.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 659b2c71ae

Prawica rządzi w internecie

Pandemia pomogła w internetowych sukcesach Konfederacji, ale platformy cyfrowe od lat były dla prawicy gościnne

Jakub Dymek

Krzysztof Bosak i Sławomir Mentzen regularnie trafiają do zestawień najskuteczniejszych polityków w mediach społecznościowych.

Sławomir Mentzen, urodzony w 1986 r. doradca podatkowy, ekonomista, właściciel sklepu myśliwskiego i wiceprezes kanapowej partii KORWiN, otrzymał w wyborach parlamentarnych w 2019 r. 16 tys. głosów. Nie był to imponujący wynik jak na jego rodzinny Toruń – mandat z tego samego okręgu uzyskała z lepszym o 10 tys. głosów wynikiem Joanna Scheuring-Wielgus, obecnie posłanka Lewicy, a wcześniej Nowoczesnej. Menzten do Sejmu się nie dostał, wcześniej nieskuteczne były jego kampanie do Parlamentu Europejskiego i na prezydenta Torunia. Dla wielu czytelników PRZEGLĄDU ten związany z kolejnymi wcieleniami Korwinowskich partii działacz, doktor ekonomii, jest pewnie anonimowy.

Tymczasem w internecie Menzten jest jednoosobową potęgą. Aktywista partii, która miałaby duży problem z przekroczeniem progu wyborczego, tylko na Facebooku ma 315 tys. fanów, więcej niż oficjalne profile PO czy PiS. Kolejne 130 i 110 tys. obserwujących ma na Twitterze i YouTubie. Mniej niż Andrzej Duda, Rafał Trzaskowski czy Robert Biedroń, ale ci politycy obecni są w mediach od lat. Mentzen jest zaś pewnie jedynym politykiem, który nie ma nawet mandatu poselskiego, a w internecie dociera do większej liczby Polek i Polaków niż najważniejsze osoby w państwie. Wywiad Mentzena udzielony innemu celebrycie sieci społecznościowych, dziennikarzowi sportowemu Krzysztofowi Stanowskiemu, miał na YouTubie prawie 3 mln odsłon.

Przypadek doradcy podatkowego z Torunia pokazuje jednak tylko szerszy trend. Prawica – dziś przede wszystkim ta na prawo od PiS – radzi sobie niezwykle dobrze w internecie. Popularność jej działaczy i potencjał docierania do użytkowników sieci społecznościowych są wielokrotnie większe niż faktyczne wyniki wyborcze i rozpoznawalność w tradycyjnych mediach – radiu, prasie, telewizji. Ostatnie 10 lat było okresem wyjątkowo korzystnym dla prawicy w sieci. Kwestionowanie pandemii i walka z wprowadzanymi przez rządy obostrzeniami tylko jej pomogły. A platformy cyfrowe mają dla ekscesów prawicowych influencerów i polityków dużo więcej wyrozumiałości, niż chciałyby publicznie przyznać.

Trzy złote zasady

Żeby zrozumieć pozycję dzisiejszej prawicy i skrajnej prawicy na platformach społecznościowych – Facebooku, Twitterze, YouTubie – trzeba się cofnąć o dekadę. Wtedy, gdzieś po kryzysie gospodarczym z 2008 r., ale jeszcze na długo przed sukcesami Trumpa czy referendum brexitowym, prawica pojęła trzy rzeczy, których jeszcze nie rozumieli jej przeciwnicy. Te wnioski były uniwersalne, bo to samo i w podobnym czasie zadziałało i w Polsce, i w USA, i w Wielkiej Brytanii czy we Włoszech.

Po pierwsze, popularność w sieci można zdobywać za bezcen – inwestując nieporównywalnie mniej czasu i pieniędzy, niż wymagały tego konwencjonalne media. Wcześniej stworzenie nawet małej i lokalnej rozgłośni radiowej, półamatorskiej telewizji czy gazety wymagało choćby dostępu do profesjonalnego sprzętu i odrobiny wiedzy. Polityk czy aktywista, który chciał osiągnąć rozpoznawalność, potrzebował na to nierzadko całych lat wysiłków. Fakt, że koło 2010 r. już nawet tani smartfon z dostępem do sieci pozwalał natychmiast wystartować z kanałami na YouTubie, Twitterze i Facebooku naraz, zmienił wszystko.

Po drugie, prawica zrozumiała, że nawet jeśli nie od razu, to już wkrótce w mediach społecznościowych – a nie w telewizji czy na falach radia – będzie się toczyć bitwa o uwagę

FOT. ŁUKASZ PIECYK/REPORTER

eprasa.pl 659b2c71ae

milionów. Potęga sieci będzie rosła z każdym rokiem wraz z każdym milionem osób, które porzucają gazetę czy telewizję na rzecz kanałów sieciowych. Krzywa zysków, popularności i zasięgów w internecie po prostu będzie musiała iść w górę, innego kierunku nie ma. To pewna inwestycja. Opłacało się zacząć choćby od najskromniejszego, chałupniczego przedsięwzięcia i czekać, aż korzyści przyjdą same.

Po trzecie zaś, prawica pojęła, że wraz z umasowieniem się komunikacji przestały obowiązywać wszystkie wcześniejsze konwencje związane z rolą ekspertów, hierarchią autorytetów i rzetelnością treści. Jeszcze w połowie pierwszej dekady XXI w. próbowano rządzić świadomością mas, odwołując się do intelektualnych, moralnych i politycznych autorytetów – 10 lat później nikt nie miał złudzeń, że liczy się coś innego niż „chłopski rozum", „mówienie, jak jest" i „walenie prosto z mostu". Odrzucenie ekspertów i konwencjonalnych mądrości podczas referendum w Wielkiej Brytanii czy amerykańskich wyborów było nie początkiem, ale zwieńczeniem tego długiego procesu.

Z tego zaś wynika jeszcze jedna rzecz: radykalizm wygrywa. Urok polityków w rodzaju Kwaśniewskiego albo swojski wizerunek Tuska, które tak dobrze sprawdzały się jeszcze w dobie telewizji informacyjnych, w sieci zaczęły przegrywać z bezpośredniością, wulgarnością i brakiem powagi bohaterów nowej generacji. To nie przypadek, że mniej więcej w tym samym czasie w tak wielu krajach o najwyższe urzędy zaczęli walczyć byli celebryci (Donald Trump), dziennikarze tabloidów (Boris Johnson), komicy, aktorzy czy też kaznodzieje (aktualnie: Éric Zemmour we Francji, Wołodymyr Zełenski w Ukrainie albo Szymon Hołownia w Polsce).

90% dla Konfederacji

Jeśli to tak jasne i logiczne, dlaczego w swoim czasie zrozumiała to tylko prawica, a jej konkurenci już nie? Odpowiedzi jest kilka, ale najważniejsza dotyczy jednego z podstawowych mitów prawicy – opowieści o terrorze politycznej poprawności, cenzurze i wykluczeniu konserwatystów z debaty publicznej. Właśnie przekonanie, że konserwatyści mają pod górkę – niezależnie od tego, czy rzeczywiście tak było – popchnęło prawicę do gorliwego podboju sieci. A i prawda jest taka, że media społecznościowe były przez długi czas Dzikim Zachodem – każdy, komu nie brakowało determinacji i agresji, mógł wykroić dla siebie odpowiednio dużą działkę. Im bardziej ktoś uważał, że jest wykluczony z debaty publicznej – narodowcy, smoleński odłam PiS, skrajni libertarianie, antyszczepionkowcy… – z tym większą energią szukał nowych kanałów przebicia się w sieci.

Dziś wiemy już dobrze, że nowe media internetowe i sprawniejsze wykorzystanie sieci były decydujące dla wygranej Donalda Trumpa, przeciwników członkostwa w UE podczas brytyjskiego referendum czy dla sukcesu Andrzeja Dudy, a następnie PiS w Polsce. Nie mamy równie dobrych danych jak Amerykanie ani nie analizujemy polskich kampanii w sieci równie intensywnie, jak dzieje się to w USA lub u naszych zachodnich sąsiadów z UE. To zresztą dla polityków wygodne. To, jak wydają pieniądze w sieci i jak nami manipulują, wciąż uważa się za niezbadane terytorium. Ale publicznie dostępne informacje potwierdzają te intuicje. Nawet jeśli kiedyś prawa strona miała w mediach pod górkę, obecnie konserwatyści, religijna prawica, narodowcy i skrajni libertarianie nie mają na co narzekać – ostatnie 10 lat było dla nich bardzo łaskawe. A zwycięzców widać gołym okiem. Kiedyś były to PiS i prawicowe tygodniki opinii, swój moment sukcesu miał Paweł Kukiz, w tej chwili przewagę umacniają Konfederacja i nacjonaliści od Bosaka, najwytrwalsi weterani walki o zasięgi w internecie.

Najnowszy raport firmy Sotrender, która zajmuje się fachową analizą ruchu, popularności i zasięgu treści w sieci, pokazuje to jasno: 13 z 15 najpopularniejszych postów na Facebooku w kategorii polityka w październiku to wpisy Konfederacji lub Ruchu Narodowego! Dwa wyjątki to jeden post Solidarnej Polski i jeden Rafała Trzaskowskiego. We wrześniu br. jeszcze więcej: 14 z 15 najpopularniejszych postów na Facebooku to albo Konfederacja, albo Ruch Narodowy, albo Sławomir Mentzen. Konfederacja jest najpopularniejszą partią na platformie, a jej posłowie i działacze – Artur Dziambor, Konrad Berkowicz, Sławomir Mentzen, Krzysztof Bosak – regularnie trafiają do zestawień najskuteczniejszych polityków w mediach społecznościowych. Konfederacja jest najpopularniejszą polską partią na Facebooku, a są okresy, kiedy osiąga wyniki kilkunastokrotnie lepsze niż PO, PiS i Lewica. Badania pokazują poza tym, że spadki popularności i aktywności w sieci partii rządzącej i jej koalicjantów towarzyszą zwyżkom dla Konfederacji, która rozpycha się tam, gdzie inne partie prawicy nie mogą lub nie potrafią.

To wszystko informacje z Facebooka, ale sytuacja na YouTubie czy Twitterze jest być może jeszcze korzystniejsza dla prawicy. Zdaniem wielu ekspertów, w tym dr. Dominika Batorskiego z Sotrendera, YouTube oraz jego algorytmy nawet mocniej dokładają się do polaryzacji opinii politycznych w Polsce. I rzut oka wystarczy, żeby zobaczyć, jak prawicowo-libertariański przechył mają polskojęzyczne treści w tym serwisie.

Mocniej, ostrzej, lepiej

Platform cyfrowych i ich algorytmów nikt nie zaprojektował celowo w ten sposób, aby służyły prawicy. Ale fałszywy był też mit,

Platformy cyfrowe mają dla ekscesów prawicowych influencerów i polityków dużo wyrozumiałości.

W październiku 13 z 15 najpopularniejszych postów na Facebooku w kategorii polityka to wpisy Konfederacji lub Ruchu Narodowego!

eprasa.pl 659b2c71ae

że w środowisku cyfrowym lepiej poradzą sobie liberałowie i lewica – bo mają młodszych, bardziej wyedukowanych wyborców i wsparcie branży kreatywnej. Prawda jest taka, że platformy cyfrowe faworyzują to, co generuje więcej interakcji – niezależnie od tego, czy są one pozytywne, czy negatywne. W świecie komunikacji politycznej oznacza to, że wygrywać będą treści krótkie i dosadne, odwołujące się do strachu i oburzenia, bo te emocje dają szybki hormonalny impuls do działania. Tym działaniem jest dalsze udostępnianie treści na platformach społecznościowych, komentowanie i wciąganie do dyskusji kolejnych osób. Idealny przekaz polityczny musi jednocześnie udawać wiedzę dla wtajemniczonych („media wam tego nie powiedzą!"), prowokować do natychmiastowej reakcji i wywoływać spór. Musi być na tyle kontrowersyjny, by ludzie o nim dyskutowali, ale na tyle jednoznaczny i prosty, żeby każdy wiedział, o co ma się pokłócić i z kim.

Gdy spojrzeć na najpopularniejszych polityków na Facebooku i Twitterze po stronie Zjednoczonej Prawicy i Koalicji Obywatelskiej, można łatwo dowieść, że to, co winduje zasięgi Mentzena czy Bosaka, działa także wobec innych. Do najpopularniejszych na Facebooku – wyłączając z tego zestawienia kandydatów w wyborach prezydenckich należą – Radosław Sikorski, Patryk Jaki, Klaudia Jachira, Adam Andruszkiewicz, Krzysztof Brejza i Sławomir Nitras. Właściwie każda z tych osób wpisuje się w jeden z trzech wzorców postaci: chuligan, komik, skandalista, czasami łącząc ich elementy. Warto zwrócić uwagę na to, jak mało poważni, z wyjątkiem może Sikorskiego, są to politycy; nawet w swoich ugrupowaniach zajmują pozycje radykałów i zagończyków. Jak niegdyś Janusz Palikot, który na pewno cieszyłby się wysoką pozycją w podobnych rankingach, gdyby został w polityce dłużej.

Zdaniem psychologa społecznego Jonathana Haidta, który poświęcił temu zjawisku bestsellerową książkę „Prawy umysł", naszymi politycznymi wyborami rządzą emocje i odruchy, nawet jeśli wydaje się nam inaczej. W tej emocjonalnej polityce ostatnich lat lewica i liberałowie – świeccy, wielkomiejscy, racjonalni – przegrywają i będą przegrywać. Prawa strona odwołuje się do wielu koncepcji dobra i moralności, również nieracjonalnych – do tradycji, honoru, porządku, religii. Świecka lewica i liberałowie zaś, nawet gdy sięgają po emocje, są skrępowani swoim racjonalnym i indywidualistycznym rozumieniem świata. Prawica w grze ludzkimi emocjami ma większy repertuar. To zaś w połączeniu z podkręcającymi emocjonalność przekazu algorytmami platform cyfrowych bardzo jej służy.

Do najpopularniejszych polityków na Facebooku należą Radosław Sikorski, Patryk Jaki, Klaudia Jachira, Adam Andruszkiewicz, Krzysztof Brejza i Sławomir Nitras.

Złoto fałszywej pandemii

Wszystko to pozwala zrozumieć, dlaczego w sieci tak doskonałym czasem dla Konfederacji i prawicy w ogóle była pandemia. Gdy w sferze informacyjnej było dużo niepewności, strachu i domysłów, można było próbować je łagodzić za pomocą języka autorytetu i nauki – i to robili zgodnie politycy głównego nurtu i media. Ale można było także te lęki, kontrowersje i niepewność wykorzystać, nagłaśniając tezy przeciwne do konsensusu naukowców i ekspertów oraz punktując niespójność oficjalnej narracji.

Mówiąc zaś wprost: gdy przeważająca większość mediów i autorytetów w sprawie pandemii powielała ustalenia WHO, tylko kwestią czasu było, kiedy ktoś to wykorzysta. Na tych, którzy postanowili zaprzeczać, kwestionować i publicznie wątpić, czekała przecież wielka nagroda w mediach społecznościowych. Im bardziej jednolity i spójny wydawał się przekaz rządów, mediów i organizacji międzynarodowych, tym większym radykałem i wolnomyślicielem musiał się wydawać ktoś, kto popłynie pod prąd. A wpisy, nagrania wideo i memy publikowane przez konfederatów o pandemii dokładnie spełniały warunki algorytmu. Były kontrowersyjne, prowokowały do dyskusji, odwoływały się do emocji i skłaniały do natychmiastowego działania. Język sceptycyzmu wobec pandemii był też wyborem tożsamościowym: przyciągał wszystkich, którzy z dowolnego innego powodu byli nieufni wobec władzy, autorytetów i nauki. Konfederacja świadomie i umiejętnie zagospodarowywała tę nadwyżkę.

Ale czy łamała przy tym regulamin platform, które rzekomo surowo zwalczają dezinformację i mowę nienawiści? Oczywiście, że nie. Prawica przez lata nauczyła się sprawnie balansować na granicy regulaminów i zakazów, jakie bezskutecznie próbują nakładać Facebook czy YouTube. Mówią rzeczy na tyle kontrowersyjne, by wyborcy widzieli w nich „zakazany owoc" – słowa wymykające się poprawności politycznej i rzekomej cenzurze. Ale zarazem na tyle aluzyjne lub czysto publicystyczne, że trudno się do nich przyczepić. Czy np. Konfederacja zniechęca ludzi do szczepień i przeczy nauce? Nie, wyłącznie zwalcza „segregację sanitarną" i „przymus paszportów covidowych".

I ta gra będzie tak trwać, bo platformy cyfrowe i radykalna prawica zrosły się na dobre. Choć z różnych powodów mogą nie chcieć do tego się przyznać, faktycznie to symbioza. Prawica robi ruch platformom, te w zamian kierują jeszcze więcej uwagi na prawicę. I wszyscy są zadowoleni.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 659b2c71ae

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Bezwstyd nasz powszedni

Powiem państwu, jakie uczucie towarzyszy mi ostatnio nader często. Zażenowanie. Jak wiadomo, to poczucie wstydu za kogoś, kto sam się nie wstydzi, ponieważ albo uczucie wstydu jest mu w ogóle obce, albo uważa błędnie, że wstydzić się nie ma za co, choć robi rzeczy wstydu godne. Moja teza jest taka: coraz więcej osób w ogóle nie ma poczucia wstydu, a równie wiele nie zdaje sobie sprawy, że robi coś, czego trzeba się wstydzić, choć poczucie wstydu jako takie nie jest im obce. Przy czym należy koniecznie pamiętać, że wstyd jest kategorią kulturową i historycznie zmienną. W tym sensie czegoś innego wstydzili się ludzie średniowiecza, a czegoś innego ludzie z epoki nowożytnej. Inaczej przyczyny wstydu wyglądały w kulturze zachodniej, a inaczej w kulturze wschodniej. Są to rzeczy antropologom kultury, kulturoznawcom i historykom doskonale znane, często wykorzystywane przez nich, aby nieco zaszokować studentów np. przypomnieniem, że ludzie średniowiecza, a nawet renesansu nie wstydzili się długotrwałego unikania kąpieli, a posiadacze efektownych peruk w epoce baroku – publicznego polowania na wszy w nich buszujące, dokonywanego za pomocą złotych młoteczków i kowadełek. Jeszcze efektowniej wyglądają przykłady różnic międzykulturowych, szczególnie w sferze życia seksualnego, ale także obyczajów kulinarnych.

Felieton ten jednak ma być nie o antropologii kulturowej, lecz o dzisiejszym świecie i jego bezwstydnych mieszkańcach. Przy czym chcę się zająć tylko jednym z rozlicznych wymiarów owego bezwstydu, a mianowicie manifestacyjnym podkreślaniem swojej wyjątkowości, ważności, doskonałości, czy to w wymiarze cielesnym, czy też duchowym. I w jednym, i w drugim wypadku mamy do czynienia z ukrytym bądź ostentacyjnym narcyzmem, czyli zakochaniem się w sobie, znacznie wykraczającym poza potrzebne dla naszego zdrowia psychicznego uznanie dla siebie i autoszacunek. Przypadek to znany nieomal od zawsze (wszak opowieść o Narcyzie pochodzi ze starożytnej Grecji), ale dziś wyjątkowo rozpowszechniony. Nieprzypadkowo mówi się wręcz o epidemii narcyzmu cechującej obecne czasy (szokujące są np. wyniki badań studentów amerykańskich, wśród których narcyzm stał się normą, a nie – jak definiowała go dotąd psychologia – stosunkowo rzadkim i niebezpiecznym odstępstwem od niej). Nie jest żadnym odkryciem wskazanie nader istotnej roli tzw. mediów społecznościowych (w istocie – antyspołecznościowych) w rozpowszechnianiu się tej choroby (pewnie najwięcej złego uczynił tutaj Instagram). Ale nie mniej ważne są głębsze przemiany kulturowe. Kiedyś rzeczą wstydliwą było samochwalstwo, przypomnijmy choćby wiersz Jana Brzechwy „Samochwała". Dziś to norma, bo podobno „jeśli sam się nie pochwalisz, to nikt cię nie pochwali". Być może. A jednak wstyd. Dla mojego pokolenia rzeczą oczywistą było, żeby samemu się nie chwalić, tylko cierpliwie czekać na pochwały innych. Żeby mówić o sobie ze skromnością, a najlepiej w ogóle nie mówić. Liczyć na uznanie kilku ludzi, na których nam naprawdę zależy, a nie na poklask obcych. Tego też uczono nas w szkołach, co rzecz jasna miało związek z dominującą wtedy ideologią kolektywizmu, wedle której wspólnota miała się liczyć bardziej niż jednostka. Ideologia była nader wątpliwa, ale przecież chodzi o rzecz głębszą – taki charakter miała generalnie kultura zachodnia jeszcze stosunkowo niedawno, o czym znakomicie pisał swego czasu wybitny historyk amerykański Christopher Lasch w sławnej książce „Kultura narcyzmu". Słowem, choć zakres uznania wartości indywidualizmu i kolektywizmu różnił się znacznie tu i na Zachodzie, tak jak różniły się ustroje polityczne, to pewna wartość skromności była powszechnie uznawana. Już nie jest i stąd moje zażenowanie.

Obserwuję bowiem współczesne targowisko próżności i wstyd mi za ludzi, którzy albo nie mają żadnych istotnych zasług, ale uznają się za pępek świata (tzw. celebryci, czyli osoby znane z tego, że są znane), albo faktycznie je mają, ale nie mogą się zadowolić ich instytucjonalnym uznaniem (np. w postaci tytułu naukowego), lecz muszą jeszcze prezentować swoje rozdęte *ego* przy byle okazji, nieumiarkowanie lansując siebie, a czasami i potomstwo. Zapominają o znakomitym zaleceniu Wiktora Osiatyńskiego, który sam walczył z demonem narcyzmu (co widać w jego publikacjach), żeby pierwszą godzinę po przebudzeniu poświęcić na przesunięcie siebie z centrum świata na jego marginesy.

> Nikt tak skutecznie nie spełnia oczekiwań kapitalizmu cyfrowego jak narcyz.

Zachowywania tak potrzebnej nam skromności nie ułatwia oczywiście współczesny kapitalizm cyfrowy, który jest w ogromnej mierze winny owej epidemii narcyzmu. Idzie w nim bowiem przede wszystkim o stałe produkowanie jakichkolwiek informacji, bez względu na ich jakość, o ciągłe kontrolowanie swojej pozycji jako produktu na rynku, na którym jednym ze źródeł sukcesu materialnego stała się widzialność. Nikt tak skutecznie nie spełnia oczekiwań owego kapitalizmu jak narcyz, który chce cały czas zaprzątać świat sobą, w ten sposób podtrzymując ciągły ruch w cyfrowym świecie informacji, gdzie każde kliknięcie jest źródłem zysku wielkich korporacji internetowych. I tak oto kapitalizm ów skutecznie wzmacnia najgorsze ludzkie cechy: próżność, brak skromności i pogardę dla cnoty dyskrecji. Psuje nas i świat, w którym żyjemy.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 659b2c71ae

Zuzanna Muszyńska

Przybieżeli i co dalej

Paweł, Zuza, Krzysia i Małgosia udowodnili, że w Polaku może być sporo Brytyjczyka

Należą do pokolenia Y. Nie są typowymi przedstawicielami emigracji zarobkowej, która zalała Wyspy po 2004 r. Jechali uczyć się języka, uciekali od ludzi, którzy brali ich na języki. Od pracy w korpo woleli tę w pubach czy kawiarniach. Udowodnili, że w Polaku może być sporo Brytyjczyka. Paweł, Zuza, Krzysia i Małgosia to też wędrowcy, dla których w polskich domach pojawi się na wigilijnym stole dodatkowe nakrycie.

Nie gniewam się na Polskę

Najpierw uciekł ze wsi, od plotkujących po niedzielnych mszach – do Gdańska, a kiedy i tam poczuł, że zaczyna się bać własnego cienia – jeszcze dalej, do Edynburga. Tam czekał na niego ukochany. Jeden z nich musiał się poświęcić dla miłości – padło na Pawła, bo nie miał nic do stracenia. Na początku frustrowała go praca w hotelu, osławione „czyszczenie kibli". W Polsce pracował jako handlowiec, dziś potrafi to wykorzystać – ma własny sklep wegański i kawiarnię.

Największą barierą był język. Nadal jest – Paweł czasem buduje nie do końca gramatyczne słowne wielopiętrowce. Mimo to czuł się, jakby zawsze należał do szkockiego społeczeństwa ludzi pomocnych i otwartych na przybyszów. – To taka miła odmiana od polskiej mentalności – mówi. Wchodził stopniowo w różne środowiska, przejmował ich zasób słów. Pomogli w nauce mąż i jego rodzina. Z czasem problemy językowe Pawła stały się *wee*, niewielkie.

Uważa, że brexit zaszkodził bardziej Anglii niż Szkocji. W pubach z telewizji od premier Nicoli Sturgeon słyszał, że skoro Europejczycy wybrali Szkocję, to ona jest ich domem. – Tylko raz spotkałem się z komentarzem, bym „wracał do siebie" – opowiada. – Na szczęście z dumą mogę powiedzieć, że już jestem u siebie.

Brytyjskość to dla Pawła podana zgodnie z oryginalnym przepisem fasolka na *english breakfast*, ale też przepraszanie sto razy dziennie, dziękowanie kierowcy autobusu przy wysiadaniu, proszenie o pomoc, kiedy jest się w potrzebie.

Paweł: Ważne, z kim spędzam ten czas, nieważne gdzie.

Skrytykował Polskę po raz pierwszy w gronie Edinburgh Queer Collective, którego jest współzałożycielem i w którym odnalazł się wśród szkockiej Polonii, w dużej części konserwatywnej. Paweł należy do jednej ze szkockich partii. Chciałby, żeby częściej wybrzmiewał głos Polaków tolerancyjnych i zaangażowanych. Na Polskę się nie pogniewał. Kibicuje Polakom podczas olimpiad i Eurowizji. Czyta polskie książki, polską muzykę gra w swoim sklepie. Ale patrzy na swój kraj z daleka i wybiera tylko to, z czego czuje się dumny. Na przykład opowiadania Olgi Tokarczuk, które podsunął teściowej, albo winyle z polskim jazzem, które przypadły do gustu sąsiadowi. – Unikam obrzydzania sobie Polski wiadomościami o tym, jak źle dzieje się w kraju – tłumaczy. W kraju bywa regularnie, poza dwuletnim okresem buntu. Brakuje mu w Szkocji gdańskich zaułków. Obserwuje zmiany zachodzące w przestrzeni miejskiej, uwielbia to, że Polacy są tak kreatywni.

Ostatnie polskie święta spędził sam. Po przeprowadzce zamierzał je bojkotować, jednak szkockiej wersji Bożego Narodzenia trudno się oprzeć. Nie sposób nie zachwycić się kolędą „Cicha noc" śpiewaną w siedmiu różnych językach równocześnie. Tegoroczne święta będą czwartymi, które spędzi z mężem i jego rodziną. Uroczyście, ale bez zadęcia, radośnie. Na stół trafi pięknie podany świąteczny obiad, bez kilkudziesięciu dań, które w Polsce dojada się tygodniami. Będą potrawy brytyjskie, pierogi i opłatek. W Boxing Day Paweł i jego mąż spotkają się z przyjaciółmi. Zagrają w planszówki, napiją się grzańca. Albo objedzą się ruskimi pierogami i wegańską wersją haggisa, podśpiewując musicalowe szlagiery. – Ważne, z kim spędzam ten czas, nieważne gdzie – mówi Polak. Jego wybór to osoby, które potrafią kochać i szanować bez względu na wszystko.

Boję się reakcji na obcokrajowca

Zuza przyjechała do Londynu z Warszawy. Miała w stolicy mieszkanie, psa, rodzinę, którą kocha, i dobrą pracę w korpo. Pewnego dnia uznała, że ma jej dość. Przed Bożym Narodzeniem złożyła wypowiedzenie za porozumieniem stron. Usłyszała na pożegnanie, że na jej miejsce znajdzie się dziesięciu chętnych, i to za połowę wynagrodzenia. 28 grudnia wylądowała w Anglii. Zaczęła od stanowiska baristy w Caffè Nero na Heathrow. Do dziś uważa tę pracę za najlepszą na świecie. Szybko nawiązała kontakty z ludźmi, znalazła sobie paczkę znajomych. – I szef odnosił się do nas z szacunkiem – podkreśla.

Było na początku trochę emocji, płaczu, ale Zuza uważa, że i tak na Wyspach odnalazła się świetnie. – Jestem chyba wyjątkowa, bo za Polską nie tęsknię ani trochę – przyznaje. Czuła się i dalej czuje jak u siebie tu,

eprasa.pl 659b2c71ae

w Anglii. Angielskiego uczyła innych już jako licealistka – w szkole językowej dla dzieci i dorosłych. Strach, że nie zrozumie odmiennych wyspiarskich akcentów, pokonała, prosząc o powtórzenie wypowiedzi. Nikt się nie niecierpliwił. Co do obyczajów, ciągle się uczy, zwłaszcza teraz, odkąd ma synka. Chce go wychować w miksie kulturowym – mąż Zuzy pochodzi z Indii. W domu mówią po angielsku, polsku i pendżabsku. Bycie mamą w Anglii to totalny luz. Poród przypomina pobyt w hotelu. Opieka podczas ciąży jest genialna – położne są dyspozycyjne, odpowiadają chętnie na pytania. Nie ma nacisku na setki badań. Nie biega się z bobasem do lekarza po każdym kichnięciu, nie podaje mu tysiąca leków na nic.

Za esencję brytyjskości Zuza uważa otwarcie na innych. Z Polonią nie utrzymuje kontaktów, poza dwiema osobami. Nie chodzi na polskie imprezy, boi się reakcji Polaków na męża obcokrajowca. Ale w polskich wyborach zawsze bierze udział.

W kraju bywa regularnie. Z synkiem jeździłaby chętnie jak najczęściej, gdyby nie pandemia. Na razie utrzymuje codzienny kontakt z rodziną przez komunikatory, wysyła zdjęcia i filmy. Mama przyleciała do Anglii, kiedy mały miał trzy miesiące. Latem Zuza zabrała chłopczyka pierwszy raz do Polski. – Ale do kraju na pewno nie wrócę – deklaruje. – Mój mąż tam się nie odnajdzie. Mieliśmy wiele nieprzyjemnych sytuacji podczas dwóch pobytów przed narodzinami syna. Tutaj nie ma problemów z tolerancją.

Zuza: Jestem chyba wyjątkowa, bo za Polską nie tęsknię ani trochę.

Święta w Polsce to marzenie Zuzy. W zeszłym roku przeszkodził koronawirus, teraz chyba pojadą. – To przede wszystkim obecność bliskich, rodziny. Tego mi bardzo brakuje. Zawsze, kiedy staję w progu rodzinnego domu, mam łzy w oczach.

Krzysia: Musimy wzmocnić reprezentację Polonii na brytyjskiej scenie politycznej.

Trupy w szafie

Krzysia pochodzi z Kutna. Wychowała się w Łęczycy, gdzie mieszkała z mamą u dziadków. Naoglądała się w dzieciństwie drewnianych diabłów w łęczyckim zamku, chodziła z dziadkiem na ryby. Był nawet taki moment, że rozważała studia weterynaryjne. Dlaczego wyjechała? – To był impuls – mówi. Przyleciała do Londynu z jedną walizką, w ciągu tygodnia dostała pracę. Dziś, kiedy Anglia wyszła z Unii, byłoby to niemożliwe. W Londynie zrobiła licencjat z produkcji teatralnej i magisterkę z teatru stosowanego. Trenowała aktorstwo w Pleasance Theatre i w London Academy of Music and Dramatic Art. Pasjonuje ją łączenie teatru z aktywizmem. Prowadzi warsztaty z osobami, które doświadczyły migracji i uchodźstwa. Nową pasją Krzysi jest *stand-up*: – Śmiech otwiera ludzi na słuchanie, ale też rozładowuje napięcia, niweluje wstyd.

Przyjechała, znając płynnie angielski; strach przed błędami wszczepiła jej polska szkoła. W pierwszych miesiącach pomagał program radiowy oparty na rozmowach ze słuchaczami z całego kraju. Londyn to mikrokosmos, londyńczycy nie tylko inaczej mówią, również inaczej głosują, np. za pozostaniem w UE. Ale mocne notowania torysów w ostatnich latach uświadomiły Krzysi, że Anglicy nie są odporni na światowe trendy polityki opartej na strachu przed „obcym". – Poranek ogłoszenia wyników referendum był dla mnie nieprawdopodobnie bolesny – wspomina. – Poczułam się, jakby ktoś ze mną zrywał.

Rok 2016 okazał się przełomowy dla aktywizmu Krzysi, odkąd poszła na pierwsze spotkanie londyńskich Dziewuch. Na Wyspach działa dużo grup polonijnych, nagłaśniających problemy w kraju. – Na jesieni organizowaliśmy protesty przeciwko nielegalnym wywózkom na granicy z Białorusią. Wsparły nas organizacje białoruskie i brytyjskie oraz aktywiści z Jemenu i Iraku.

Od dwóch lat Krzysia pracuje z Polish Migrants Organise for Change. Organizacja zajmuje się aktywizowaniem Polek i Polaków w UK, tak by wzmocnić reprezentację Polonii na brytyjskiej scenie politycznej. – Musimy w tę przestrzeń po prostu wejść – tłumaczy Krzysia. Obywatelstwo? – Jest niezbędne, żeby głosować w wyborach. Trochę mnie przeraża wydatek ok. 1,3 tys. funtów, podczas gdy faktyczny koszt procesowania wniosku to niecałe 400 funtów. Jest dużo wrogości wobec migrantów w brytyjskim systemie, chciałabym mieć na to większy wpływ jako obywatel.

Po 11 latach pobytu Anglia to po prostu dom. Panują w nim angielskie obyczaje. – Mleko wlewamy do

eprasa.pl 659b2c71ae

herbaty na końcu, chyba że jesteśmy na północy kraju, wtedy na początku, jeszcze przed wrzątkiem – śmieje się Krzysia. – A na serio to brytyjskość ukazuje najpiękniej Kazuo Ishiguro w „Okruchach dnia". Dobrze jest czytać brytyjską literaturę, również faktu i historyczną, zwłaszcza poświęconą mniej chlubnej historii kolonialnej, z którą Wielka Brytania nie do końca się rozprawiła. To nas, Polaków i Brytyjczyków, łączy – niechęć do rozprawiania się z narodowymi trupami w szafie i ucieczka w megalomanię, myślenie o sobie jako o pępku świata.

W Polsce bywa kilka razy do roku. Chodzi na zamek w Łęczycy, ale diabłów nie spotyka. Święta w Polsce są okazją do relaksu, pobycia z bliskimi. W domu jadło się bigos, barszcz, ryby, wszystko smaczne – z wyjątkiem karpia. Na międzynarodową Wigilię w Londynie przygotowała dla gości kilka ciast. Był tradycyjny piernik, ale też szpinakowe. Przedcovidowe święta Krzysia spędziła we Francji, skąd pochodzi jej partner. Główny posiłek trwał pół dnia, królowały dania bretońskie, czyli owoce morza. – Mój seromakowiec chyba smakował – ocenia. Była radość ze wspólnie spędzonego czasu, spacery nad morzem. Krzysia jest teraz fanką tamtejszych świąt.

Z domu do domu

Małgosia jest z Wrocławia. Wraca tam regularnie, do rodziny i przyjaciół. Zawsze z myślą, że jedzie do domu. Z domu do domu. Dlaczego wyjechała? Po nowe doświadczenia. Studiując na wydziale handlu zagranicznego, pracowała w agencji reklamowej. Kiedy przyjaciółka wyszła za mąż w Londynie, pojawiła się okazja wyjazdu. Żeby dostać wizę, Małgosia zapisała się do szkoły językowej. W pracy wzięła półroczny urlop. Chciała podszkolić język i wracać. Znajomi poradzili, żeby poszukać czegoś w City, gdzie klientela mówi poprawnym angielskim. Tak Małgosia wylądowała w Bishopsgate. Nie znając logistycznych zasadzek Londynu, mieszkała, pracowała i uczyła się w odległych od siebie dzielnicach. Więcej czasu spędzała na dojazdach niż na spaniu. Uratował ją szef, oferując inne miejsce pracy wraz z zakwaterowaniem. Szybko awansowała z barmanki na asystentkę menedżera. W szlifowaniu języka pomogła współpracownica – córka anglikańskiego pastora, kształcona w prywatnych szkołach. Małgosia przełamała barierę konwersacyjną, poprawiła i tak już dobry angielski, osiągnęła cel. Mogła wracać. Wtedy poznała przyszłego męża – Anglika.

Małgosia: Nie chcę narażać moich dzieci na kontakt z polskim systemem edukacyjnym.

Są 18 lat po ślubie, mają trzy córki w wieku 12, 13 i 17 lat. Małgosia wychowywała dzieci i zaocznie skończyła psychologię. Przepracowała kilka lat w szkole, gdzie zajmowała się rodzinami objętymi opieką społeczną. W pierwszych latach pobytu trzymała się lokalnej grupy znajomych różnych narodowości, poznawanych w przedszkolu i podstawówce córek. Od 2016 r. angażuje się w życie Polonii. Działa na rzecz zwiększenia uczestnictwa Polaków w UK w wyborach, zarówno polskich, jak i lokalnych, samorządowych. Brytyjczycy ją rozczarowali, dali się nabrać na narodowo-populistyczne hasła. – Tu, gdzie mieszkam, ponad 70% głosowało za pozostaniem w UE. Nigdy nie odczułam wzrostu niechęci do migrantów. Do Polski z powodu brexitu nie wrócę. Nie chcę narażać moich dzieci na kontakt z polskim systemem edukacyjnym.

Kiedy ma się angielskiego męża, brytyjskość jest na wyciągnięcie ręki. – Spotkanym na ulicy znajomym odpowiadam na „jak się masz" jednym słowem: *OK*. Opowieści o tym, co u mnie, zostawiam na pogaduszki przy kawie albo w pubie.

Podwójne obywatelstwo? – Powoli dojrzewam do tej decyzji ze względów praktycznych, ale buntuję się, bo będzie to decyzja wymuszona sytuacją polityczną. Jeśli to zrobię, zagłosuję w wyborach parlamentarnych, żeby odsunąć brexitowców od władzy.

Przed pandemią jeździła z mężem i córkami do Polski dwa razy w roku, na wakacje i na święta. Wpadała w wir przygotowań, a potem spotkań rodzinnych i towarzyskich. Latem odwiedzali najpiękniejsze zakątki Polski. Ale przebojem były wypady do domku na skraju lasu, który należy do rodziny. Zbieranie jagód, ogniska, grillowanie – tego brakuje im w Londynie. Dziczy, ciszy, nieba pełnego gwiazd.

Polskie tradycje rodzinne – choinka ubierana nie wcześniej niż 23 grudnia, Wigilia u mamy albo u brata, kolędy, pasterka, 12 dań, siano pod obrusem. Do tego angielskie *christmas crackers*, *christmas pudding* jako deser po świątecznym obiedzie i *christmas stockings*, wieszane z braku kominka pod telewizorem. – Żałuję, że w tym roku znów nie będę mogła przyjechać – mówi Małgosia. – Nie chcę przywieźć w prezencie moim najbliższym kolejnej odmiany wirusa.

W Londynie będzie kameralnie. Na Wigilii nie zabraknie barszczu z uszkami, pierogów, ryb, makowca i sernika. Następnego dnia obiad przygotuje mąż. Będzie indyk, warzywa pieczone w miodowej glazurze. Prezenty otworzą pierwszego dnia świąt. Tradycyjnie pójdą na spacer wzdłuż Tamizy, wieczorem pojadą do centrum oglądać świąteczne iluminacje. Dom każdego roku pełen jest dekoracji, od kilku lat wyłącznie szklanych, ceramicznych, papierowych lub roślinnych. Zero plastiku. Do pakowania prezentów używa się tych samych papierowych toreb i kartonowych pudełek. Choinka pochodzi z małej lokalnej plantacji, świeża i pachnąca. Niczego nie brakuje, tylko trochę Polski.

Zuzanna Muszyńska

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (4)

eprasa.pl 659b2c71ae

Oko w oko Tomasz Jastrun

Sypianie z wrogiem

Mój syn Antek, 15-latek, wnuk Mieczysława Jastruna, wygłasza taką oto mądrość: „Mickiewiczowi to musiało się bardzo nudzić, skoro napisał »Pana Tadeusza«". Gdyby powiedział: musiało być bardzo smutno, zabrzmiałoby to o wiele lepiej. Mój ojciec w czasach stalinowskich, uciekając od obłędu epoki, napisał biografię Adama Mickiewicza. Stworzył książkę, która wymagała ogromnej wiedzy i pracy, pisał ją z miłością do tego poety. Ta niezwykła biografia zmieniła jego i nasze życie. W dużej mierze „żyliśmy z Mickiewicza". Książka została przetłumaczona na kilkanaście języków, przez pół wieku była w lekturach szkolnych. A jego wnuk nie poważa Mickiewicza i prawie nie czyta książek. Czy jest mi smutno? Chyba nie. Takie czasy. A młodszy Franio awanturuje się – nie chce chodzić na religię, nie wiadomo kiedy stał się antyklerykalny. Antkowi też ani w głowie chodzić do kościoła. Tak postępuje laicyzacja polskiego społeczeństwa, mówią o tym wszystkie statystyki, a Kościół nasz gorliwie na to zapracował.

•

Od niedawna nieustannie coś mi nawala, podobnie psuje się mój drugi samochód, stary chrysler. Właśnie zdechł mu akumulator. Ale akumulator można wymienić. Podobnie jak biodro, które mi dolega. Cuda medycyny. A kiedy będzie wymiana mózgu? To by mi się przydało, nie pisałbym pewnie tych felietonów, ale pozbyłbym się swojej depresji, co prawda teraz na smyczy psychotropów, to też cud medyczny, ale czy nie urwie mi się ona kiedyś z tej smyczy? Pobolewało mnie coś w brzuchu, więc USG. Czekałem po protekcji dwa miesiące na badanie, bez protekcji byłby marzec przyszłego roku. Jestem ostatnim pacjentem w całej przychodni, błogosławiona pustka, nie tłoczą się chorzy. Lekarz jeździ po moim nażelowanym brzuchu myszką. Byłoby to nawet przyjemne, gdyby nie obawa, co znajdzie. Mówi: „Torbiel na wątrobie, ma 18 mm". „Czy na to się umiera?", pytam. „Głupstwo", odpowiada. Ułaskawiony utykam, wracając do domu. Chodzę przez to biodro wolniej. Niedawno na spacerze wyprzedziła mnie jakaś staruszka, nie jest dobrze. Kończę się. I nie gram w tenisa, jaki dyskomfort. A na wymianę biodra czeka się podobno dwa lata. Kilku moich znajomych miało operację biodra, nie jest to przyjemne, ale są gorsze rzeczy. Za bardzo więc nie narzekam, tylko trochę.

W „Finalistce", niedawno wydanej, pięknej autobiografii duchowej, moja przyjaciółka Ania Janko tak pisze o zmianach, jakich dokonuje w nas czas: „Nie goń autobusu, bo i tak nie dopadniesz drzwi i będzie głupio, tętno się nie wyrówna do samego wieczora. Nie próbuj robić tego co kiedyś tak samo jak kiedyś. Po prostu – nie. Nie ufaj mu – ono, ciało, przeszło na drugą stronę i działa przeciwko tobie, sypiasz z wrogiem".

•

Mamy do czynienia z największym atakiem politycznym po 1989 r. Atakiem na Zjednoczoną Prawicę i Prawo i Sprawiedliwość. Atakiem bezpardonowym, bez precedensu, żeby obalić rząd. Do walki wykorzystuje się chore osoby i ich rodziny – tak mówił Łukasz Mejza na spektaklu z ozdrowieńcem. Zaprosił częściowo sparaliżowanego Tomasza Guzowskiego, ten wstał z wózka, oto na naszych oczach stał się cud. Dzięki Mejzie. On nie krzywdzi, tylko uszczęśliwia ludzi. W głównym wydaniu „Wiadomości" TVP wyemitowano materiał „Mejza pod ostrzałem, Grodzki bezkarny" na temat konferencji prasowej wiceministra sportu. Wątpliwości dziennikarzy opisujących aferę nazwano nagonką medialną, a słowa Łukasza Mejzy o chęci niesienia pomocy chorym zestawiono z przebitkami dotyczącymi marszałka Senatu, Tomasza Grodzkiego, któremu prokuratura chce przedstawić zarzuty korupcyjne. Duch Goebbelsa już nie tylko nocą, ale i za dnia spaceruje korytarzami na Woronicza. Ryszard Terlecki, pytany o Mejzę, odpowiada: „Życie jest brutalne". Odpowiedź godna bossa mafii. Tak, PiS to mafia, utrzymanie władzy za wszelką cenę to cel, który uświęca środki. PiS uszczęśliwia Polskę, to historyczna szansa dla narodu, więc każda ofiara i każda podłość tego warta.

PiS uszczęśliwia Polskę, więc każda ofiara i każda podłość tego warta.

•

Zmarł Marek, ojciec mojej synowej. Nie mogę się pozbierać po tej wiadomości. Marek był niezwykłym człowiekiem, bardzo go lubiłem i cieszyłem się, że wszedł do mojej rodziny. Nie mogę się pogodzić z tym, że już go nigdy nie zobaczę. Mieszkał w Zamościu. I Zamość stał się dla mnie ciepłym miastem. Marek – przewodnik, dziennikarz, wydawca – pokazywał mi jego zakamarki, pisał wiele o Zamościu. Zmarł na covid. Był po trzech szczepieniach, ale brał leki immunosupresyjne. To pierwsza taka śmierć kogoś naprawdę bliskiego na zarazę.

•

Wczoraj, no, niemal wczoraj, kupowałem w tym sklepie kalendarzyk na rok 2021, pamiętam, jak go wybierałem; dzisiaj kupuję w tym samym sklepie kalendarzyk na rok 2022. To czas potrafi się tak skurczyć, nie do wiary.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 659b2c71ae

Kanclerz bez boskiej pomocy

Różne oblicza Olafa Scholza

Łukasz Dąbrowiecki
Korespondencja z Niemiec

8 grudnia Olaf Scholz został zaprzysiężony na kanclerza Republiki Federalnej Niemiec.

8 grudnia Olaf Scholz został zaprzysiężony na kanclerza Niemiec. Przysięgi nie opatrzył dodatkiem „Tak mi dopomóż Bóg". Jest pierwszym bezwyznaniowym kanclerzem w powojennej historii swojego kraju. Niektórym może się wydawać bezbarwny, część obywateli nazywa go złośliwie Scholzomatem. Ale czy rzeczywiście jest pozbawionym charyzmy, nudnym urzędnikiem? A może to potrafiący okiełznać emocje profesjonalista? Jaki jest Olaf Scholz?

Młody socjalista

Urodził się 63 lata temu w Osnabrück. W politykę zaangażował się, mając 17 lat, gdy dołączył do Młodych Socjalistów (Jusos), młodzieżówki SPD. Wkrótce wstąpił na Uniwersytet w Hamburgu, gdzie rozpoczął studia prawnicze. Specjalizował się w prawie pracy. Jako 24-latek został wybrany na przewodniczącego Jusos i sprawował tę funkcję przez kilka lat. Trzeba zaznaczyć, że nie jest to mała organizacja. W 2017 r. miała 70 tys. członków. Jest więc liczniejsza od całej wchodzącej dziś w skład koalicji rządowej Partii Wolnych Demokratów (FDP), do której należy nieco ponad 60 tys. osób.

W latach 80. Olaf Scholz nosił bujną fryzurę, którą mógł konkurować z niejedną gwiazdą rocka. Przez dwa lata był wiceprzewodniczącym Międzynarodowej Unii Młodych Socjalistów. W tamtym okresie wspierał marksistowskie skrzydło organizacji i nawoływał do „przezwyciężenia gospodarki kapitalistycznej" , a także krytykował „imperialistyczną politykę NATO". Dzisiaj komentuje: „Dobrze, że kiedyś popełniłem prawie wszystkie swoje błędy. Mam to za sobą".

Z takim postawieniem sprawy mógłby się nie zgodzić niedawny przewodniczący Jusos, Kevin Kühnert, który domagał się wywłaszczenia i uspołecznienia producenta aut BMW. Jego postawa została zresztą nagrodzona przez wyborców – w grudniu 2021 r. otrzymał mandat deputowanego do Bundestagu i został wybrany na sekretarza generalnego „dorosłej" SPD. Istnieje zatem pewne prawdopodobieństwo, że część bazy partyjnej będzie naciskać na kanclerza Scholza, by odkurzył młodzieńcze ideały.

Zakochany parlamentarzysta

Podczas posiedzenia Bundestagu, na którym wybierano Olafa Scholza na kanclerza Niemiec, jego żona, Britta Ernst, obserwowała przebieg wydarzeń z trybun dla gości. Siedziała w jednym rzędzie z rodzicami Scholza oraz byłym kanclerzem Gerhardem Schröderem, któremu towarzyszyła Kim So Yeon, piąta małżonka.

Olaf z Brittą poznali się jeszcze w latach 80. Ona także była działaczką Jusos. W latach 90. podjęła studia i specjalizowała się w ekonomii społecznej. W tym okresie Scholz, który został przyjęty do palestry jeszcze w 1985 r., założył kancelarię specjalizującą się w prawie pracy. Przez osiem lat, do momentu wyboru na posła, był prawnikiem Centralnego Związku Spółdzielni Spożywców. Ale to Britta pierwsza została deputowaną. W 1997 r. wybrano ją do Parlamentu Hamburskiego. Rok później Olaf Scholz, w wieku 40 lat, wygrał wybory do Bundestagu. Wtedy też ich partia objęła władzę w Niemczech, po raz pierwszy w koalicji z Zielonymi. Oboje zajmowali stanowiska z powszechnego wyboru, partia szła po władzę, a oni od ponad dekady żyli w związku nieformalnym. Postanowili wziąć ślub i zrobili to jeszcze w tym samym 1998 r.

Jednak ci, którzy dziś liczą, że po 16 latach rządów Angeli Merkel na okładkach kolorowych czasopism pojawi się niemiecka pierwsza dama, mogą się rozczarować. Britta Ernst zawsze powstrzymywała się od komentarzy na temat ambicji politycznych męża. Uprzejmie, ale stanowczo blokowała wszelkie dociekania na temat życia prywatnego. Rozwijała swoją karierę polityczną i zawodową odrębnie. Od 2017 r. jest ministrą szkolnictwa Brandenburgii, a od 2021 r. przewodniczącą Konferencji Ministrów Edukacji krajów związkowych. Scholz zapytany, czy w związku z jego wyborem na kanclerza RFN małżonka zrezygnuje z funkcji, energicznie zaprzeczył. To jej niezależna praca polityczna.

eprasa.pl 659b2c71ae

Na swojej stronie internetowej kanclerz napisał, że żona znaczy dla niego wszystko. A w „Spieglu" wyznał, że „najważniejszą rzeczą w życiu jest miłość" i dlatego cieszy się, że od dziesięcioleci ma udany związek z Brittą. Małżeństwo Scholzów jest bezdzietne.

Neoliberalny menedżer

W 2001 r. Olaf Scholz na krótko został członkiem Senatu Hamburga, czyli miejskiej egzekutywy. Hamburg jako państwo-miasto ma status oddzielnego landu. Będąc hamburskim odpowiednikiem ministra spraw wewnętrznych, Scholz zatwierdził decyzję o przymusowym użyciu środków wymiotnych wobec podejrzanych o handel narkotykami. To wywołało protesty m.in. hamburskiej Izby Medycznej.

W 2002 r. Scholz ponownie został posłem do Bundestagu, równolegle sprawował funkcję sekretarza generalnego SPD. To czasy ofensywy polityki neoliberalnej na całym świecie. Partie lewicowe, uwierzywszy w fałszywą formułę „końca historii" Francisa Fukuyamy, zdradziły swój tradycyjny elektorat ze świata pracy. Głosi się wówczas ostateczne zwycięstwo systemu kapitalistycznego i liberalnych demokracji jako gwarantujących szczęście i dobrobyt. Wybory polityczne przestają mieć zatem znaczenie, nie ma już co wybierać – ideał został ustalony, pozostaje tylko sprawny *management.* Zachodnie partie socjaldemokratyczne wybierają tzw. trzecią drogę, będącą syntezą prawicowych koncepcji gospodarczych i centrolewicowej polityki społecznej. *De facto* oznacza to brutalne reformy wolnorynkowe, dla których listkiem figowym jest opowieść o zapewnianiu równych szans. Promotorami tego trendu są politycy związani z partiami socliberalnego centrum: w USA Bill Clinton, w UK Tony Blair, w Polsce Leszek Miller, a w Niemczech Gerhard Schröder.

Sztandarowym przykładem tej neoliberalnej polityki staje się w Europie strategia lizbońska. A w Niemczech Agenda 2010 ogłoszona przez rząd SPD i Zielonych. Główne cele programu to promocja wzrostu gospodarczego, obniżenie bezrobocia, wzrost konkurencyjności kraju na arenie międzynarodowej. Narzędzia Agendy? Cięcie podatków dla bogatych i wydatków publicznych dla reszty, drastyczne obniżenie świadczeń emerytalnych i zasiłków dla bezrobotnych. Nowe deregulacje wywołały olbrzymie protesty pracowników. Jednak ówczesny rząd nie zamierzał słuchać związków zawodowych – słuchał „rynków", finansistów i bankierów.

Starając się o fotel burmistrza Hamburga, w 2011 r. bywał w pubach i restauracjach.

W ramach tegorocznej kampanii we wrześniu Olaf Scholz odwiedził fabrykę koncernu ThyssenKrupp Steel Europe AG.

Notowania partii spadały i trzeba było kogoś poświęcić. Olaf Scholz został odwołany z funkcji sekretarza generalnego partii, choć sprawował ją od niedawna. Uważał to za niesprawiedliwość. Wcześniej jednak tak gorliwie bronił polityki szefa rządu, że zyskał miano „nadwornego śpiewaka kanclerza". Potem będzie się mówić, że tracąc stanowisko, był jedną z pierwszych ofiar Agendy 2010. Inni oceniają, że musiał polecieć, bo był zbyt apodyktycznym, niechętnym krytyce technokratą o buchalteryjnym nastawieniu – to wówczas zapracował sobie na przezwisko Scholzomat.

Tak, Scholz był jedną z twarzy neoliberalnego programu. Do tego twarzą mało sympatyczną. Przybrał na wadze i mocno się zaokrąglił. Szybko łysiał, ale nie chcąc się z tym pogodzić, wciąż nosił coraz rzadszą kępkę włosów nad czołem. Przypominał chodzący stereotyp partyjnego sybaryty, który innym narzuca politykę cięć, a sam pasie się na urzędzie i prowadzi niezdrowy tryb życia.

Partyjny bicz

To Britta przekonała go, że musi coś ze sobą zrobić. Program osobistej naprawy Scholz zaczął od joggingu. W szkole nie lubił ćwiczeń fizycznych, więc na początku szło mu niesporo. Obecnie, w szóstej dekadzie życia, uprawia sport regularnie, dwa-trzy razy w tygodniu biega, wiosłuje, jeździ na rowerze. I, jak podkreśla, sprawia mu to autentyczną przyjemność.

Drugi rząd Gerharda Schrödera nie dotrwał do końca kadencji. Po

FOT. REUTERS/FORUM(2), AP/EAST NEWS

eprasa.pl 659b2c71ae

przyśpieszonych wyborach do Bundestagu większość miejsc otrzymała prawica. Mimo to SPD spadła na cztery łapy i utworzyła z CDU Wielką Koalicję (GroKo). Na kanclerza Niemiec wybrana została Angela Merkel – pierwsza kobieta w historii na tym stanowisku. Scholz odnowił mandat poselski i został naczelnym whipem SPD, czyli osobą odpowiedzialną za to, by członkowie partii głosowali zgodnie z linią kierownictwa (ang. *whip* – bicz, pejcz). Jeśli pamiętacie Franka Underwooda z pierwszego sezonu serialu „House of Cards" – to właśnie była jego robota. Scholz w tej funkcji współpracował blisko ze swoim odpowiednikiem w CDU i skutecznie zarządzał działaniem GroKo pod rządami nowej kanclerz.

W 2007 r. Scholz został ministrem pracy i spraw socjalnych. „Mam wrażenie, że jestem teraz we właściwym miejscu", komentował. Wcześniej przygotował projekt reformy ustawy regulującej strukturę przedsiębiorstw i opracował koncepcję partycypacji pracowników w zyskach ich firm. Teraz chciał powalczyć o wprowadzenie płacy minimalnej. Czy to oznaki przemiany?

Zanim w 2015 r. została wprowadzona ustawowo ogólnokrajowa płaca minimalna, batalia z koalicjantami z CDU toczyła się o każdą branżę z osobna. Scholz mógł się prezentować jako prosocjalny minister, a koalicjantów stawiających opór oskarżać o neoliberalizm. Walką o płace minimalne osłaniał się przed gniewem związków zawodowych i krytyką swojej bazy partyjnej, sam bowiem wciąż bronił zasadności wprowadzenia w życie Agendy 2010. Funkcję ministra pełnił do 2009 r. Mandat poselski złożył w roku 2011, by objąć stanowisko burmistrza Hamburga. To pod jego wodzą SPD odbiła władzę w mieście z rąk CDU, która wcześniej rządziła przez 10 lat.

Hanzeatycki burmistrz

Wolne Hanzeatyckie Miasto Hamburg, jedno z największych europejskich centrów logistycznych i finansowych, stało się dla Olafa Scholza bramą do międzynarodowej rozpoznawalności. Jako narzędzie dyplomacji wykorzystał m.in. hamburską tradycję organizowania 24 lutego wielkiej uczty z okazji Dnia Świętego Macieja. Wśród kilkuset uczestników bankietu zawsze są goście honorowi z zagranicy. Scholz zasiadał więc do stołu m.in. z premierami Francji, Wielkiej Brytanii i Kanady.

Popularność burmistrza rosła na salonach, ale wcale nie malała wśród elektoratu. W 2015 r. pod jego kierownictwem SPD ponownie wygrała miejskie wybory i utworzyła koalicję z Zielonymi. Mimo tego Scholz nie potrafił przekonać mieszkańców, że w epoce narzuconych cięć ubieganie się o organizację Igrzysk Olimpijskich 2024 jest dobrym pomysłem. Podobnie jak rok wcześniej krakowianie mieszkańcy Hamburga w 2015 r. odrzucili w referendum możliwość organizacji imprezy. Wniosek do MKOl został wycofany. Lecz największą porażką Scholza był szczyt G20 w 2017 r.

To, co miało być ukoronowaniem jego ówczesnej kariery, paradą najpotężniejszych przywódców świata, przerodziło się w organizacyjną katastrofę. W mieście obok pokojowych protestów wybuchły potężne zamieszki, a najbardziej radykalna frakcja przeciwników szczytu siała chaos, systematycznie podpalając linie kolejowe i auta, demolując i plądrując sklepy. Policja pacyfikująca zamieszki nie przebierała w środkach. Regularne bitwy uliczne trwały kilka dni. Rannych zostało 230 policjantów oraz nieustalona liczba demonstrantów. Straty oszacowano na 12 mln euro. Scholz publicznie wyznał, że jest mu wstyd, i przeprosił, ale odmówił podania się do dymisji.

Niewzruszony buchalter

Spokoju obecnego kanclerza nie jest za to w stanie zakłócić inna sprawa z okresu sprawowania władzy w Hamburgu. Dotyczy ona odprysku wielkiego międzynarodowego dochodzenia w sprawie transakcji *cum-ex*. W tym skomplikowanym finansowym oszustwie chodziło w wielkim skrócie o manipulacje akcjami w taki sposób, aby uzyskać wielokrotny zwrot podatku od zysków kapitałowych, choć *de facto* został on zapłacony tylko raz. Straty budżetów państw europejskich są szacowane na 55 mld euro, w tym samych Niemiec na 32 mld. Przed wyborami we wrześniu 2021 r. wznowiono jedno ze śledztw. Ma ono ustalić, jak to się stało, że bankowi Warburg pozwolono na zatrzymanie 47 mln euro z nielegalnie uzyskanych zwrotów podatkowych i czy mógł mieć na to wpływ włodarz miasta. Scholz twardo zaprzecza.

A jest jeszcze afera Wirecard, seria skandali księgowych, które doprowadziły do niewypłacalności

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy
wiadomość, że 13 grudnia br. zmarł

Józef Tejchma

wybitny syn polskiego ludu i wyraziciel
jego myśli i ambicji w polityce i kulturze.

Był współtwórcą Kuźnicy
i laureatem jej Kowadła.

Kuźniczanie

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

JÓZEFA TEJCHMY

Wielkiego Polaka, wspaniałego człowieka o ogromnej wrażliwości i inteligencji, współtwórcy i lidera ruchu młodowiejskiego, działacza pełniącego z godnością najwyższe funkcje państwowe i polityczne, a jednocześnie bardzo skromnego, niezwykle zasłużonego dla wielu pokoleń Polek i Polaków.

Pozostanie na zawsze w naszych sercach i umysłach!
Wyrazy szczerego współczucia Rodzinie

składają

Zofia Grzebisz-Nowicka
Przewodnicząca Krajowego Stowarzyszenia Pomocy Szkole
i Przyjaciele

eprasa.pl 659b2c71ae

niemieckiego operatora płatności i dostawcy usług finansowych. W czerwcu 2020 r. firma złożyła wniosek o upadłość po ujawnieniu, że „zaginęło" 1,9 mld euro. Przeciwnicy polityczni starają się obarczyć Scholza odpowiedzialnością polityczną za skandal. Według nich jako federalny minister finansów zaniechał on działań kontrolnych. Dotychczas żaden z zarzutów nie przylgnął do Scholza ani niczego mu nie udowodniono. Komentatorzy sugerują, że skandale, które ewentualnie mogłyby obciążyć konto polityka, były zbyt skomplikowane, aby zmartwić wyborców.

Finansowy wicekanclerz

Po wyborach ogólnokrajowych w 2017 r. negocjacje koalicyjne przeciągały się w nieskończoność. Ostatecznie rząd GroKo został zaprzysiężony w marcu 2018 r., a wraz z nim Olaf Scholz, który objął tekę ministra finansów. Został również wicekanclerzem, prawą ręką Angeli Merkel.

W ciągu pierwszych dwóch miesięcy Scholz zobowiązał się do kontynuowania polityki swojego poprzednika, Wolfganga Schäublego. Ten był symbolem pouczania, jak w imię „dyscypliny budżetowej" zaciskać pasa oraz ciąć wydatki publiczne na edukację, opiekę zdrowotną i mieszkalnictwo. Słowem, Scholz chciał dalszego ciągu znienawidzonej na lewicy polityki *austerity*, gnębiącej społeczeństwa od czasu kryzysu finansowego w 2008 r. Nawet prezydent Francji Emmanuel Macron wezwał Niemcy do porzucenia fetysza konserwatyzmu fiskalnego, ostrzegając, że ta polityka zawsze była prowadzona kosztem innych krajów. Olaf Scholz nie słuchał krytyk. Przyjął strategię prezentowania cnoty oszczędności, cenionej przez dużą część niemieckiego społeczeństwa. W stosunku do poprzednika zmienił jednak ton, nie zamierzał już nikogo pouczać, zwłaszcza w relacjach międzynarodowych. Wydaje się, że to zadziałało na jego korzyść. W krótkim czasie po objęciu funkcji ministra stał się jednym z najpopularniejszych polityków Niemiec, ze wskaźnikiem akceptacji sięgającym 50%.

Prawdziwego zwrotu minister Scholz dokonał jednak dopiero pod wpływem ataku pandemii COVID-19. Przemiana była wprost bajkowa. Przygotował bezprecedensowy pakiet ratunkowy dla kraju na grubo ponad 100 mld euro, dzięki czemu Niemcy unikają masowych zwolnień i zamykania zakładów pracy. Na arenie europejskiej nadzorował wdrożenie unijnego programu ratunkowego na sumę 750 mld euro, którego podstawą jest emisja euroobligacji, na co żaden rząd Niemiec latami się nie zgadzał. Emisja wspólnego unijnego długu od dekad rozbijała się o konserwatywny mur. Zmiana stanowiska niemieckiego ministra finansów w tej materii to przełom. Euroobligacje „stanowią fundamentalne zmiany – mówił Scholz – być może największe od czasu wprowadzenia euro". Wspólne obligacje zwiążą ze sobą państwa unijne silniej niż traktaty.

Niespodziewany kanclerz

Popularność Scholza nie przełożyła się jednak na popularność jego partii. Rok przed wyborami do Bundestagu notowania SPD szorowały po historycznym dnie, oscylując w okolicach 8%. Również on w roli kandydata na kanclerza nie rokował wielkich szans. Wiosną 2021 r. najkrótszy żart w Niemczech brzmiał: „Olaf Scholz zostanie kanclerzem".

Jego przeciwnicy popełniali jednak gafy podczas kampanii. Główny rywal, Armin Laschet z CDU, typ zawsze uśmiechniętego wujaszka, jowialny, starający się zjednać otoczenie żartem – przeholował i został uchwycony przez kamery, gdy śmiał się podczas odwiedzin na terenach zniszczonych powodziami, gdzie życie straciła ponad setka osób. Mocno zaszkodził mu też konflikt wewnętrzny we własnej partii. Spora część członków ugrupowania nie pogodziła się z tym, że kandydatem nie został jego konkurent z Bawarii, Markus Söder. Na ostatecznym wyniku zaważył również odpływ elektoratu, który, jak się okazało, głosował nie na CDU, ale na Merkel. Gdy jej zabrakło, wyborcy ruszyli szukać kogoś, kto będzie ją najbardziej przypominał. A przynajmniej uosabianą przez nią stabilność w niepewnych czasach. Okazało się, że tą osobą jest jej wicekanclerz z SPD. Doświadczony, kierował już gabinetem pod nieobecność Merkel, gdy ta samoizolowała się na wypadek zakażenia wirusem. Podczas debat wyborczych wyglądał na pewnego siebie. Spokojny, pragmatyczny, nieunoszący się, o umyśle transakcyjnym – jak mówią, typ hanzeatycki.

Nowy kanclerz na pewno nie jest człowiekiem znikąd. Ma zalety Angeli Merkel, np. spokój w konfrontowaniu się z kryzysami. Z drugiej strony jest wolny od jej podstawowej wady, która uwidoczniła się szczególnie podczas ostatniej kadencji w postaci braku planu dla Niemiec i wizji przyszłości Europy. Zmiana w Berlinie to szansa na wyciągnięcie Europy z impasu. Wiele jednak zależeć będzie od europejskich partnerów, a przede wszystkim od wyniku kwietniowych wyborów we Francji. Pozostaje otwarte pytanie, czy będą to ukryte pod fasadą progresywizmu zmiany na (neo)liberalną modłę, czy autentyczne socjalne przemiany w duchu sprawiedliwości klimatycznej.

Łukasz Dąbrowiecki

Zmarł Józef Tejchma

Obywatel, Mąż stanu, Człowiek kultury,
mądry Przyjaciel

**Jego Najbliższym przesyłamy
słowa otuchy i wsparcia**

Leszek Kubicki, Andrzej Kurz, Hanna i Jerzy Słabiccy

eprasa.pl 659b2c71ae

Rozmawia Mateusz Demski

Co to za miejsce te Suwałki?

– To moje rodzinne miasto, zarazem takie miejsce, w którym czuję się dobrze, do którego lubię ostatnio wracać. Im jestem starsza, tym bardziej doceniam te wszystkie tereny, gdzie się wychowałam. Lasy i jeziora. Ciszę i spokój, których tak bardzo w tym całym dzisiejszym pędzie potrzebujemy. Niektórzy mówią, że to taki kraniec świata – że tam jest najzimniej, najdalej. A mnie jakoś ten klimat coraz bardziej pociąga.

MIŚKA, PAMIĘTAJ, PRAWDA JEST NAJWAŻNIEJSZA!

Wiem, w jakim kraju żyję, ale bardzo chciałabym tu zostać. Bez względu na wszystko

MICHALINA ŁABACZ
– aktorka filmowa, teatralna i telewizyjna. Absolwentka warszawskiej Akademii Teatralnej. W 2017 r. dołączyła do zespołu Teatru Narodowego w Warszawie. Wielokrotnie nagradzana za rolę Zosi Głowackiej-Skiby w filmie „Wołyń" w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego. W tym roku zagrała jedną z głównych ról w kolejnym filmie Smarzowskiego – „Wesele".

Kiedy dziewczyna z tego „krańca świata" zrozumiała, że chce zostać aktorką?

– Za dzieciaka głównie śpiewałam. Zawsze się śmieję, że muzyka w moim życiu pojawiła się dzięki mamie – grała na skrzypcach, uczyła muzyki w szkole, przez co musiałam śpiewać na wszystkich akademiach. Rodzice zapisali mnie do studia wokalnego. Jeździłam na festiwale piosenki dziecięcej po całej Polsce, także za granicę. Ale wbrew pozorom nie wiązałam ze śpiewem przyszłości. To była pasja, hobby. Nie pamiętam takiego konkretnego momentu, ale jeszcze jako dziecko wymyśliłam sobie aktorstwo – mówiłam, że będę grała w filmach,

eprasa.pl 659b2c71ae

występowała w teatrze. Naprawdę, pojęcia nie mam, skąd to się u mnie wzięło. Nie chodziłam na żadne kółko teatralne ani w domu kultury, ani w szkole.

A może było jakieś lokalne kino, wyjścia na filmy z rodzicami?

– Jak każde dziecko – oglądałam na potęgę. Najbardziej jednak pamiętam dzień, w którym tata przyniósł do domu kamerę. Razem z bratem i sąsiadką nagrywaliśmy dosłownie wszystko – siebie, nasze rodziny, wymyślaliśmy różne niestworzone historie i robiliśmy filmy. Była to oczywiście zabawa, ale od czegoś trzeba było zacząć. Zresztą nadal mam te nagrania. Jest to piękna pamiątka, chociaż mam nadzieję, że nikt nigdy do tego się nie dostanie.

To jak ci się udało dostać do szkoły teatralnej tak prawie bez przygotowania?

– Zaraz po maturze zdawałam do Krakowa, który był moim głównym celem i marzeniem. Przeszłam przez wszystkie etapy egzaminu, doszłam nawet do finału, ale na studia się nie dostałam. Byłam tuż pod kreską. W międzyczasie trafiłam do Studium Wokalno-Aktorskiego im. Danuty Baduszkowej w Gdyni. Wiele tam przeżyłam, nauczyłam się zarazem, co swoim aktorstwem chcę powiedzieć. Na drugim roku weszłam do obsady „Chłopów" Wojtka Kościelniaka, które wystawiał w Teatrze Muzycznym. Przez to, że grałam, nie pojechałam drugi raz do Krakowa, podeszłam tylko do egzaminu w Warszawie. Nawiasem mówiąc, był to najbardziej stresujący dzień w moim życiu, nie licząc egzaminu na prawo jazdy. Ale dostałam się. Po latach czuję, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Kto wie, może gdybym wylądowała w Krakowie, nie byłabym w tym miejscu, w którym jestem teraz.

A ten wyjazd do Warszawy był dla ciebie dużym przeskokiem?

– No oczywiście. Gdy odebrałam telefon i usłyszałam, że dostałam się do Akademii Teatralnej, to stałam na skrzyżowaniu w centrum i przysięgam, że nie wiedziałam, gdzie mam iść. Potem musiałam się tego miasta nauczyć – bycia w obcym miejscu, samodzielności, tych wszystkich dróg i kierunków. Dzisiaj, po kilku latach, czuję, że jestem w dobrym miejscu. Polubiłam Warszawę. Jest to drugie miejsce, które mogę nazwać już domem.

Wielokrotnie słyszałem od aktorek i aktorów, że szkoła była doświadczeniem pełnym skrajnych, intensywnych emocji. Czym dla ciebie była Akademia Teatralna?

– Pojawił się taki stereotyp, który mówi, że w Akademii Teatralnej się nocuje. Faktycznie są to studia specyficzne. W końcu sprowadzają się do pracy na emocjach, jak przy tykającej bombie. To trudne. Piękna jest, uważam, wrażliwość w nas, aktorach. Ale jest to zarazem – w moim przekonaniu – zawód dla ludzi wytrzymałych psychicznie. Nie zawsze bywa kolorowo. Studenci przychodzą do akademii z różnymi oczekiwaniami i marzeniami, a niestety nie wszyscy mają świadomość, że samo bycie w szkole niczego nie gwarantuje. Nie oznacza, że będziemy mieć pracę. Dla jednych te studia mogą być szansą i ja taką szansę miałam szczęście otrzymać. Dla drugich są udręką, koszmarem – mam znajomych, którzy długo mierzyli się z rozczarowaniem i niekoniecznie dobrze wspominają tamten czas.

Miałaś chwile słabości?

– Na pewno z początku towarzyszyły mi jakaś nieśmiałość i wstyd, których trzeba było się wyzbyć przed kolegami, przed profesorami. Ale z każdym dniem uczyłam się, jak być silniejsza. Bardzo pomógł mi też czas spędzony w studium Baduszkowej. Pewności siebie nabierałam pod skrzydłami prof. Aliny Lipnickiej. Zawsze mi powtarzała: „Miśka, pamiętaj, prawda jest najważniejsza!". Z tymi słowami w głowie wchodziłam zresztą na casting do „Wołynia".

> Dziś próbuje się odgórnie ustalić, o czym ludzie powinni pamiętać, a o czym nie powinni.

Na ten casting poszłaś jeszcze w szkole.

– Tak, byłam na pierwszym roku. Pamiętam moje przerażenie, jak usłyszałam, że Wojtek Smarzowski przyjeżdża do nas do akademii i będzie szukał młodej dziewczyny do filmu. W głowie miałam taką myśl: „Chciałabym, ale się boję!". Mimo to jak każdy poszłam. Było to dla mnie nowe doświadczenie, skok na głęboką wodę. Nigdy wcześniej nie stałam przed kamerą, nie grałam w żadnej etiudzie. Przesłuchania trwały w sumie rok i przez ten czas nie było dnia, żebym nie czekała na wiadomość. Telefon zadzwonił, przyszłam na ostatni etap zdjęć próbnych i ze zdumieniem zauważyłam, że nie ma tam żadnej innej aktorki. Na miejscu okazało się, że już dostałam tę rolę, ale nikt mi tej wiadomości nie przekazał.

> Aktorstwo to zawód dla ludzi wytrzymałych psychicznie. Nie zawsze bywa kolorowo.

Dlaczego chciałaś spróbować akurat u Smarzowskiego?

– Zawsze twierdziłam, że kino z definicji powinno nam coś „robić". Kino musi poruszać emocjonalnie, musi wzruszać, śmieszyć albo właśnie uwierać i prowokować intelektualnie. Jeżeli nie ma żadnej z tych emocji, to nie ma po co wyciągać kamery. A Wojtek wyciąga ją w konkretnym celu. Chciałam wejść w ten świat i dotknąć mroku, który jego bohaterowie niosą.

„Wołyń" zobaczyło 1,5 mln ludzi w kinach. Zaraz po premierze zjechaliście z tym filmem pół kraju. Co dały ci wtedy rozmowy z widzami?

– Te spotkania były trudnym przeżyciem. Tyle lat minęło, a ja do tej pory pamiętam ciszę, która zalegała w kinie po seansie. Powietrze stawało się dziwnie gęste, czuć było napięcie, przez które trudno było się przebić. Kilka takich spotkań szczególnie utkwiło mi w głowie. Po projekcji podszedł do mnie pewien starszy pan. Zaczął mnie ściskać i powiedział, że dla niego historia Zosi to historia jego mamy, która również uciekała z Wołynia. Była także osoba, która tamten koszmar przeżyła, chciała się tym z nami podzielić, ale głos w ostatniej chwili uwiązł jej w gardle. Nasłuchałam się różnych historii – intymnych, dotkliwych. Bardzo często okazywało się, że przez lata był to temat tabu. Powtarzało się zdanie: „Dziadek przeżył Wołyń, ale nigdy w domu się o tym nie mówiło". Z jednej strony, myślę sobie, że to dobrze, że ten film otworzył tylu

eprasa.pl 659b2c71ae

ludzi. A z drugiej – chciałabym, żeby to nigdy się nie wydarzyło.

Jak po doświadczeniu tego filmu patrzysz na świat? Jakie refleksje na temat natury człowieka masz teraz?

– Podoba mi się zdanie, które Wojtek kiedyś powiedział: „Po tym filmie nasuwa się pytanie, jak w ogóle żyć po końcu świata". Idąc za moją bohaterką, oglądając jej oczami ten świat, można bowiem dojść do wniosku, że nawet po takim koszmarze jest nadzieja. Że istnieje miłość, która jest lekarstwem; która może się zrodzić ponad podziałami. Wojtek zresztą lubi powtarzać, że robi filmy właśnie o… miłości. Brzmi to może niedorzecznie, ale, po pierwsze, każdy z nas ma własną definicję miłości. A po drugie, pamiętajmy, że miłość i nienawiść dzieli czasem tylko jeden mały krok. Przez to nagromadzenie emocji w „Wołyniu" bardzo się zżyłam z moją bohaterką, Zosią. Miałam wrażenie, że razem z nią dojrzewam w tempie ekspresowym. Nie tylko jako aktorka, ale również jako kobieta. Albo po prostu jako człowiek.

Teraz jesteśmy po kolejnym filmie Smarzowskiego. Znowu było granie na delikatnych strunach, wiele skrajnych reakcji, no i znowu to wesele. Też masz wrażenie, że nic tak od czasów Wyspiańskiego nie skupia problemów narodu jak wesele właśnie?

– Bo ja wiem, może to jest taka Polska w pigułce? Nie wiem, nie chcę snuć wybujałych analiz. Pewne jest, że Wojtek chciał pokazać obraz współczesnych Polaków, a może bardziej ogólnie – ludzi. W skrócie to opowieść o tym, co jeden człowiek jest w stanie zrobić drugiemu. Takie sytuacje mają miejsce na całym świecie. Chyba wszędzie jest tak, że nie wyciągamy wniosków z historii. Ona się powtarza. Nie bez powodu film dzieje się w dwóch światach, które się przeplatają, przenikają – tym teraźniejszym i tym przeszłym. To próba pogodzenia się ze zmorami przeszłości, które ciągle w nas siedzą. Nawet jeśli nie chcemy tego widzieć.

No właśnie – sama mówiłaś o ludziach, którzy temat Wołynia na lata zamknęli w szafie, a to samo było z Jedwabnem, do którego wasz film teraz nawiązuje. Smarzowski zresztą mówi o tym, że nakręcił swoje drugie „Wesele" o niepamięci.

– Z pamięcią rzeczywiście jest problem; to straszne, że traktujemy ją tak wybiórczo. Dziś próbuje się odgórnie ustalić, o czym ludzie powinni pamiętać, a o czym nie powinni. To błędne myślenie, bo przecież nie da się wymazać tego, co się wydarzyło. Wręcz przeciwnie – trzeba o tych mrocznych rozdziałach mówić, żeby w przyszłości nie wyszło z nas to, co w człowieku najgorsze. Tak naprawdę wystarczy jedna chwila zapomnienia…

> Nie wyciągamy wniosków z historii. Ona się powtarza.

Myślisz, że po takim filmie coś w ludziach może się zmienić?

– Bardzo w to wierzę. Już po „Wołyniu" czułam, jak wielką siłę oddziaływania ma kino, które może przywołać zapomniane historie, przywrócić pamięć o tych, których nie ma. „Wesele" działa w moim odczuciu podobnie, a może nawet bardziej, bo ma w sobie dodatkowo ten współczesny akcent. Niektóre rzeczy są w filmie powiedziane wyraźnie i dużymi literami, ale może dzięki temu każdy zobaczy w nim kawałek siebie. Ja też w nim się przeglądałam, było mi to potrzebne. Zobaczyłam w nim siebie, ale i moich przyjaciół, bliskich.

> Do tej pory pamiętam ciszę, która zalegała w kinie po seansie „Wołynia".

Co to znaczy?

– Marzeniem mojej bohaterki w „Weselu" jest wyjazd do Irlandii. Rozmawiam z przyjaciółmi, którzy rozważają wyjazd. Powody są różne. Jedni zaczynają wybiegać w przyszłość – myśleć o swoich dzieciach, o zapewnieniu im godnego życia. Drudzy nie wiedzą, jak to wszystko będzie dalej w kraju wyglądało. Ci drudzy coraz częściej mówią o tym, że nie czują się bezpiecznie w Polsce.

Coraz więcej ludzi ma takie obawy. Nie myślałaś o emigracji?

– Niczego nie da się wykluczyć. Na razie nie zastanawiam się nad tym. Wynika to z pędu, w jakim aktualnie żyję. Z tego, jak wygląda moja praca – jestem na etacie w Teatrze Narodowym, przechodzę z jednych prób w kolejne. Właśnie jestem w trakcie intensywnych prób do „Wieczoru Trzech Króli" w reżyserii Piotra Cieplaka. Duży projekt z orkiestrą na żywo. Sam widzisz, że nie mam czasu, żeby się zatrzymać i rzucić wszystko. Wiem, w jakim kraju żyję, ale bardzo chciałabym tu zostać. Bez względu na wszystko. Tutaj chcę budować swój świat, tu chcę szukać dla siebie szczęścia.

Mateusz Demski

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 659b2c71ae

NA EKRANACH

Nosorożec

reż. Ołeh Sencow, prod. Ukraina, Polska, Niemcy, już w kinach

Ołeh Sencow przenosi nas do lat 90., gdy w Ukrainie szalała transformacja. Tytułowy bohater (kapitalny naturszczyk Serhij Filimonow) dołącza do gangusów, z którymi pnie się po szczeblach drabiny społecznej. Coraz lepiej ubrany, staje się zarazem coraz bardziej bezwzględny i okrutny. Trudno nie utożsamiać naturalistycznych scen tępej przemocy z tym, co Sencow musiał widzieć lub słyszeć w rosyjskiej kolonii karnej, gdzie spędził pięć lat (to jego pierwszy film zrobiony po odzyskaniu wolności). „Nosorożec" nie jest jednak rozliczeniem z doświadczeniami jednostki, to namysł nad kształtem dzisiejszego społeczeństwa ukraińskiego. Reżyser tłumaczy przepastne nierówności klasowe wdrażaną na dziko zmianą ustrojów, która sprytnych i pozbawionych skrupułów doprowadziła do wysokich stanowisk w kraju. Zaskakująco jednak Sencow ich nie potępia, tylko pyta, czy Ukraińcy są w stanie im odpuścić i dać szansę odkupienia. Pokazuje przy tym, że sam jest na to gotowy.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

James Norbury
Wielka Panda i Mały Smok

tłum. Aldona Sieradzka-Krupa
Albatros, Warszawa 2021

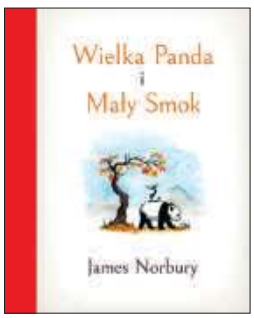

Choć to ostatnia chwila, warto jeszcze wyskoczyć do księgarni, by tę książeczkę położyć pod choinką z myślą nie tylko o małym czytelniku, ale i o większych, którym brakuje optymizmu. Zbiór przesympatycznych ilustracji z inspirowanymi buddyzmem podpisami układa się w opowieść o wędrówce dwójki całkiem świeżych przyjaciół – pogodnej pandy, w której futro tak dobrze się wtulić, i smoka herbaciarza. Szukajmy zawsze czegoś pozytywnego, podpowiadają bohaterowie. Odpuśćmy niekiedy, pozwólmy sobie na trochę nicnierobienia, cieszmy się choćby filiżanką herbaty – i smakujmy tę radość – zwłaszcza jeśli możemy takie momenty z kimś dzielić. Bo przyjaźń, pomaganie innym i okazywanie im akceptacji są w życiu niezwykle cenne. I nie pędźmy do obranego celu, nie patrząc na nic.

Aleksandra Pańko

KURTYNA W GÓRĘ

William Szekspir, „Wieczór Trzech Króli albo Co chcecie", tłumaczenie Stanisław Barańczak, reżyseria Piotr Cieplak, Teatr Narodowy, premiera 4 grudnia 2021

Szekspir pogodny

Zachwycający spektakl! Przepełniony muzyką (z aluzjami do Mozarta i standardów, m.in. „West Side Story"), z płynnymi zmianami planu akcji i nastroju oraz galerią wyśmienitych kreacji z Wiktorią Gorodecką jako Oliwią i Jerzym Radziwiłowiczem jako Malvoliem na czele – choć wypada się pokłonić całej wybornej obsadzie. Ten spektakl budzi śmiech, radość i poczucie przebywania w oazie, do której nie dociera szczęk mieczy wojowników ani zgiełk różnych spraw zatruwających każdy dzień. Tutaj, w bajkowej, musicalowej Ilirii, przez ponad trzy godziny można oddychać pełną piersią (no, w maseczce!), bezpiecznie i przyjemnie. Bardziej dramatyczne sceny reżyser skreślił, zadowalając się wytworzeniem nastroju święta oddechu z odrobiną melancholii. Prawdziwy odpoczynek od bitewnego kurzu polityki z krztyną nadziei na lepsze czasy, którą krzeszą mądre piosenki Błazna (Cezary Kosiński).

Tomasz Miłkowski

Hamer w teatrze

Kochamy sport, a medaliści i mistrzowie są uwielbianymi gwiazdami. Karolina Hamer, medalistka Mistrzostw Świata i Europy w pływaniu, paraolimpijka i aktywistka, nawet o jaką taką popularność musi walczyć każdego dnia. Stawia się na rozmowy w ZUS, by poświadczyć, że jej niepełnosprawność nadal upoważnia ją do świadczeń, zabiega o to, by wcześniej niż innych wpuszczano ją na basen, aby zdążyła się przebrać. A teraz prowadzi *one woman show*, robi quiz, żartuje z siebie i innych, przyjmuje statuetkę Oscara.

Bronisław Tumiłowicz

„Hamer" sit-up, reżyseria Justyna Sobczyk, scenariusz Karolina Hamer, Magdalena Staroszczyk, scenografia, kostiumy Magdalena Łazarczyk, Teatr Studio Galeria, premiera 13 listopada 2021

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, NEXT FILM, SISI CECYLIA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 659b2c71ae

JAKIEJ HISTORII POLSKA POTRZEBUJE?

Czyny chwalebne i haniebne

Poprawianie swojego samopoczucia przez to, że praprzodkowie zwyciężyli pod Wiedniem, jest śmieszne

Żyjemy w czasach, w których oficjalna historia służy propagandzie rządzących i radykalnej prawicy. Jest instrumentem w walce już nie tylko z opozycją, ale i PRAWDĄ. Jednostronną narracją narzucaną w mediach, w szkołach, w podręcznikach. Takie działania muszą rodzić bunt. I pytanie: co dalej?

Tygodnik „Przegląd" oraz miesięcznik „Kraków", którym kieruje red. Witold Bereś, zainicjowały debatę „Polska po złych czasach". Rozpoczynamy ją fundamentalnym pytaniem „Jakiej historii Polska potrzebuje?". Pytaniem, w którym zawierają się pytania bardziej szczegółowe: • Jak mówić o historii i jak jej uczyć? • Jakie są główne osie sporu o historię i niewygodne tematy? • Dlaczego władza wykorzystuje historię do rozgrywek politycznych? • Jak opisywać przeszłość, tę przed wiekami i tę najnowszą, szczególnie okres międzywojenny, lata wojny i Polski Ludowej? • Jak powstrzymać mitologię „żołnierzy wyklętych" i fałszowanie historii? • Co dalej z IPN i jego „polityką historyczną"? • Czy historię pozostawić tylko historykom? • Czy okres III RP podlega już obiektywnej ocenie?

Do udziału w debacie zaprosiliśmy wielu wybitnych badaczy przeszłości, ludzi z niemałym dorobkiem naukowym. Otwiera ją prof. Marcin Kula, którego za swojego mistrza uważa już kilkunastu historyków z tytułem profesora.

Choć w debacie na łamach „Przeglądu" i „Krakowa" wezmą udział historycy i publicyści, to nie chcemy ograniczać się tylko do tego grona. Oddajemy głos również naszym Czytelnikom, dla których historia nie jest synonimem „polityki historycznej".

Marcin Kula

„»Tatusiu, wytłumacz mi wreszcie, do czego służy historia?«. Takie pytanie zadał przed kilku laty swemu ojcu-historykowi młody, bardzo mi bliski chłopiec". Od tego zdania zaczął swoją najbardziej znaną książkę klasyk współczesnej historiografii francuskiej, Marc Bloch[1]. Owej książki, pisanej, gdy się ukrywał, nie dokończył, złapany przez hitlerowców. Celowo używam tu terminu „hitlerowców", a nie Niemców – choć przypuszczam, że sam Bloch mówił wtedy o „Niemcach". Nie będę jednak zrzucał odpowiedzialności na narody, jak chce tego obecna władza – skądinąd protestująca przeciw obciążaniu Polaków uogólnionymi winami.

Kontynuujmy więc Blocha próbę odpowiedzi. Zacznijmy od tego, do czego w moim przekonaniu twórczość historyków i nauczanie naszego przedmiotu nie muszą, a często nawet nie powinny, służyć. Otóż historia nie musi być więźbą narodu. Oczywiście, nieraz bywała i bywa taką. Bitwa pod Grunwaldem jest symbolem dla Polaków – podczas gdy najpewniej niewielu mieszkańców – powiedzmy – Oceanii o niej słyszało. Zostawmy na boku wszystkie możliwe rozwinięcia tej, zdawałoby się banalnej, obserwacji – jak pytanie, kto kiedy definiował się jako Polak i kto, kiedy i przez kogo był za takiego uważany. Odsuńmy także pytanie o to, czy zsymbolizowany obraz bitwy nie jest ahistoryczny, oraz o to, czy nie warto by chociaż po cichu czasem wspomnieć, że była to bitwa między miłującymi się chrześcijanami. W rozpatrywanym kontekście ważniejsze jest to, że są kraje i narody, które nie kultywują swojej historii w istotny sposób – i nie rozpadają się (rozróżnienie na kraje i narody wprowadziłem tu celowo, bowiem, o czym też warto pamiętać, państwa jednonarodowe są dziś w mniejszości). Gwarantuję, że większość amerykańskich żołnierzy, którzy brali udział w II wojnie światowej, nie miała pojęcia o historii USA, zaś indiańscy szyfranci, którzy odegrali w niej dużą rolę, czyniąc amerykańskie depesze nie do złamania, mogli mieć nawet pretensję do białej Ameryki. Afroamerykanie podobnie.

Historia bez mitów

Historia nie musi też służyć narodowemu dowartościowaniu się. Pokazywanie narodu jako wyraźnie zdefiniowanego w swoim kształcie, jako przodującego, wspaniałego, szlachetnego i czystego, zdradza głębokie kompleksy, nieraz zadawnione. Może obnażać przerośnięte ambicje i poczucie faktycznej peryferyjności. Mit „przedmurza" funkcjonuje w wielu krajach. Nawet przodownictwo w używaniu widelca pojawiało się też w serbskiej narracji narodowościowej (u schyłku XIX w.). Poprawianie swojego samopoczucia przez to, że praprzodkowie zwyciężyli pod Wiedniem, jest śmieszne, lepiej byłoby być zadowolonym z paru dokonań dzisiejszych – zamiast niszczenia pamięci o nich w ramach walki politycznej.

> Historia nie musi być więźbą narodu. Nie musi też służyć narodowemu dowartościowaniu się.

eprasa.pl 659b2c71ae

Zmiany kadrowe i ekspozycyjne dokonane za sprawą ministra Glińskiego w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku dobitnie pokazują, jak władza traktuje przeszłość.

Historia nie może służyć tworzeniu narodowych mitów, a zwłaszcza być świadomie wykorzystywana w takim kierunku przez tendencje populistyczne. Obecnie często propaguje się bohatersko-martyrologiczną wizję dziejów narodu polskiego. Jasne, że było w niej dużo bohaterstwa i dużo cierpienia. Każdy naród – dosłownie każdy – ma jednak na swoim koncie czyny chwalebne i haniebne. Nie można ukrywać bądź marginalizować tych drugich. Także przerzucać wszystkiego na obcych lub definiowanych jako obcy na potrzeby chwili. Wcześniej czy później, spośród swoich lub obcych, ktoś zresztą przypomni czyny negatywnie oceniane.

Nie należy również traktować historii jako jasnej i prostej jak drut. Mogło mieć miejsce bohaterstwo bez sensu. Mogło zachodzić zachowanie akceptowalne, a przynajmniej łatwe do zrozumienia z własnej strony, a trudne, wręcz niemożliwe do akceptacji dla innych. To samo odnosi się zresztą do postawy tych innych.

By przerwać to łatwe do kontynuowania wyliczanie, czym historia nie powinna być, dodam rzecz nie najmniej ważną: nie powinna być treścią do wykucia (reguła trzech „z": „zakuć, zdać, zapomnieć"). Powinna być zagadnieniem, a raczej sumą zagadnień do zrozumienia. Konkretnie w szkole uczeń powinien wykonywać czynności twórcze, dyskutować, szukać argumentów za swoim stanowiskiem czy przeciw innemu, zaś nauczyciel powinien mieć dużo swobody w dobieraniu treści i formy nauczania. Uczeń powinien umieć dostrzec problem, określić go, umieć podejść do rozwiązywania go. Daty może dziś łatwo sprawdzić w smartfonie (mnie, jako zacofanemu na tym polu, studenci już nieraz pomogli).

W ten sposób doszedłem do pytania, czym historia powinna być. Otóż, w moim przekonaniu, powinna być uczona i propagowana w funkcji współczesności. Spokojnie, wiem, że zaraz zostanie mi zarzucone utylitarne traktowanie wiedzy, wprzęganie jej do potrzeb politycznych, ahistoryzm… i wszystkie inne grzechy główne naukowca. Gotów jestem jednak stanąć przed Najwyższym Trybunałem Naukowym i powtórzyć to, co powiedziałem. Wiedza przez nas tworzona powinna pomagać ludziom (nam) rozumieć otaczający ich (nas) świat. Warto nabywać wiedzę o dziejach, gdyż nasz świat został stworzony nie tylko przez siły natury (lub boskie, w zależności od światopoglądu). Również nie tylko przez działania pokolenia naszych rodziców, o których najczęściej jeszcze pamiętamy, ale przez nawarstwiające się wieki dziejów – a zatem

Obecnie często propaguje się bohatersko-martyrologiczną wizję dziejów narodu polskiego.

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

eprasa.pl 659b2c71ae

dobrze jest coś o nich wiedzieć. Historię warto poznawać, by lepiej zdawać sobie sprawę ze zmienności otoczenia i nas samych w wielu zakresach. Elementem ewolucji są notabene zmiany wizji historiograficznej – wbrew koncepcji pozytywistycznej. Takie podejście pozwala lepiej rozumieć, że zmiany mogą być pozytywem, a konserwatyzm wprawdzie ukorzenia nas, ale ma też swoje negatywne strony. Zmiany są zresztą nieuniknione, niezależnie od czyjejkolwiek chęci. Warto poznawać historię, by lepiej rozumieć zjawiska, których rozpatrzenie jedynie w ich dzisiejszym kształcie nie daje całości obrazu. Również po to, by rozumieć symbole i tematykę sporów, które rzadko narodziły się dopiero teraz.

W stronę uogólnień

By to osiągnąć, historia musi być jednak uczona w długim trwaniu, problemowo, porównawczo. Musi być uczona nie jako zbiór kolejnych faktów i fakcików, ale przy wysiłku zmierzającym do uogólnień. Wiem, że każda myśl o uogólnianiu straszy dogmatycznym marksizmem, ale można porównywać i uogólniać, pytając o wynik, a nie o zgodność z dogmatami. Uczona historia nie może być tylko wiedzą z zakresu historii politycznej. W końcu świat nie sprowadza się do polityki. Nawet dzisiejsza Polska szczęśliwie nie jest jeszcze do końca zdominowana przez nią. Wiedza o dziejach dowolnego kraju musi być zintegrowana z historią powszechną. Uprzejmie informuję, że Polska nie leżała nigdy na Marsie (w niektórych momentach może nawet szkoda, że tak nie było). Nadto zjawiska można lepiej zrozumieć, gdy się spojrzy, jak kształtowały się gdzie indziej. Nie zrozumie się własnych spraw, patrząc jedynie w lustro, trzeba się porównywać. Historia nie powinna służyć umacnianiu plemienności, zwłaszcza gdy plemienność faktycznie ma kompensować słabości związków z innymi krajami i kontynentami, narastające przez wieki. Własny dorobek powinien być kultywowany i wnoszony do wspólnego skarbca, ale nie może być traktowany ekskluzywistycznie.

•

Szanowny Pan Redaktor Paweł Dybicz przeczytał powyższy tekst i najdelikatniej, jak potrafił, zapytał: „A może by jakieś konkrety? Może zdania ogólne odnieść do bliskich nam spraw?”. Powiem więc, co doradzałbym jako pola badania – choć może te, które wymienię, zdają mi się obiecujące właśnie dlatego, że koleżanki i koledzy z mojego, a przynajmniej bliskiego mi kręgu zebrali już wiele ciekawych rezultatów pracy właśnie w tych kierunkach. Nie mam wątpliwości, że stale trzeba szukać nowych zagadnień, a dosłownie każde zagadnienie można rozpatrzyć ciekawie i potraktować jako punkt odbicia dla znacznie szerszej analizy. Trzeba tylko realizować badania, a nie „politykę historyczną”.

Otóż cenię analizy dziejów społecznych, a w tym historii, wśród której żyjemy, mało dostrzegając jej bieg. Ostatnio ukazały się dwa pasjonujące źródła o okresie międzywojennym: jedno to opis Anglika, który w 1934 r. objechał na rowerze Polskę (Bernard Newman), a drugie to wspomnienia Amerykanki, która za mężem przyjechała na Kresy (Virgilia Sapieżyna)[2]. Oby powstało jak najwięcej opracowań o sprawach, które oni widzą. W obu z nich dużo miejsca zajmują sprawy mniejszości narodowych. Stosunki interetniczne, fundamentalnie ważne również podczas wojny i w okresie bezpośrednio powojennym, wywołały powódź publikacji, zwłaszcza z zakresu tematyki chrześcijańsko-żydowskiej. Myślę, że jednak można jeszcze dużo powiedzieć.

W odniesieniu do wojny bardzo ważny wydaje mi się wątek okupacyjnej, mniej czy bardziej codziennej egzystencji. To inna od obecnie dominującej perspektywa patrzenia na wojnę i okupację. Wątek codziennego bytowania ludzi, równie dobrze ich entuzjazmu, jak obaw, powinien być jak najbardziej pogłębiany. Przecież nawet w wypadku powojennej partyzantki antykomunistycznej trzeba przejść od głoszenia jej chwały do kontynuacji już powstałych, poważniejszych wysiłków zrozumienia złożoności zjawiska. To samo dotyczy odbudowywania całego życia po wojnie.

Bez „polityki historycznej”

Badań wymaga funkcjonowanie mechanizmu PRL oraz ludzi w PRL. Powtarzanie, że ten system był niewydolny, często bezsensowny, a nieraz okrutny, nie jest już odkrywcze. Warto analizować sposoby rządzenia, wysiłki legitymizacyjne establishmentu, ewolucję wsi, urbanizację oraz industrializację, migracje wewnętrzne i fale emigracyjne, patologie, funkcjonowanie Kościoła na poziomie codzienności parafii, szkolnictwo, różne formy twórczości kulturalnej i badań naukowych, a w tym historiografii. Trzeba także nadal badać ewolucję PZPR, narastanie opozycji, kolejne kryzysy… aż do finalnego kryzysu komunizmu, który przyszedł zamiast oczekiwanego przez ideologów PRL finalnego kryzysu kapitalizmu. No i, rzecz jasna, warto badać tworzenie i funkcjonowanie III Rzeczypospolitej. Ważne byłoby przyjrzenie się temu wszystkiemu z bliska – nie tylko nominalnym założeniom, ale faktycznemu funkcjonowaniu. Lubię patrzenie przez historyka z perspektywy, którą w terminologii angielskiej nazywa się historią pisaną z poziomu trawy, no i oczywiście bez zaleceń nieszczęsnej „polityki historycznej”. Także bez podskórnego założenia, że życie sprowadza się do podłości lub bohaterstwa. Cenię spojrzenie takie, jakie zaprezentowali w książce o I wojnie światowej Włodzimierz Borodziej i Maciej Górny[3], czy takie, jakie zrealizowano w Muzeum II Wojny Światowej za kierownictwa Pawła Machcewicza. Zrobiła na mnie wrażenie książka Sebastiana Pawliny

Historia nie powinna być treścią do wykucia.

Historię warto poznawać, by lepiej zdawać sobie sprawę ze zmienności otoczenia i nas samych w wielu zakresach.

eprasa.pl 659b2c71ae

o przemieszczaniu się ludzi kanałami podczas obydwu powstań warszawskich[4]. To nie jest obraz ich bohaterstwa, choć byli bohaterami. Brodząc w kanałowym szlamie, nie myśleli o walce, ale o szansach wyjścia na górę – i to nie w ręce wroga.

Cenię przyglądanie się poszczególnym postaciom – zapamiętywanym przez historię lub właśnie „przeciętnym" – byle bez założenia, że człowiek jest jednowymiarowy na dobre bądź na złe. Chciałbym także spojrzenia na realia bez podskórnego założenia o rzekomej oczywistości niektórych sądów. Trudno kwestionować tezę, że twórczość literacka i artystyczna napotykały wielkie ograniczenia w PRL. Przecież jednak niektóre dzieła były wspaniałe i oryginalne. Wręcz można postawić pytanie, czy pewne trudności, niesięgające poziomu niszczenia, nie wyzwalały siły twórców. Analogicznie trudno kwestionować fakt działania przeciw Kościołowi katolickiemu, ale przecież istniejąca sytuacja sprzyjała zapełnianiu świątyń. Warto sobie zdawać sprawę z takich rzeczy.

Cenne jest także śledzenie różnych wątków w długim trwaniu, również prowadzenie badań porównawczych – tych ostatnich zarówno w przestrzeni „obozu pokoju i socjalizmu", jak w szerszej (moim hobby jest porównanie Polski z Brazylią i zapewniam, że ma to sens!). Warto sobie zdawać sprawę, że niektóre elementy sytuacji, w Polsce zmienione w 1956 r., w Czechosłowacji dotrwały prawie do końca ustroju. Podczas gdy przy Okrągłym Stole siedzieli oficjalni reprezentanci prymasa, to w Pradze przyszły jej arcybiskup i przyszły kardynał Miloslav Vlk jeszcze wówczas zarabiał na życie myciem okien sklepowych szczotką na długim kiju (a może wtedy już polepszył swoją pozycję o tyle, że był trzeciorzędnym archiwistą w dziesięciorzędnym archiwum?). Albania była wtedy, przynajmniej nominalnie, „krajem wolnym od religii".

Chciałbym patrzenia na dzieje z perspektywy socjologii historycznej i zadania pewnych podstawowych pytań – np. o zmianę struktury społeczeństwa w kolejnych wymienionych okresach oraz przez ostatnich 100 lat. Chciałbym jeszcze wielu rzeczy, ale zostawmy dalsze postulaty na przyszłość.

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji

Marcin Kula jest historykiem, emerytowanym profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizującym się w historii społecznej, znawcą dziejów Polski i Ameryki Łacińskiej

[1] Marc Bloch, *Pochwała historii czyli O zawodzie historyka,* tłum. Wanda Jedlicka, przejrzał i przedmową opatrzył Witold Kula, przekład uzupełnił, zredagował i wprowadzeniem poprzedził Hubert Łaszkiewicz, Wydawnictwo Marek Derewiecki, Kęty 2009, s. 33.

[2] Bernard Newman, *Rowerem przez II RP. Niezwykła podróż po kraju, którego już nie ma. Reportaż z 1934 roku,* tłum. Ewa Kochanowska, Kraków 2021. Virgilia Sapieha, *Amerykańska księżna. Z Nowego Jorku do Siedlisk,* tłum. Ewa Horodyska, Warszawa 2019.

[3] Włodzimierz Borodziej, Maciej Górny, *Nasza wojna,* t. I, II, Warszawa 2014, 2018.

[4] Sebastian Pawlina, *Wojna w kanałach. Opowieść o kanałach, ludziach i strachu w Powstaniu Warszawskim,* Kraków 2019.

eprasa.pl 659b2c71ae

Problemy z dialogiem społecznym

Rozmowy często toczą się w atmosferze podejrzeń, wzajemnych oskarżeń i niechęci do wypracowania kompromisowego rozwiązania

Paweł Śmigielski

Od ponad 30 lat budujemy w Polsce dialog społeczny, który jest kluczową instytucją systemu politycznego i prawnego. Pojęcie to generalnie oznacza wspólną identyfikację problemów, wymianę myśli i poglądów oraz wypracowanie najlepszego możliwego rozwiązania.

Tworząc własny model dialogu, analizujemy najlepsze europejskie rozwiązania i dobre praktyki, zmieniamy przepisy prawa, a z upływem kolejnych lat zyskujemy niezwykle ważne doświadczenie. Chwile sukcesów i konstruktywnych rozmów przeplatane są dotkliwymi porażkami i zniechęceniem stron do dalszego współdziałania. Nie ulega wątpliwości, że w obszarze dialogu społecznego w Polsce, zarówno trójstronnego, jak i dwustronnego, nadal występuje wiele problemów, które skutecznie hamują jego rozwój.

Wśród największych bolączek w pierwszej kolejności należy wymienić brak zaufania oraz poszanowania praw i interesów stron. To bardzo charakterystyczne dla naszego dialogu, że rozmowy często toczą się w atmosferze podejrzeń, wzajemnych oskarżeń oraz niechęci do wypracowania wspólnego i kompromisowego rozwiązania.

Brakuje również woli prowadzenia merytorycznych i partnerskich rozmów, a także kultury dialogu i kultury politycznej. Nagminne staje się to, że część projektów trafia do Rady Dialogu Społecznego z naruszeniem terminów lub zasad konsultacji. Coraz więcej ważnych regulacji prawnych w ogóle nie jest konsultowanych z partnerami społecznymi. Strona rządowa w wielu przypadkach prowadzi pozorne dyskusje, w których opinie i stanowiska organizacji związkowych nie mają żadnego znaczenia dla decyzji, które mają wejść w życie.

Negatywnie na jakości dialogu społecznego odbija się też poziom uzwiązkowienia w Polsce. Należy pamiętać, że siła dialogu zależy od siły jego uczestników. Słabością naszego ruchu związkowego jest niewielka liczba zrzeszonych osób oraz wysoce niezadowalająca reprezentacja związkowa w sektorze prywatnym. W ten sposób zachwiana jest względna równowaga negocjacyjna, co w szczególności przekłada się na efekty prowadzonych rozmów.

Brakuje dialogu na poziomie branżowym/ponadzakładowym, gdyż związkowcy nie mają partnera do rozmów z uwagi na niski poziom zorganizowania pracodawców. Niezadowalająca jest również sytuacja na poziomie zakładowym, zwłaszcza w obszarze zawierania zakładowych układów zbiorowych pracy.

Problemem jest także niski stopień aktywności obywatelskiej Polaków. Naszą obecną cechą narodową jest to, że niechętnie angażujemy się w działalność organizacji społecznych i z oporami przyjmujemy jakiekolwiek społeczne funkcje i obowiązki.

W świetle powyższego jest oczywiste, że dialog społeczny w Polsce wymaga reanimacji. Potrzebne do tego są czynniki pozaprawne, takie jak dobra wiara, konsensus, empatia, zaufanie, chęć współpracy oraz budowanie kultury dialogu. Poza tym widzę konieczność dokonania stosownej analizy regulacji prawnych dotyczących dialogu społecznego. Przede wszystkim należy rozważyć, jakiego rodzaju zmiany czy zachęty dla stron zastosować w krajowym ustawodawstwie, aby poprawić jakość i efekty dialogu na każdym możliwym poziomie. Trzeba szukać dobrych rozwiązań i wspólnej drogi, gdyż tylko w ten sposób uda nam się stworzyć „nową formułę dialogu społecznego", o której mówimy od 2014 r.

Niniejszy artykuł jest efektem dyskusji podjętych na kilku warsztatach organizowanych w ramach projektu „Learning from the Nordic Model – One level up in Social Dialogue", poświęconych dialogowi społecznemu w Polsce i konfrontowaniu naszych doświadczeń z efektami osiąganymi w Norwegii. Liderem projektu, realizowanego wraz z partnerem norweskim, jest Związek Zawodowy Przemysłu Elektromaszynowego – branżowa struktura OPZZ, skupiająca organizacje związkowe głównie z przemysłu lotniczego i obronnego.

Coraz więcej ważnych regulacji prawnych w ogóle nie jest konsultowanych z partnerami społecznymi.

Strona rządowa w wielu przypadkach prowadzi pozorne dyskusje.

Paweł Śmigielski jest prawnikiem, ekspertem dialogu społecznego w projekcie

Norway grants

Projekty realizowane ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca"/ Supported by Norway through the Norway Grants 2014-2021, in the frame of the Programme „Social Dialogue – Decent Work"

Innovation Norway

eprasa.pl 659b2c71ae

Warto spokojnie rozmawiać

Ograniczenie emisji dwutlenku węgla jest konieczne. Dyskusja dotyczy tempa i kosztów wprowadzania zmian

Marek Czarkowski

Czy można spokojnie dyskutować o zmianach klimatycznych i transformacji polskiego górnictwa i energetyki? Okazuje się, że tak. 1 grudnia br. w siedzibie Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych odbyło się spotkanie, w którym za pośrednictwem internetu wzięło udział ponad 80 osób. W tym posłowie i senatorowie, działacze ekologiczni i związkowcy.

Okazją była publikacja książki „Wielka gra. Czy jesteśmy gotowi na zieloną rewolucję?", która miała być głosem związku w toczącej się w Radzie Dialogu Społecznego dyskusji na temat transformacji górnictwa i systemu energetycznego Polski oraz całej Unii Europejskiej.

70% energii elektrycznej produkowanej w naszym kraju pochodzi z węgla.

Europejski Zielony Ład to strategia rozwoju, która ma nie tylko przekształcić Unię w obszar neutralny klimatycznie, ale też zapewnić zrównoważony wzrost gospodarczy, zmniejszyć korzystanie z paliw kopalnych oraz upowszechnić odnawialne źródła energii, które umożliwią wprowadzenie nowych technologii i rozwój infrastruktury. To odpowiedź najbogatszych krajów naszego kontynentu na kryzys klimatyczny i procesy pogłębiającej się szybko degradacji środowiska.

Polska z racji posiadania sektora energetycznego opartego na węglu kamiennym i brunatnym jest szczególnie zainteresowana proponowanym przez Komisję Europejską tempem zmian oraz ich kosztami. W tym roku Komisja ogłosiła pakiet Fit for 55, którego celem jest ograniczenie emisji dwutlenku węgla o co najmniej 55% do roku 2030. Co wydaje się niezwykle ambitnym i trudnym do osiągnięcia celem.

Autorzy wspomnianej publikacji pisali o konsekwencjach realizacji tych projektów, które dotkną zarówno Śląsk, jak i resztę kraju. Nie pominęli kosztów dekarbonizacji, zamykania elektrowni i elektrociepłowni węglowych i zastępowania ich w okresie przejściowym elektrowniami gazowymi, a docelowo jądrowymi lub termonuklearnymi, nad którymi obecnie pracują uczeni i inżynierowie z wielu państw.

Uczestnicy spotkania byli zgodni co do tego, że zmiany są konieczne. Niekontrolowany rozwój przemysłu, wspierany równie niekontrolowanym wykorzystaniem paliw kopalnych, doprowadziłby w XXI w. do nieodwracalnej degradacji środowiska naturalnego i katastrofy ekologicznej na niespotykaną skalę. Dyskusja dotyczyła tempa wprowadzania postulowanych zmian oraz kosztów, które trzeba będzie ponieść, by osiągnąć deklarowane cele. Polska jest dziś w Europie jednym z niewielu krajów, które dzięki posiadanym zasobom naturalnym są w stanie zapewnić sobie względne bezpieczeństwo energetyczne. Nie musimy importować 95% gazu ziemnego, jak np. Węgry. Nasz węgiel, gdybyśmy zwiększyli wydobycie, w pełni pokryłby zapotrzebowanie elektrowni i elektrociepłowni produkujących prąd.

Mimo że od roku 1990 znacząco spadła liczba kopalń i zatrudnionych w nich górników, 70% energii elektrycznej produkowanej w naszym kraju pochodzi z węgla. Zgodnie z planami do połowy stulecia Polska powinna zamknąć wszystkie kopalnie i zrezygnować z elektrowni węglowych. Oznacza to koszty liczone nie w setkach miliardów, ale w bilionach złotych. Te pieniądze muszą się znaleźć.

Młodzi uczestnicy dyskusji, reprezentujący Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, podkreślali konieczność jak najszybszego wdrożenia założeń Europejskiego Zielonego Ładu i pakietu Fit for 55. Reprezentujący górników związkowcy pytali o koszty społeczne i o to, kto zapłaci za utracone miejsca pracy na Śląsku. Przewodniczący OPZZ Andrzej Radzikowski akcentował odpowiedzialność wszystkich za to, co dzieje się zarówno z klimatem, jak i z pracownikami kopalń i elektrowni oraz polską gospodarką. Dla wszystkich było jasne, że musimy liczyć się z konsekwencjami wzrostu kosztów energii elektrycznej.

Co ciekawe, w trakcie dyskusji okazało się, że nie ma większych różnic między ekologami a górnikami. Ci pierwsi rozumieli, że mieszkańcy Śląska mają obawy, które powinny zostać rozwiane, i że nie da się wprowadzić koniecznych zmian, nie licząc się z ich opinią. Oraz to, że aby zrealizować założone cele, muszą znaleźć się na to środki. Z kolei reprezentujący górników związkowcy podkreślali, że nie są przeciw proponowanym przez Komisję Europejską zmianom. Oni także chcieliby żyć w otoczeniu zieleni i oddychać czystym powietrzem. Wiedzą, że ich obowiązkiem jest pozostawienie Śląska dzieciom i wnukom w lepszym stanie. Ale też zbyt dobrze pamiętają koszt reform z przełomu XX i XXI w., gdy masowo zamykano kopalnie, a tysiące ich pracowników po otrzymaniu odpraw zasiliło armię bezrobotnych.

Zgodnie z planami do połowy stulecia Polska powinna zamknąć wszystkie kopalnie i zrezygnować z elektrowni węglowych.

Spotkanie to dowiodło, że da się spokojnie i merytorycznie dyskutować na temat transformacji energetyki i zmian w górnictwie. Być może to zasługa autorów publikacji „Wielka gra. Czy jesteśmy gotowi na zieloną rewolucję?". Gdy rozpoczynali oni pracę, przewodniczący Radzikowski zasugerował, by każdy przedstawił własny pogląd na ten temat. W efekcie czytelnik może sam ocenić – nie tyle kto ma rację, ile jak bardzo są to złożone problemy i jak różne mogą być proponowane rozwiązania. Pod tym względem jest to praca wyjątkowa. Niczego nie narzuca i nie dyskwalifikuje żadnego poglądu. Jest jak mozaika, która tworzy złożony obraz. Dlatego warto ją polecić wszystkim zainteresowanym tematyką zmian w polskim górnictwie i energetyce. ■

FOT. ARCHIWUM PRZEGLĄDU

eprasa.pl 659b2c71ae

Choinka w pierniczkach i pasztet z soczewicy, czyli…

Święta z Ewą Wachowicz

Rozmawia Paula Leśniewska

EWA WACHOWICZ
– gospodyni i producentka programów telewizyjnych, m.in. „Ewa gotuje", autorka książek kulinarnych, właścicielka krakowskiej restauracji Zalipianki.

Gdzie pani spędza w tym roku Wigilię?

– Tradycyjnie w domu, w Krakowie. Nigdy nie wyjechałam na święta za granicę, bo lubię spędzać ten czas z rodziną. Czasem pojawiają się głosy, żeby dać sobie spokój z przygotowaniami, wyjechać i odpocząć, ale ja bardzo lubię przedświąteczną krzątaninę, gotowanie, zapachy.

Na pani stronie internetowej w sekcji „Wigilia i Boże Narodzenie" królują tradycyjne polskie smaki. Co postawi pani na wigilijnym stole?

– Rzeczywiście, u mnie na święta króluje tradycja. Tak naprawdę kolacja wigilijna wygląda bardzo podobnie jak u moich dziadków czy u mamy. Każdego roku podaję prawie takie same potrawy, a wiele z nich – np. karpia po żydowsku – robię tylko raz w roku, właśnie na wigilię. Oprócz tego zawsze przygotowuję barszcz czerwony, rybę po grecku, karpia z patelni, kapustę z grzybami, pierogi w różnych odsłonach – ruskie, na słodko z serem, a także z kapustą i grzybami, fasolę ze śliwkami, łazanki z makiem i kaszę z grzybami. No i oczywiście pyszny kompot z suszu. Wszystkie dania są jarskie.

Którą z tych potraw lubi pani najbardziej?

– Są to łazanki z makiem i kasza z grzybami.

Skąd u pani tak duża miłość do polskiej kuchni?

– Wiąże się to z tradycją mojego rodzinnego domu. Babcia, mama i ciotki świetnie gotowały. Dorastałam w tradycji wspólnego biesiadowania i tak już mi zostało. Zawsze było u nas dużo gości.

Nie szykuje pani żadnych awangardowych dań?

– Na wigilię raczej nie. Pamiętam, że kilka lat temu zrobiłam mały eksperyment i podczas kolacji wigilijnej podałam kanapeczki z guacamole, śledziem i malinami – zainspirował mnie przepis Wojciecha Amaro. To była jednorazowa sytuacja. Bardziej eksperymentuję przy obiedzie

eprasa.pl 659b2c71ae

w drugi dzień Bożego Narodzenia. Wtedy podaję np. krewetki.

To inspiracja podróżami na Wschód?

– Gdy zdarza mi się coś ciekawego zjeść podczas podróży, później dzielę się tym z bliskimi. Jak wróciłam z Tajlandii, wpadłam w okres zachwytu nad trawą cytrynową, liśćmi kafiru, zielonym i czerwonym curry. Wtedy często przygotowywałam krewetki i kurczaka na sposób wschodni. Starałam się też nadać naszym rodzimym produktom egzotyczny smak – np. wieprzowinie.

Jak pani bliscy reagowali na takie eksperymenty?

– Są bardzo otwarci na nowe smaki, więc z ekscytacją.

Mimo egzotycznych dań tu i ówdzie, jest pani przywiązana do polskich świątecznych tradycji, nie tylko w kwestii potraw?

– Tak, podobnie jak cała moja rodzina. Kolacja wigilijna to dla nas zawsze pierwszy posiłek tego dnia. Do stołu siadamy dość wcześnie, około godz. 16. Przy deserze lubimy śpiewać kolędy. To tradycja, która wydaje się powoli zanikać. Zauważyłam, że w Polsce coraz mniej się śpiewa. Pamiętam, że w domu dziadków, w którym nie było radia ani telewizji, ciągle rozbrzmiewały rozmaite przyśpiewki i dźwięki instrumentów muzycznych. W moim rodzinnym domu było tego już mniej, a teraz w moim krakowskim domu śpiewamy już tylko kolędy. Na co dzień technika zastąpiła nam tradycyjne biesiadowanie ze śpiewem, a szkoda, bo to piękna polska tradycja.

Czy zmiany zaszły też w guście kulinarnym Polaków?

– Zauważyłam, że na stołach jest mniej mięsa. Za to panuje moda na owoce morza i ryby – sandacze, dorsze. Dużo osób stawia na kuchnię włoską, często znajomi podają np. risotto. Jeżeli chodzi o dania wegetariańskie, polecam szczególnie świąteczny pasztet z soczewicy. Jest pyszny i z powodzeniem może zastąpić pasztet mięsny.

U pani na wigilii mięsa nigdy nie było. Zastanawiam się, czy coś w ogóle zmieniło się w ciągu tych lat w pani świętach.

– Przede wszystkim kiedyś zawsze na Boże Narodzenie padał śnieg. Wszystko było bajkowo białe. A jeżeli chodzi o menu, to największe zmiany zaszły w ciastach. Zawsze jest makowiec i sernik, w moim rodzinnym domu zawsze było jeszcze ciasto z orzechami, natomiast ja jakiś czas temu przywiozłam z USA pyszny przepis na ciasto imbirowe, które na stałe zagościło w naszym świątecznym menu. W robieniu tego ciasta wyspecjalizowała się córka. Imbirowiec to miękkie, wilgotne ciasto, ma ciekawą, ostrzejszą nutę. Polecam je wszystkim lubiącym korzenne smaki. A jak już przy nich jesteśmy, wspomnę o pierniku. Gdy byłam mała, mama mniej więcej dwa tygodnie przed świętami zawsze piekła piernik, który potem był dwukrotnie przekładany powidłami i oblewany czekoladą. Natomiast gdy zamieszkałam w Krakowie, który słynie z pierniczków, zaczęłam je robić zamiast ciasta. W okolicach 19 października, czyli moich urodzin, robię pierniczkowe ciasto. Leżakuje ono do początku grudnia i dopiero wtedy biorę się do wypiekania ciasteczek. Pierniczki są najlepsze, gdy poleżą jeszcze około dwóch tygodni, najlepiej w towarzystwie jabłek lub pomarańczy – wtedy ładnie miękną i nabierają przyjemnego aromatu.

Czyli przygotowania świąteczne zaczyna pani już w październiku?

– Większość rzeczy robię mniej więcej w ciągu dwóch tygodni przed świętami. Dobrze jest rozplanować gotowanie, żeby później się nie spieszyć. Często przed samą wigilią wpada coś dodatkowego, co trzeba szybko zrobić, i jeśli nie mamy niczego przygotowanego wcześniej, może być nerwowo. Uszka i pierogi zawsze robię jakiś czas przed świętami, porcjuję je, opisuję i zamrażam. Na początku grudnia przygotowuję też zakwas na barszcz. Robię go zawsze więcej, przelewam do butelek i trzymam w lodówce lub w piwnicy. Gdy taki zakwas jest gotowy, zrobienie barszczu to już bułka z masłem.

Świąteczne jedzenie może być ciężkostrawne. Ma pani jakieś sposoby, żeby dobrze się czuć po kolacji wigilijnej?

– Po pierwsze, trzeba przypomnieć, że kompot z suszu nie przypadkiem jest podawany do dań wigilijnych. Taki owocowy wywar świetnie wspomaga trawienie. Druga sprawa to aktywność fizyczna. Święta trzeba rozchodzić. Ja bardzo lubię długie grudniowe spacery. Oprócz tego na trawienie polecam herbatę miętową. Chociaż powiem szczerze, że nie uważam polskich potraw wigilijnych za wybitnie ciężkostrawne. To ilość jest tu głównym problemem. Wszystkie tradycyjne potrawy wigilijne są jarskie, delikatne dla żołądka

Ciasto imbirowe Ewy Wachowicz

Składniki:

- 2 szklanki mąki
- 2 łyżeczki proszku do pieczenia
- 1 łyżeczka cynamonu
- 1 łyżeczka imbiru
- ¼ łyżeczki soli
- ½ szklanki zmielonych orzechów włoskich
- 230 g masła
- 1 szklanka cukru brązowego
- ½ szklanki syropu klonowego
- 1 laska wanilii
- 4 jajka
- 80 ml mleka
- 2 cytryny
- cukier puder i imbir kandyzowany – do dekoracji

Przygotowanie:

Do dużej miski przesiewam mąkę, proszek do pieczenia, cynamon, imbir oraz sól. Dodaję zmielone orzechy i całość mieszam.

W innej misce miksuję miękkie masło, dodaję cukier i ucieram. Dodaję syrop klonowy i znów miksuję. Później dodaję miąższ z laski wanilii i wbijam jajka – stopniowo, jedno po drugim, cały czas miksując. Porcjami dodaję wymieszane wcześniej sypkie składniki. Na samym końcu dolewam mleko.

Tak przygotowane ciasto przekładam do formy (boki wysmarowałam wcześniej masłem, a spód wyłożyłam papierem do pieczenia). Piekę przez 45 minut w piekarniku nagrzanym do 180 st. C.

Po wystudzeniu dekoruję lukrem cytrynowym oraz kandyzowanym imbirem. Ciasto imbirowe wspaniale rozgrzewa, świetnie smakuje z kawą lub herbatą i jest prawdziwie zimowym deserem.

eprasa.pl 659b2c71ae

Świąteczny wegetariański pasztet z soczewicy Ewy Wachowicz

Składniki:
- 250 g soczewicy czerwonej
- sól
- 4 marchewki
- 1 cebula
- 2 łyżki masła klarowanego
- ½ łyżeczki ziaren gorczycy
- 1 łyżeczka słodkiej papryki wędzonej
- 1 łyżeczka kurkumy
- pieprz ziołowy
- 3 jajka
- 2 łyżki bułki tartej
- czarnuszka
- żurawina do dekoracji

Przygotowanie:

Soczewicę płuczę na sicie. Przekładam do garnka, zalewam wodą, solę i gotuję do momentu, aż zacznie się rozpadać. Następnie odcedzam z nadmiaru płynu i odstawiam do wystudzenia.

Marchewkę ścieram na tarce jarzynowej, cebulę drobno siekam. Warzywa podsmażam na maśle (najpierw szklę cebulę, po chwili dorzucam marchewkę). Przyprawiam rozgniecioną w moździerzu gorczycą oraz papryką, kurkumą i pieprzem ziołowym. Całość łączę z odsączoną soczewicą. Wbijam jajka i dodaję czosnek przeciśnięty przez praskę. Zagęszczam bułką tartą i przyprawiam jeszcze odrobiną soli.

Gotową masę przekładam do foremki keksowej wysmarowanej masłem i wysypanej bułką tartą. Ubijam i wyrównuję. Posypuję czarnuszką. Wstawiam na 45 minut do piekarnika rozgrzanego do 180 st. C.

Pasztet z soczewicy to pyszne i zdrowe danie. Ze względu na wysoką zawartość białka soczewica wspaniale zastępuje mięso. Polecam!

– może wyjąwszy kapustę z grzybami, ale ja robię moją bez zasmażki. Co innego, gdy ktoś robi np. pieczeń na drugi dzień świąt. Wtedy może się zrobić ciężko. Polecam przede wszystkim umiar.

To coś, czego wielu rodakom brakuje.

– Zawsze mówię: każdej potrawy spróbować, ale po troszeczku. Co za dużo, to niezdrowo.

Co pani robi z resztkami z wigilii?

– U nas jest tradycja, że w pierwszy dzień świąt nie robimy obiadu, tylko zjadamy smakołyki z wigilii.

Wróćmy do przygotowań świątecznych. Co zostawia pani na ostatnią chwilę?

– Dwa-trzy dni przed świętami mam zarezerwowane na wypieki, wszystkie oprócz pierniczków. A później już choinka, ozdoby...

No właśnie – jak dba pani o świąteczny nastrój w domu?

– Uwielbiam dekorować choinkę. W ubiegłym roku nasza choinka była cała udekorowana pierniczkami. Bardzo lubię, gdy z drzewka można zjeść coś dobrego. Zazwyczaj obok światełek, bombek i pierniczków na choince zawieszamy czekoladki i orzechy zawinięte w sreberko, a przy samym pniu kilka jabłek.

Ciekawa tradycja.

– Jeszcze z rodzinnego domu. Pamiętam, jak byłam dzieckiem, tata zrobił nam niespodziankę, skonstruował stelaże, poszedł do lasu, przyniósł gałązki sosny i musieliśmy sami złożyć swoje choinki. Dzisiaj świąteczne drzewko ubieramy dość późno, bo tuż przed świętami. Zawsze też dekoruję dom – nie tylko w środku, ale i na zewnątrz. W ogrodzie mam choinkę i dwa krzewy bukszpanu, które zawsze przystrajam światełkami. Natomiast w środku stoi piękna, tradycyjna szopka krakowska, którą podarowała mi dwa lata temu przyjaciółka. Wykonał ją jej 93-letni sąsiad. Całość podświetlamy i stawiamy na komodzie. Zawsze również wieszam nad stołem jemiołę.

A cytrusy nabijane goździkami?

– Też, chociaż muszę przyznać, że dzisiejsze pomarańcze nie pachną tak jak te z minionych lat. Do tej pory pamiętam, jak kiedyś, w okolicach stanu wojennego, dziadek przywiózł nam dwie pomarańcze. Wszyscy się nimi zajadali. Wtedy te pomarańcze pachniały dla mnie absolutnie wyjątkowo, były świeże i soczyste, nie leżały w przechowalniach jak dzisiejsze owoce. Jeżeli chodzi o zapach w domu, to kiedyś już przywiozłam z Zanzibaru oraz z Indii ozdoby zrobione z goździków – kule i wieńce. Ich aromat jest niesamowity.

Nie powiedziała pani jeszcze nic o prezentach.

– Gdy byłam dzieckiem, Mikołaj zawsze przychodził 6 grudnia do przedszkola, trzeba było nauczyć się wierszyka i mu wyrecytować, żeby dostać prezent. Później, gdy byłam już starsza, prezenty pojawiały się pod poduszką. Teraz dajemy sobie prezenty w czasie wigilii. Stawiamy na te przemyślane, bynajmniej nie drogie. Już kilka lat temu stwierdziliśmy rodzinnie, że bez sensu obdarowywać się bez umiaru. W końcu nie o prezenty w święta chodzi.

Co zatem jest dla pani najważniejsze w Bożym Narodzeniu?

– Przede wszystkim święta to dla mnie okazja do spędzenia czasu z rodziną i przyjaciółmi. W ciągu roku każdy jest zabiegany i mało zostaje czasu, by się spotkać, nagadać. Przy świątecznym stole dla odmiany wszyscy się przekrzykują, ale dla mnie właśnie o to chodzi w świętach – żeby było radośnie i gwarno, żebyśmy byli razem. Moja rodzina porozjeżdżała się po świecie, po Krakowie, więc zawsze najbardziej cieszy mnie, jak do siebie wracamy. Nie wyobrażam sobie świąt bez tej wspólnoty.

Paula Leśniewska
p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. GRZEGORZ KOZAKIEWICZ, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 659b2c71ae

Prezenty z historią

Brakuje ci pomysłu na podarunek dla najbliższych? A pomyślałeś o pandzie pod choinkę?

Mateusz Mazzini

Zdecydowana większość z nas prezenty kupuje na ostatnią chwilę, często z duszą na ramieniu. Co roku zresztą w okolicach Bożego Narodzenia media pęcznieją od złotych porad, zestawień podarków, które aktualnie dominują na listach przebojów, prezentów „dla niego", „dla niej", „dla obojga", tych alternatywnych i tych najłatwiejszych do kupienia. Czasem jednak prezent musi być szczególny. Przemyślany, podszyty kilkoma warstwami znaczeń albo przynajmniej unikatowy. Taki, który obdarowany zapamięta na długie lata. Czy nie lepiej w tym przypadku odrzucić poradnikowe rozwiązania i sięgnąć do czasów minionych, w których podarunków jedynych w swoim rodzaju akurat nie brakowało?

Można osobie nam drogiej ofiarować na Gwiazdkę całe miasto. Odbiorcą takiego właśnie prezentu był Abraham Lincoln, choć słowo prezent należy tu interpretować metaforycznie. Zimą 1864 r., w czasie trwającej już niemal cztery lata wojny secesyjnej, wojska Północy przez kilka tygodni bez powodzenia oblegały Savannah w stanie Georgia, jeden z ważniejszych strategicznie punktów obrony Południa. Dowodzący atakiem gen. William T. Sherman, kiedy ostatecznie przejął kontrolę nad miastem 22 grudnia, natychmiast wysłał telegram do prezydenta. Zameldował w nim, że – dosłownie – w prezencie świątecznym przekazuje pod rządy Lincolna Savannah wraz ze 150 armatami oraz, co wtedy było znacznie ważniejsze, 25 tys. bali bawełny.

Jeśli ktoś nie ma akurat ochoty żadnego miasta zdobywać siłą, może je po prostu kupić. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić taką transakcję na wolnym rynku (choć kampusy niektórych firm technologicznych, takich jak Apple czy Amazon, w zasadzie funkcjonują już jak małe miasta), ale w VI w. p.n.e. jak najbardziej figurowało to w repertuarze podarunków. Z tej opcji skorzystał Nabuchodonozor II, wielki król Babilonii, który żonie Amytis ofiarował większe od niejednego istniejącego wówczas miasta ogrody. Jeden z siedmiu cudów świata starożytnego, tzw. wiszące ogrody Semiramidy, był podarkiem mającym leczyć tęsknotę. Amytis bowiem, pochodzącej z Medii, starego indoirańskiego państwa, brakowało wokół królewskiego dworu zieleni, która w ojczyźnie otaczała ją na każdym kroku. Mąż nie mógł oczywiście pozwolić jej na powrót, więc ojczyznę przywiózł do niej. Ściągnął do Babilonu najpopularniejsze rośliny z Medii, i to w ogromnych ilościach, tworząc gigantyczną nawet jak na dzisiejsze czasy sieć zagajników, ogrodów, parków i skwerów. Jego dzieła oglądać już nie można, antyczne źródła donoszą, że zostało zniszczone 300 lat później w trzęsieniu ziemi. Historycy spierają się jednak o to, czy w ogóle istniało. Opisy wiszących ogrodów były według niektórych ekspertów aż nazbyt kwieciste, żeby były prawdziwe.

Motyw dawania w prezencie całych miast pojawia się w historii zaskakująco często. Karol II, król Anglii, przyszłej małżonce, portugalskiej księżniczce Katarzynie Braganzie, w akcie zaręczyn podarował aż dwa. Bombaj i znajdujący się dziś w Maroku Tanger przeszły w personalne władanie księżniczki, gdy ta zgodziła się na zamążpójście. Prezent imponujący, z rozmachem, ale samego Karola trudno za niego chwalić. Gdy oferta została złożona, miał lat dziesięć, a jego wybranka zaledwie dwa.

Abraham Lincoln dostał w prezencie miasto.

Z prezentem, nawet najlepszym i najbardziej wyszukanym, trzeba jednak umieć się obchodzić. Lekcję tę w bolesny sposób odebrał papież Leon X, któremu w 1514 r. król Portugalii Manuel I podarował żywego słonia. I choć może to się wydawać podarkiem mało praktycznym, papież był w siódmym niebie. Według relacji świadków słoń stał się z miejsca jego ulubionym towarzyszem w czasie wolnym. Do tego stopnia,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 659b2c71ae

że właśnie zwierzęciu, nazwanemu Hanno, miał Leon X powierzać swoje przemyślenia teologiczne i polityczne – choć trudno się spodziewać, aby słoń był wartościowym uczestnikiem tej debaty. Miłość do podopiecznego okazała się jednak zabójcza. Papież otoczył go źle pojmowaną troską, kazał poić mlekiem z dużą ilością złota. Układ pokarmowy słonia tak dużej dawki czułości nie wytrzymał, Hanno zmarł w bardzo młodym jak na słonia wieku zaledwie sześciu lat.

Przejdźmy jednak do czasów nieco bardziej współczesnych. Bodaj najbardziej znanym prezentem o charakterze międzynarodowym jest Statua Wolności, według popularnej, ale mocno spłyconej i niekoniecznie prawdziwej legendy przekazana Amerykanom przez Francuzów jako upamiętnienie rewolucyjnej przeszłości obu narodów. Problem w tym, że statua nie została nigdy nikomu ofiarowana bezinteresownie, a to jednak podstawowy warunek, który musi spełniać prezent. Frédéric Auguste Bartholdi, francuski rzeźbiarz, twórca projektu i wykonawca budowli, na etapie planowania miał zupełnie inne marzenie. Statuę widział nie w Stanach Zjednoczonych, ale na Kanale Sueskim, gdzie miała być dowodem francuskiej potęgi, rywalizując z piramidami w Gizie. Problem w tym, że wizji Bartholdiego nie podzielali Egipcjanie. Rzeźbiarz udał się nawet na spotkanie z Ismailem Paszą, wicekrólem Egiptu. Ten był wprawdzie człowiekiem obytym, służył jako dyplomata przy dworze Napoleona III i swój kraj modernizował na potęgę, ale Statua Wolności akurat do gustu mu nie przypadła. A już na pewno nie na tyle, żeby za nią płacić. Bartholdiego odprawił z kwitkiem, rzeźbiarzowi kończyły się pieniądze, więc statuę zmienił w atrakcję turystyczną. Już wtedy myślał o zaoferowaniu jej Amerykanom, ale ci też skąpili grosza.

Z pomocą przyszła mu inna historyczna postać, Joseph Pulitzer, największy wówczas magnat prasowy na świecie. Pulitzer postanowił drukować nazwiska wszystkich darczyńców, którzy wpłacali datki na projekt Bartholdiego, bez względu na wysokość kwoty. Obaj panowie szybko się połapali, że ofiarodawców przybywa, bo przekazanie pieniędzy na dokończenie statuy i postawienie jej w Nowym Jorku było *de facto* autoreklamą. Ludzie tak bardzo chcieli przeczytać o sobie w drukowanej prasie, że niespecjalnie nawet interesowali się losami samej budowli. Piękny gest, choć z prezentem niemający wiele wspólnego.

Osobną kategorią są prezenty dawane sobie nawzajem przez dzisiejszych polityków. Szczególnie groteskowe bywają podarunki otrzymywane przez prezydentów USA. Amerykańskie media na koniec każdej kadencji publikują zresztą subiektywne ich zestawienia, od najlepszego do najgorszego, co zresztą w Polsce wzbudziło całkiem niedawno spore poruszenie.

Okazało się bowiem, że gra komputerowa „Wiedźmin", przekazana Barackowi Obamie przez Donalda Tuska, została uznana przez „Washington Post" za najgorszy prezent w ośmioletnim okresie jego rządów. Liście tej warto przyjrzeć się bliżej, bo Obama oficjalnych podarunków otrzymał łącznie aż 274. W zestawieniu zwyciężył srebrny kalendarz Azteków, ofiarowany przez prezydenta Meksyku. Prezent dobry, trwały, z pomysłem i z podwójnym znaczeniem – Obama dostał go w 2012 r., gdy popularna była teoria, że cywilizacja zbliża się do końca tego właśnie kalendarza, co miało się skończyć apokalipsą.

Nieco mniej zadowolony z podarku był prezydent Francji François Hollande po wizycie w Republice Mali w 2013 r. Od miejscowych władz otrzymał wielbłąda, którego jednak do kraju ze sobą nie wziął, licząc się chociażby z możliwymi protestami ekologów i już silnej wtedy młodej lewicy. Wielbłąd został w Mali, Hollande przekazał go pod opiekę jednej z rodzin w Timbuktu, którą poznał w czasie wizyty. I tu historia nabiera kolorytu, bo wielbłąd, formalnie należący do Francji, został przez tymczasowych kustoszy po prostu zjedzony. Nieznana była reakcja strony francuskiej, ale Hollande zapewne niespecjalnie losem zwierzęcia się przejął. Inaczej niż rząd Mali, który natychmiast zaoferował Francuzom zastępstwo – drugiego wielbłąda, podobno „większego i piękniejszego" niż jego poprzednik.

Prezydent Francji François Hollande w 2013 r. otrzymał od władz Mali wielbłąda.

Czasem jednak prezydenckie prezenty błyskawicznie przeradzają się w coś większego niż podarunek. Kiedy Richard Nixon otworzył kanał stosunków dyplomatycznych z Chińską Republiką Ludową, legitymizując rząd Mao Zedonga, przewodniczący dał mu w prezencie dwie pandy. Spotkało się to z tak wielką aprobatą, że duże misie stały się modelowym chińskim podarkiem dla wszystkich innych ważnych przywódców. Do tego stopnia, że strategia polityki zagranicznej Chin w latach 70. nazywana była *Panda Diplomacy* – aż do 1983 r., kiedy zaczęto jedynie wypożyczać zwierzaki innym krajom, a nie oddawać na zawsze.

Dawanie prezentów to sztuka niełatwa, nawet jeśli jest się królem czy prezydentem supermocarstwa. Jak w każdej innej dziedzinie i tutaj zastosowanie ma powiedzenie, że trening czyni mistrza. Bez względu więc na swój status ćwiczmy dawanie prezentów. Mimo wszystko z reguły to się opłaca.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

W nowym numerze tygodnika „NIE":
Jak poseł Andrzej Rozenek został polskim socjalistą.

eprasa.pl 659b2c71ae

Żeby szybciej wrócić z gór

Skoro najbardziej niebezpieczne jest schodzenie ze szczytów, wydaje się logiczne, że lepiej zjechać

Andrzej Dryszel

– Nie lubię schodzić ze szczytu na nogach – mówi zakopianka Anna Tybor. W 2021 r. jako pierwsza kobieta na świecie zjechała bez tlenu z Manaslu (8163 m) na nartach.

– We wspinaczce z nartami najprzyjemniejszy jest zjazd, bo krótko trwa – chętnie powtarzał Słoweniec Davo Karničar, który zjechał z Everestu (8848 m).

Również Andrzej Bargiel z Łętowni, pierwszy człowiek, który zjechał na nartach z K2 (8611 m), mówi, że męczy go schodzenie i noclegi na dużych wysokościach. Jego zjazd bez tlenu z wierzchołka najtrudniejszej góry Ziemi zaczął się 22 lipca 2018 r. przed godz. 12 i skończył w bazie już o 18.30. Schodzenie z K2 wymaga zaś biwaku, a wypadki najczęściej zdarzają się w długotrwałym zejściu. Zjeżdżając z K2, Andrzej Bargiel minął kilku wspinaczy, którzy, trzymając się poręczówek, mozolnie wchodzili na szczyt, by z równie wielkim wysiłkiem z niego schodzić. Nie znaczy to, że używanie nart stanowi wygodniejszą alternatywę.

Niebezpieczne zjazdy po stokach o nachyleniu przekraczającym 50 st. wymagają odporności psychicznej, najwyższej koncentracji i doskonałej kondycji. Gdy się trafi na zmrożoną szreń, trzeba skręcać podskokami, co na dużych wysokościach jest morderczym wysiłkiem, albo jechać na tyłach nart, co potęguje ryzyko. Wspinacze mogą iść utartym szlakiem, wpięci w poręczówkę – narciarze siłą rzeczy zjeżdżają zakosami, po nieznanym terenie, gdzie grozi im wpadnięcie w szczelinę albo zsunięcie się z deską śnieżną. A wcześniej muszą wtargać narty na plecach i przypiąć je na szczycie, co nie jest proste na ośmiotysięczniku.

– Po drodze są urwiska i przepaście, jeden błąd i spadam kilkaset metrów – mówił Andrzej Bargiel o swojej trasie z K2. Jego zjazdu z drugiego szczytu Ziemi już nic nie przebije i zapewne przez dziesiątki lat nie da się go powtórzyć.

Andrzej Bargiel: Narty zwiększają poczucie bezpieczeństwa, bo ułatwiają odwrót.

Góry wysokie są rozległymi masywami, ale jedyna droga możliwa do pokonania na nartach wiedzie niekiedy przez zabójczo strome żleby, zwężające się do zaledwie 2 m. Taka właśnie – Kuluarem Lhotse – była trasa Amerykanów Hilaree Nelson i Jima Morrisona, którzy we wrześniu 2018 r. jako pierwsi zjechali z tego szczytu (8516 m), wspomagając się jednak tlenem.

Oprócz kijków warto mieć w ręku czekan, by wbić go w śnieg w chwili upadku, nim prędkość stanie się niemożliwa do opanowania. Gdy ściana zbliża się do pionu, można tylko zsuwać się na nartach bokiem, trzymając się poręczówki (tak zrobił Andrzej Bargiel na K2).

Zdarzają się też bardzo ostre, strome i przepaściste granie, gdzie nie wolno upaść, bo się zginie. Taki jest trawers Messnera (wysokość ok. 7000 m), łączący na K2 drogę Kukuczki i Piotrowskiego z drogą Basków. W 2017 r. Andrzej Bargiel i Janusz Gołąb nie zdobyli K2, ale niemal metr po metrze przepatrzyli zbocza przez lunetę i doszli do wniosku, że tylko ten trawers umożliwi nieprzerwany zjazd z wierzchołka do bazy bez odpinania nart. Sam Messner, choć trawers nosi jego nazwisko, nie odważył się nim przejść. Jako pierwszy pokonał go – na nartach – właśnie Andrzej Bargiel 22 lipca 2018 r. Parę dni wcześniej, w wyjściu aklimatyzacyjnym, przezornie przejechał na próbę trawers Messnera z asekuracją.

– To najtrudniejszy zjazd na Ziemi – uważa Janusz Gołąb, zdobywca K2 w 2014 r., który w 2018 r. dotarł do obozu III i tam czekał na zjeżdżającego Bargiela.

Nie dla spadochroniarzy

Wysokogórskie narciarstwo ekstremalne ma niedługą historię. Gdy w 1964 r. zdobyto (latem) ostatni

eprasa.pl 659b2c71ae

ośmiotysięcznik, wspinaczom zaświtało, że można by zjeżdżać z nich na nartach. Najpierw w 1970 r. z Everestu spróbował Japończyk Yuichiro Miura. Bilans ekspedycji był tragiczny. W lawinie zginęło sześciu Szerpów, siódmego zabił spadający serak, jeden z Japończyków zmarł na serce. Uparty Miura nie przerwał wyprawy, ale narty przypiął na wysokości niespełna 8000 m. Zjechał na ok. 6000 m, stracił panowanie nad nartami i przy bardzo dużej szybkości, nie umiejąc ani zwolnić, ani skręcić, otworzył spadochron ratunkowy. Zatrzymał się z jego pomocą, lecz, zaplątany w linki, nie mógł zejść w bezpieczniejsze miejsce i trzeba mu było pomóc. W następnych latach Miura trzykrotnie wszedł na Everest, ostatni raz w 2013 r. jako 80-latek, pozostając do dziś jego najstarszym zdobywcą. Planuje czwarte wejście w wieku 90 lat. Po nim już nikt nie korzystał ze spadochronu na nartach.

W ostatnim półwieczu wielokrotnie usiłowano zjechać z różnych ośmiotysięczników, ale często nie były to pełne, udane próby. Narciarze albo pokonywali na nartach tylko część trasy, a resztę w butach z rakami, albo zaczynali zjazd nie z samego wierzchołka, albo ginęli, jak Francuz Yves Morin, który w 1979 r. zjechał z wierzchołka Annapurny (8091 m), ale na wysokości 6600 m umarł z wyczerpania.

Wreszcie, w 1982 r., 46-letni Szwajcar Sylvain Saudan dokonał pierwszego pełnego zjazdu z Gaszerbrumu I (8080 m). Na razie nikt jeszcze nie zdołał w taki kompletny sposób zjechać z Makalu (8485 m), Kanczendzongi (8586 m), Dhaulagiri (8167 m) ani Nanga Parbat (8125 m). Przeszkadzały zbyt skaliste, strome i za mało zaśnieżone zbocza.

Pierwszym człowiekiem, który zjechał z Everestu, był wspomniany Davo Karničar (z tlenem), 7 października 2000 r., bez odpinania nart. Czas efektywnej jazdy do lodospadu Khumbu wyniósł cztery i pół godziny. Bez tlenu jeszcze nikt nie zjechał z najwyższego szczytu Ziemi, bardzo prawdopodobne, że zrobi to Andrzej Bargiel.

Karničar jako pierwszy, mając 44 lata, skompletował też w listopadzie 2006 r. narciarską Koronę Ziemi, zjeżdżając również z Elbrusa i Mont Blanc, Vinsona, Aconcagui, Denali, Kilimandżaro oraz Góry Kościuszki (najwyższy w Australii i Oceanii jest indonezyjski Puncak Jaya, ale śniegu tam tak mało, że nie ma chętnych do wykonania kilkusetmetrowego zaledwie zjazdu, poza tym nie brakuje opinii, że cała Indonezja należy do Azji).

Miesiąc przed nim z najwyższych szczytów wszystkich części świata zjechała Amerykanka Kit DesLauriers, wybitna narciarka ekstremalna, ale co najmniej w dwóch miejscach na Evereście schodziła bez nart, więc ten zjazd nie został uznany. Nie przeszkodziło to jednak jej i jej zwolennikom w głoszeniu, że właśnie ona była pierwsza. A gdy w 2019 r. Karničar zginął (przygnieciony drzewem w lesie), coraz rzadziej już się mówi o jego pierwszeństwie.

Zjeżdżanie z gór wysokich to upiornie ciężka praca na stoku.

Na nartach i desce

Polskim prekursorem himalajskiego szusowania był nasz najlepszy wspinacz Jerzy Kukuczka. Podczas wyprawy na Sziszapangmę (8027 m) we wrześniu 1987 r. najpierw on i Artur Hajzer zdobyli dziewiczy szczyt Yebokangal Ri (7365 m) i z powodzeniem z niego zjechali. Potem przyszła pora na zasadniczy cel. Kukuczka i Hajzer zaatakowali Sziszapangmę w stylu alpejskim, wszystko niosąc w plecakach. Na szczyt weszła też wtedy Wanda Rutkiewicz, a także Ryszard Warecki i Meksykanin Carlos Carsolio, obaj niosąc po jednej narcie dla lidera wyprawy. Po latach Kukuczka, Rutkiewicz i Hajzer kolejno zostali w górach...

Kukuczka przypiął narty na przełęczy podszczytowej (ok. 8000 m) i wszedł na wierzchołek. Wrócił na przełęcz, tam przenocował w namiocie z Arturem Hajzerem, a następnego dnia rozpoczął pierwszy polski zjazd z ośmiotysięcznika, jednak nie z wierzchołka. Uczucia miał mieszane, wcześniej zwykle jeździł na ubitych stokach: „Śnieg jest głęboki, kopny. Nie widzę w ogóle swoich nart, momentami posuwam się tak wolno, że wydaje mi się, że stoję w miejscu. Artur za mną schodzi i właściwie dystans między nami się nie powiększa. Nie potrafię ujechać więcej niż 10 m, potem jestem tak zmęczony i mam taką zadyszkę, że muszę siąść w śniegu i odpocząć. (...) Cały zysk z mojego »białego szaleństwa« sprowadził się do tego, że w zjeździe z 8000 m na 5900 m zyskałem godzinę nad Arturem, który nie jechał, ale człapał w śniegu".

Słowa Kukuczki oddają istotę zjeżdżania z gór wysokich: to upiornie ciężka praca na stoku. Ale z czasem, im lepiej wytrenowani stawali się narciarze, tym bardziej rosła ich przewaga czasowa nad wspinaczami idącymi pieszo. W czasie zjazdu z Sziszapangmy Kukuczka miał 39 lat. Kontynuatorami jego narciarskiej inauguracji byli już nieco młodsi Polacy.

W 2004 r. z Czo Oju (8201 m) zjeżdżał na desce 30-letni Olaf Jarzemski. Biwakował w obozie II, zjazd nie odbył się jednym ciągiem. Mówił potem, że trudno było to nazwać przyjemnością, w zjeździe walczył ze zmęczeniem i warunkami pogodowymi.

Coraz śmielej góry wysokie atakują snowboardziści. Już w 2001 r. Austriak Stefan Gatt zjechał bez tlenu z Everestu na 6500 m (pokonując jednak dwa odcinki bez deski). Jego konkurent Francuz Marco Siffredi zjechał zaś bez odpinania deski, z jedną przerwą na naprawę wiązania – ale z tlenem. Rok później Siffredi chciał poprawić wynik i wrócił na Everest. Zjazd z wierzchołka rozpoczął o godz. 15 i już nikt nigdy go nie zobaczył.

Było ich dwóch

W 2014 r. 29 września z Czo Oju samotnie zjechał na nartach 26-latek Aleksander Ostrowski, ustanawiając ówczesny rekord Polski w wysokości zjazdu narciarskiego. Po drodze zabrał swój namiot z obozu II. Zwijanie namiotu z nartami na nogach, by zachować czystość stylu, wydało mu się śmieszne, więc na krótko je zdjął. Do obozu I zjechał przy świetle czołówki, przenocował, do bazy doszedł już z nartami na plecach.

Ostrowski, urodzony w Wetlinie, zaczął jeździć na nartach w wieku trzech lat. Jako 19-latek został ratownikiem Grupy Bieszczadzkiej GOPR, studiował geografię na Uniwersytecie Jagiellońskim, biegał ultramaratony. W 2012 r. wszedł na Pik Lenina

eprasa.pl 659b2c71ae

Anna Tybor: Nie lubię schodzić ze szczytu na nogach.

(7134 m) i zjechał z niego północną ścianą. – Góry niosą różne zagrożenia. Trzeba być czujnym, obserwować, podejmować odpowiednie decyzje. Najwięcej wypadków zdarza się w zejściu, bo ludzie zapominają, że trzeba jeszcze wrócić – mówił. Nie ukrywał, że czasem się boi: – Strach jest dobry, trzeba się bać, ale nie może paraliżować.

Trzy miesiące młodszy od niego, 22-letni Andrzej Bargiel w 2010 r. wygrał słynny bieg na Elbrus (5642 m), poprawiając rekord Denisa Urubki aż o 32 minuty. Wcześniej, w latach 2007-2009, był trzy razy mistrzem Polski w skialpinizmie. Po tych osiągnięciach zaproponowano mu udział w programie Polski Himalaizm Zimowy, ale okazało się, że to nie dla niego. Przewyższał wielu uczestników kondycyjnie i szybkościowo, nie chciał tracić czasu na długie siedzenie w bazie. W 2013 r. zorganizował własną wyprawę na Sziszapangmę. Zaczęło się nie najlepiej. Chorował na lekką grypę, a gdy szedł po skałach, potknął się i wybił ze stawu lewy bark, z którym miał kłopoty od czasu upadku narciarskiego w Tatrach. Zastosował więc swój sprawdzony patent: włożył kijek pod ramię, szarpnął prawą ręką i sam nastawił bark.

Podczas ataku szczytowego nastąpiło załamanie pogody, śnieg, zawierucha. Inne wyprawy zrezygnowały, sił zabrakło także jego starszemu bratu Grzegorzowi. Andrzej Bargiel znał jednak swoje możliwości. Choć brnął w śniegu po szyję, 2 października zdobył samotnie wierzchołek centralny Sziszapangmy, o 14 m niższy i łatwiejszy od głównego. Przypiął narty i już po 35 minutach dojechał do obozu III (z którego droga na szczyt trwa prawie osiem godzin), potem do II, gdzie spotkał się z bratem. Cały zjazd, zakończony na wysokości 5800 m, zajął mu niespełna dwie godziny!

– Narty zwiększają poczucie bezpieczeństwa, bo ułatwiają odwrót. Gdy jest głęboki śnieg czy groźba lawin, mogę poruszać się szybciej i uciekać w dół. Jestem bardziej mobilny, narta ma większą powierzchnię i mniejszy nacisk na śnieg niż buty. Gdy ludzie na kolanach przechodzą szczeliny po drabince, ja jadę na nartach i po prostu przeskakuję nad szczeliną do 3 m szeroką, pod pełną kontrolą – tłumaczył.

W lipcu 2015 r. Andrzej Bargiel z kolejną własną ekspedycją ruszył na Broad Peak (8047 m), gdzie dwa lata wcześniej zginęli zimą Maciej Berbeka i Tomasz Kowalski. Aleksander Ostrowski wybrał zaś Gaszerbrum II (8035 m). Oba szczyty są blisko siebie w Karakorum.

25 lipca Bargiel odniósł następny sukces. Samotnie wszedł na Broad Peak (w 2015 r. dokonał tego tylko jeszcze jeden himalaista) i w trzy godziny zjechał na nartach do podstawy szczytu. Jechał w niezwykłych warunkach. Po lewej miał słońce, bezchmurne niebo i wspaniałe widoki. Po prawej mgłę jak mleko, kończącą się równo z granią. Przy przedwierzchołku Rocky Summit musiał skoczyć z dwumetrowej ścianki skalnej (na ponad 8000 m, bez tlenu!) i ledwo uniknął upadku. Gdzie indziej, w wąskim, słabo zaśnieżonym kominie narty zgrzytały o skały, konieczne było skorzystanie z poręczówek. Poniżej grani zagrażały szczeliny. Broad Peak to szczyt dużo trudniejszy od Sziszapangmy. Andrzej Bargiel mówi, że dla niego ważna jest przygoda. Zjeżdżanie z Broad Peaku mu ją zapewniło. – Jazda była przyjemna, doznania narciarskie bardzo pozytywne, mnóstwo dobrego śniegu, który tak zasypał szczeliny, że niemal ich nie było – oceniał swój zjazd.

Anna Tybor w 2021 r. jako pierwsza kobieta na świecie zjechała na nartach bez tlenu z Manaslu (8163 m).

W tym samym dniu Aleksander Ostrowski i towarzyszący mu Piotr Śnigórski wycofywali się spod wierzchołka Gaszerbrumu II. Uznali, że śnieg jest za słabo związany. Po południu rozpoczęli zjazd z obozu II (ok. 6500 m). Słońce grzało, śnieg był ciężki i wilgotny, Ostrowski jechał pierwszy. Po jednym z jego skrętów ze zbocza oderwała się deska śnieżna, która zaczęła się zsuwać razem z nim. Stok był coraz bardziej stromy, zerwana pokrywa śnieżna pędziła coraz

FOT. REDBULLCONTENTPOOL.COM, FACEBOOK

eprasa.pl 659b2c71ae

szybciej. Aleksander Ostrowski został wepchnięty do szczeliny, błyskawicznie zasypanej przez ciężki śnieg. Wypada wierzyć, że nie cierpiał i zginął natychmiast. Jego towarzyszowi nic się nie stało.

W bazie pod Gaszerbrumem II przebywali wtedy inni wspinacze. 26 lipca trzech pakistańskich tragarzy wysokościowych podjęło próbę poszukiwań, ale bez rezultatu. W tym samym dniu do bazy dotarli Andrzej Bargiel i Dariusz Załuski. Wojsko pakistańskie, ze względu na niebezpieczne warunki, zakazało jednak wychodzenia w górę swoim obywatelom i kolejnej akcji nie zorganizowano. Jak wyjaśniał później Bargiel, on sam nigdy tam nie był, nie wiedział, gdzie iść, i potrzebował pomocy tragarzy, żeby cokolwiek zrobić – ale oni nie mogli wyruszyć, a wyjście bez nich byłoby bez sensu. Stwierdził też: – Trochę mi wstyd za tych wszystkich wspinaczy, którzy byli w bazie pod Gaszerbrumem II, bo nikt w poszukiwania Olka się nie zaangażował.

W drodze na K2

W następnym roku Andrzej Bargiel myślał już o K2, którą pierwszy raz zobaczył, gdy atakował Broad Peak. Był w coraz lepszej formie. W rekordowym tempie zdobył tytuł Śnieżnej Pantery – prestiżowe rosyjskie wyróżnienie przyznawane za pokonanie pięciu trudnych siedmiotysięczników, leżących w dawnych granicach ZSRR. Zajęło mu to 29 dni, 17 godzin i 5 minut. Oczywiście zjeżdżał z nich na nartach.

Pierwszy, udany zjazd z K2 był efektem niezwykłych umiejętności, kondycji i siły zarówno fizycznej, jak i psychicznej 30-letniego Bargiela. Ale to zasługa nie tylko odpowiedniego treningu, lecz chyba także genów i otoczenia. Młody Bargiel jeździł konno, z powodzeniem uprawiał kolarstwo górskie, no i oczywiście szusował na nartach. Pierwsze miał po dziadku, drugie kupił od kolegi w ramach handlu wymiennego. Były nartami do skakania, długimi na 220 cm, więc je obciął i przykręcił inne wiązania. Trzecie dał mu himalaista Ryszard Gajewski za pomalowanie dachu. Od wujka dostał popękane adidasy, które sobie zszył. W wieku 14 lat zaczął startować w zawodach skialpinistycznych, na które jeździł autostopem, bo w rodzinie nie było samochodu.

Od najmłodszych lat był samodzielny i umiał znaleźć własne miejsce wśród siedmiu sióstr i trzech braci. – Mam liczne rodzeństwo, mieszkaliśmy na wsi, rodzice mieli za mało czasu, żeby się nami zajmować, więc musieliśmy sobie radzić. To pomaga w racjonalnym działaniu i rozwiązywaniu trudnych sytuacji.

Rozsadzająca go w dzieciństwie energia bardzo przydaje mu się teraz w górach: – Zapas mocy, energia oraz doświadczenie to klucz do bezpieczeństwa. Wszystko musi być poukładane, nie można działać spontanicznie. Nie lekceważę ryzyka, jestem przecież ratownikiem TOPR, ale przesuwam jego granice dzięki umiejętnościom i doświadczeniu. Mogę więc robić trudniejsze rzeczy, a ryzyko nie jest większe.

Doświadczenie zdobywał najpierw w niższych górach. Niekiedy boleśnie, jak w 2006 r. we Włoszech, gdy podczas mistrzostw świata w skialpinizmie zasypała go lawina. Nie mógł ruszyć nawet palcem, dusił się, tracił przytomność. Na szczęście ratownicy odkopali go w półtorej minuty. Mówi, że gdy na himalajskiej wyprawie znajdzie się w trudnym terenie, to jest pewien tego, co robi, za sprawą doświadczeń z Tatr i Alp.

No i pomocny jest nowoczesny sprzęt, którego nie było kilkadziesiąt lat temu. Telefon satelitarny z lokalizatorem zapewnia stałą łączność i dostęp do prognozy pogody aktualizowanej nawet co godzinę. Andrzej chodzi w lekkich skiturowych butach, z grzałkami dającymi do 50 st. ciepła, nosi ze sobą lżejsze niż kiedyś liny i śruby asekuracyjne, ma kombinezon ze specjalnymi wywietrznikami. Narty są węższe od powszechnie dziś stosowanych carvingowych „płetw", jedna waży ok. 1,3 kg, długość w zależności od wyprawy to 160-170 cm.

Polskim prekursorem himalajskiego szusowania był Jerzy Kukuczka.

Pomaga też dron, który młodszy brat Bartek przerobił i po mistrzowsku nim steruje. Na K2 dron nie tylko filmował i obserwował Andrzeja, lecz także dostarczył do obozu III lekarstwa dla Janusza Gołębia, którego bolały plecy i nie mógł chodzić. Dron doleciał aż na wierzchołek K2, tam wyczerpały się baterie, a Andrzej Bargiel zabrał go ze sobą. Bartek, dzięki dronowi, podał także ratownikom dokładne namiary miejsca, w którym leżał zaginiony i uznany już za zmarłego Rick Allen, wspinający się na Broad Peak. Dron podleciał do niego i kilkakrotnie nawracając, wskazał kierunek bezpiecznego odwrotu ze ściany. W ten sposób Bartek przedłużył Allenowi życie o trzy lata (Szkot zginął na K2 w 2021 r.).

Gdy Andrzej Bargiel zjeżdżał z K2, przyjaciele widzieli go z bazy i doradzali kierunek jazdy, ostrzegając przed skałami i szczelinami poniżej. W 2021 r. dron pomógł w stworzeniu zapierającego dech w piersiach filmu, pokazującego zjazdy Bargiela z dziewiczego Yawash Sar II (6178 m) i pięknej, niewiarygodnie stromej Laili (6096 m, zjazd rozpoczęty 150 m niżej z powodu oblodzenia).

Snowboardziści coraz śmielej atakują góry wysokie.

Przed Polakiem z K2 próbowali zjechać inni doświadczeni narciarze ekstremalni, np. Włoch Michele Fait, który zginął w 2009 r., czy Szwed Fredrik Ericsson, który zabił się rok później. Andrzej Bargiel pierwszą próbę zdobycia i zjechania z K2 podjął w 2017 r. W bazie poznał się wtedy z Karničarem. Nie weszli na szczyt, przeszkodziła pogoda, ale doświadczenia i poczynione wówczas obserwacje pomogły Bargielowi w odniesieniu wielkiego sukcesu w 2018 r. Jak mówił potem, czasem żeby wygrać, trzeba zrobić krok w tył.

Za mało adrenaliny?

Dokonania Bargiela i Ostrowskiego spopularyzowały skialpinizm w Polsce, a pandemiczne zamknięcie wyciągów zachęciło narciarzy do zjazdów pozatrasowych.

Anna Tybor także pierwsze ekstremalne zjazdy zaliczała w Tatrach. Zaśnieżona rysa przecinająca nasz

eprasa.pl 659b2c71ae

najwyższy szczyt to dla niej stok niezbyt trudny. Większym wyzwaniem był Zachód Grońskiego na północnej ścianie Wołowego Grzbietu. Kto go widział, nie może pojąć, jakim cudem da się stamtąd zjechać na nartach.

Tatry szybko przestały jej wystarczać. Gdy skończyła architekturę na Uniwersytecie Jagiellońskim, poszukała pracy w Alpach. Znalazła ją w Livigno, na wysokości ponad 1800 m. Mieszka tam od pięciu lat, zaprojektowała hotel w St. Moritz, jest też ratowniczką górską i członkinią polskiej kobiecej kadry narodowej w skialpinizmie (nader skromnej, bo dwuosobowej). Pięć razy (!) była mistrzynią Polski w skialpinizmie, zajęła drugie miejsce w biegu na Elbrus, weszła na Pik Lenina, regularnie jeździ na rowerze, biega, chodzi na siłownię.

Mimo to góry dostarczają chyba Annie Tybor za mało adrenaliny. Ratowała kiedyś lotniarza, który uderzył w skałę i został sparaliżowany. Dziś sama uprawia paralotniarstwo, tłumacząc tę ryzykowną pasję niechęcią do schodzenia z dużych wysokości.

We wrześniu 2021 r. 29-letnia Anna Tybor poszła na Manaslu. Z bazy wystartowała samotnie około godz. 16 i doszła od razu do obozu III. Tak wyśrubowane tempo sprawiło, że była bardzo zmęczona, kasłała, po noclegu w obozie III zrobiła dzień przerwy. Na wierzchołek ruszyła z dwoma włoskimi kolegami, także narciarzami wysokogórskimi, którzy wcześniej wyszli z bazy. Założyli obóz IV na wysokości 7400 m, po tym biwaku zdobyli szczyt (8163 m) 29 września o godz. 15. Przypięli narty i pojechali do obozu IV na nocleg (spali bez nart), następnego dnia zjechali już do bazy (ok. 4900 m), zabierając po drodze swoje namioty z obozów pośrednich. W trzech najbardziej stromych miejscach korzystali z poręczówek. Czas efektywnego zjazdu z wierzchołka do bazy wyniósł około pięciu godzin.

To, że zjechała bez tlenu, jest historycznym osiągnięciem. Na „niskie" ośmiotysięczniki, takie jak Manaslu, himalaiści zwykle wchodzą bez tlenu, ale w zjeździe narciarskim, gdy trudno regulować oddech, wspomaganie tlenowe jest bardzo przydatne.

Idąc na Manaslu, Anna Tybor stanęła (dosłownie) przed trudnym wyborem: – Między I a II obozem, na wysokości ponad 6000 m trzeba było się wspiąć na niemal pionową ścianę. Próbowałam ominąć to miejsce, ale drogę zagrodziła szczelina. Z 10 minut zastanawiałam się, czy skoczyć. Byłam sama, gdyby się nie udało, nikt by nawet nie wiedział, gdzie wpadłam. Na szczęście zobaczyłam światło czołówki, to był Szerpa idący do obozu II. Przy nim skoczyłam – opowiada.

W Bieszczadach zimą odbywa się memoriał Olka Ostrowskiego w narciarstwie wysokogórskim. W 2020 r. zwyciężyli ratownicy z bieszczadzkiej grupy GOPR, Jan Koza i Tomasz Ostrowski. On też jest skialpinistą, tak jak jego tragicznie zmarły brat. Góry mają – na szczęście albo niestety – wielką siłę przyciągania.

Andrzej Dryszel

eprasa.pl 659b2c71ae

Boże Narodzenie spędzone w indiańskim kanoe w dorzeczu Amazonki.

Jacek Pałkiewicz

Obywatel świata

Kiedy byłem mały i zbliżały się święta Bożego Narodzenia, przykładałem nos do witryn sklepów z zabawkami, aby wybrać prezent, jaki chciałbym znaleźć pod choinką: kolejkę elektryczną, konia na biegunach, pistolet zabawkę czy ubranie szeryfa. Napisałem list do świętego Mikołaja, a następnie przekazałem go mamie do wysłania. Rankiem wielkiego dnia odkryłem w pokoju tylko słodycze i byłem rozczarowany. Wtedy mama wyjaśniła, że w tym roku święty Mikołaj był biedny i nie mógł zadowolić wszystkich trzech braci, pomyślał więc o osłodzeniu nam tego czasu. Rozumieliśmy sytuację i mimo wszystko byliśmy szczęśliwi. W tamte dni w Boże Narodzenie zawsze było zimno i padał śnieg, więc lepiliśmy bałwana i obrzucaliśmy się śnieżkami. Niezatarte wspomnienia.

Tradycyjnymi zajęciami Ewenów jest hodowla reniferów i myślistwo.

Ojmiakon, biegun zimna na Syberii, gdzie w 1924 r. zanotowano temperaturę –71,5 st. C.

eprasa.pl 659b2c71ae

Wyprawa rzeką Mamberamo w Papui Zachodniej, jednym z najdzikszych zakątków świata.

Nowy Rok na ostatniej tradycyjnej dżonce w archipelagu Ha Long w Wietnamie.

o bożonarodzeniowych świętach

Ta magiczna atmosfera udzielała mi się każdego roku, a szczególnie podczas moich 50-letnich podróży reporterskich, kiedy wielokrotnie przychodziło mi spędzać te święta daleko od domu. Ciążyły mi samotność i nostalgiczne rozmyślania. Tęskniłem za ciepłem domowego ogniska, za wigilijnym stołem, łamaniem się opłatkiem oraz składaniem życzeń pojednania i pokoju przy szopce z figurą Jezusa, za tradycyjną wymianą prezentów czy za czasami pełnymi wzruszeń.

I chociaż Boże Narodzenie, pogańskie święto pod przykrywką chrześcijańskiej uroczystości, przybiera postać coraz bardziej komercyjną i nastawioną na konsumpcję, wciąż zapewnia nam posmak szczęścia i magii.

Z przyjemnością wyciągam z mojego obszernego archiwum (zob. www.palkiewicz.com) trochę migawek ze świąt Bożego Narodzenia spędzonych pośród szczytów Bhutanu, tajemniczych świątyń Angkoru czy surowej przyrody, zatopionej w niegościnnym syberyjskim klimacie.

Książka *Palkiewicz.com* ukazuje 50 lat reporterskich podróży Jacka Pałkiewicza

ZDJĘCIA Z ARCHIWUM AUTORA

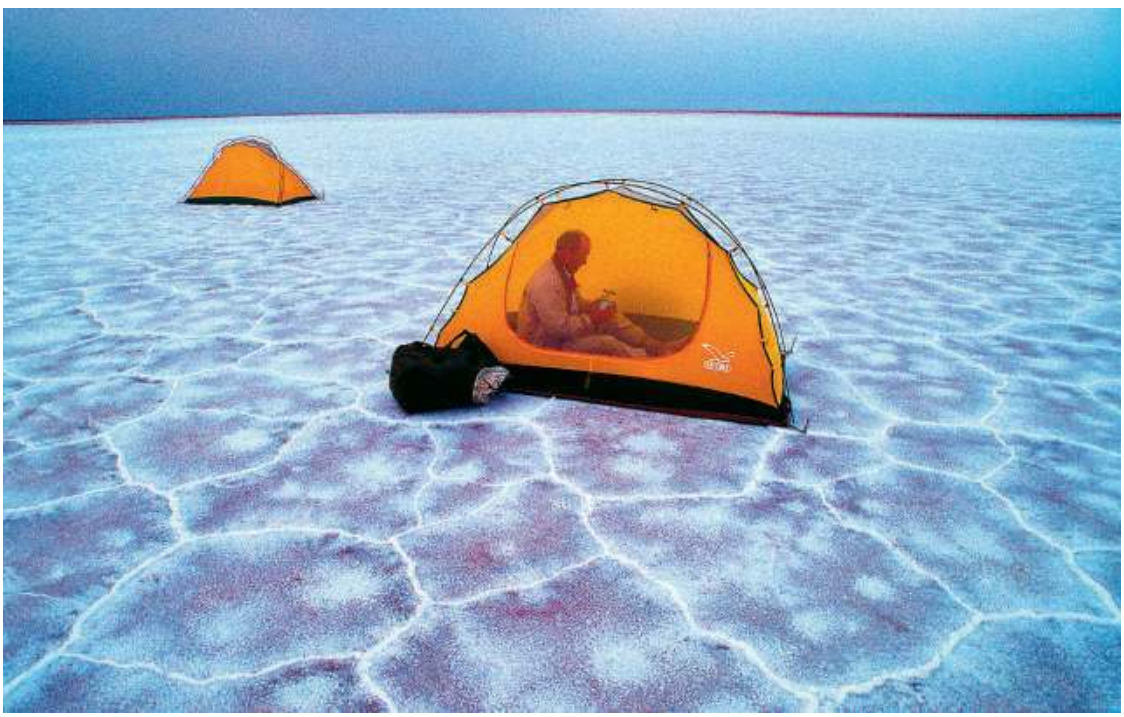

Pustynia Atakama. Surrealistyczna Wigilia bez choinki, śniegu, z dala od bliskich.

eprasa.pl 659b2c71ae

JOLKA

1	2	3	4	5	6	7	8

9	10	11	12	13	14	15

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15 utworzą końcowe hasło.

- nad tym morzem Zadar
- kładzenie nacisku, wyróżnianie
- rzeka w Rosji i Chinach, a biały to ryba
- duże mieszkanie z luksusami
- powierzchnia pod uprawę
- bezczelna pewność siebie
- zawierał go eternit
- bokobrody, faworyty
- słabość i zrezygnowanie
- kierowanie się obiektywizmem, neutralność
- partactwo
- „Moje… krowy” Kingi Dębskiej
- substancja z seansów spirytystycznych
- na ten instrument „Syrinx” Debussy'ego
- coś absolutnie doskonałego
- do niego to całkowicie
- chrześcijanka uznająca zwierzchność papieża
- żołnierz na koniu
- atmosferka
- turoń albo z gwiazdą lub szopką
- duży pokój lub sala w zamku
- w oknie albo na materiale
- kształt diagramu sudoku
- święty, biskup Jerozolimy z lat 314-334
- przeciwieństwo minimum
- wprowadza zamieszanie i niepokój
- moczary, rojsty
- …podatku zwracana przez urząd skarbowy
- kapitan „Nautilusa”
- mydlić je to kłamać
- ozdoba kolekcji
- guzik z nią to nic
- złość jej szkodzi w powiedzeniu
- gwałtowny i porywczy
- roztropność, skłonność do namysłu
- z zerem na zielonym polu
- odgłos ze stajni
- był mężem Ksantypy
- wyrób przedmiotów z drewna
- osoba, w której jest się zakochanym
- pospolity zając
- mężczyzna o ciemnych włosach
- najpiękniejsze w całym roczku idą
- …milonga
- rzemień, pas, sznurek do wiązania
- chlebem i solą
- kulowy do przyczepy
- maku lub piasku

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1044”. Do rozlosowania DVD „Listy do M4” ufundowane przez Kino Świat. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ. XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 grudnia 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1041” z nr. 49: *Złośliwi starzeją się szybciej.* Nagrody otrzymują: Józef Kocaj z Harty, Mieczysław Małecki z Warszawy, Olga Obara ze Świebodzina.

eprasa.pl 659b2c71ae

KRZYŻÓWKA Z KONTUREM

Rozmieszczenie reszty numerów i czarnych pól w diagramie należy ustalić samemu.

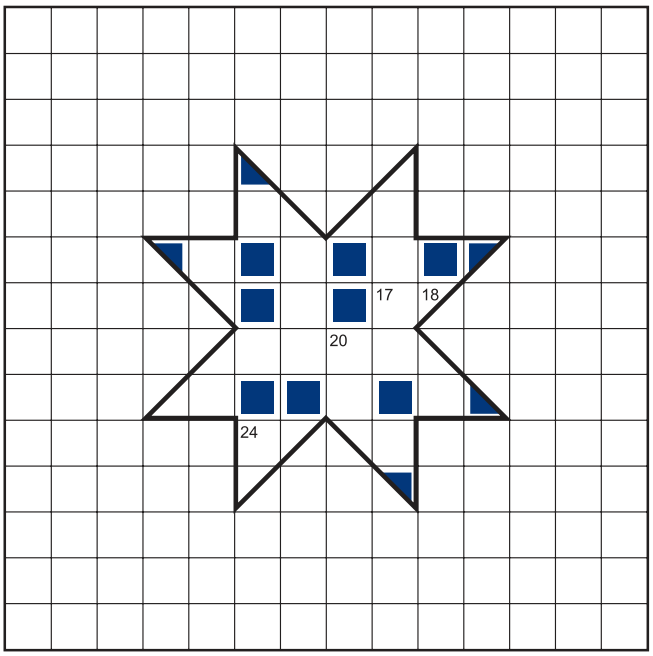

Poziomo:

1) podróżowanie z machaniem
9) magnificencja na uczelni
10) rozsławianie w utworze literackim
11) ruch, by ujść przed ciosem
14) uzdrowiciel (ale bez energo)
15) imię skoczka Stocha
17) królowa Gruzji i malarka Łempicka
19) miał lampę z dżinnem
21) …i wyprost tułowia
23) tam dzieci bez rodziców
25) walijski lub szkocki wśród psów
26) usunięcie ze służby, z uczelni
27) Przybora lub Mordasewicz
28) Tadek z wierszyka Chotomskiej

Pionowo:

2) za nim panny sznurem
3) kierowanie na coś reflektorów
4) Zanzibar jej częścią
5) układane pod choinką
6) angielski harcerz
7) zakręcane na wałkach
8) udaje złoto
12) irygacja to sztuczne… pól
13) kęsek, cząstka, odrobina
16) pyta respondenta
18) szklaneczka jak rodaczka Jane Austen
20) piekarnicze lub winiarskie
22) barczysty i ma krzepę
24) imię reżysera Axera

WIRÓWKA

Pierwsze litery odgadywanych słów ujawniono. Kolejne należy wpisywać zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zaczynając od pola z kreską. Rozwiązanie końcowe powstanie w zaznaczonych polach, czytane od kropek w dół.

1) buraczane liście na zupę
2) drink Bonda
3) milczek, mruk
4) szeleszczący w portfelu
5) zwarta grupa kolarzy
6) brat polski, np. Faust Socyn
7) żałobny wehikuł
8) makaron i zgrubienie źdźbła
9) sanki sportowe na tor
10) precyzja i subtelność wykonania
11) szacunek, poważanie
12) jednostka o skrócie kW
13) film o policjancie cyborgu z Detroit
14) masa do tymczasowego wypełnienia ubytku w zębie
15) miasto z browarem Okocim
16) Fred, aktor i tancerz
17) jeden z 12 uczniów Jezusa
18) koszulka w dużym rozmiarze
19) wolna godzina w planie lekcji
20) kryterium oceny czegoś
21) klika, klan, stronnictwo
22) pani doktor
23) trasa koncertowa
24) wojskowa zapora z drutu kolczastego

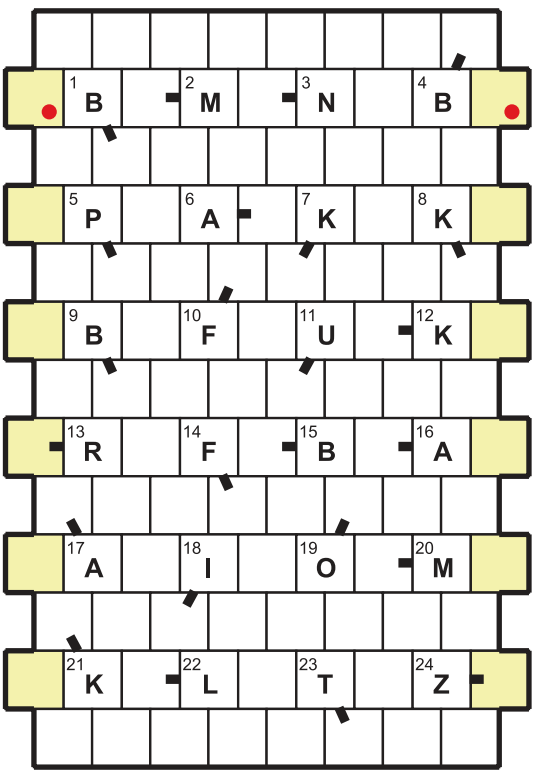

SUDOKU

Uzupełnij diagramy, tak by w każdym rzędzie, w każdej kolumnie i w każdym kwadracie 3 x 3 znalazło się 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

			9			5		4
1	5				4			2
	2			1	3		8	
4				7	9	1	5	8
		5	4					9
8		7		3				6
	8	6	3		2		4	
7		2	6					
				9	7			

TRUDNE

			2					9
	8	5	7	4	6			2
	3		1			5		4
				1				5
4	5				9		2	3
		6				8		
1					3			
		3		6			4	1
	6	7			1	9		

Rozwiązania na s. 64

eprasa.pl 659b2c71ae

Nieuctwo szkodzi

Rozczarowanie szefów PiS i rządu rezultatami szczytu Biden-Putin nie dziwi. Dla nich polityka zagraniczna i jedno z jej narzędzi – dyplomacja – dobre są wtedy, gdy przeciwnik zostaje unicestwiony, pogrążony. Przeciwnik, czyli w tym wypadku Rosja i prezydent Putin. A tymczasem Putin ma się dobrze. Więc kręcą głową…

Szanowni panowie z PiS, nawet w szczycie zimnej wojny doktryna Trumana głosiła „powstrzymywanie" komunizmu, a nie jego unicestwienie. Jeszcze inaczej ujmują to Chińczycy, którzy nie dopuszczają do utraty twarzy przez przeciwnika. Wiedzą bowiem, że byłby wtedy znacznie groźniejszy. To jedna z podstaw, których uczą na temat dyplomacji na uniwersytetach od Moskwy, przez Wiedeń, do Georgetown.

Uczcie się więc, panowie z PiS! To hasło ponadczasowe. Prof. Oskar Lange w rozmowie z Władysławem Gomułką pod koniec lat 50. skrytykował politykę gospodarczą partii. Nie mając argumentów, I sekretarz odpowiedział, że uczymy się na błędach. Panie sekretarzu – ripostował profesor – lepiej uczyć się na uniwersytetach!

Minister vel Sęk woli uczyć się na błędach. Potwierdził to w wywiadzie telewizyjnym przed wizytą nowego kanclerza Niemiec w Warszawie. Chwalił w nim ambasadę RP w Berlinie, że przed wyborami utrzymywała kontakt ze wszystkimi ważnymi partiami w niemieckiej polityce. Czyli nie powtórzyła błędów ambasady RP w USA przed ubiegłorocznymi wyborami prezydenckimi.

Czyżby? Gdyby minister vel Sęk rzekł, że ambasada zachowywała równy dystans – byłby bliski prawdy. Rzeczywiście tak było – był równy dystans. To znaczy taki, że z żadną z partii, tych ważnych, ambasada dobrych kontaktów nie utrzymywała.

A można inaczej! Tak było np. od początku lat 90. do roku 2016 na Węgrzech. Mogą o tym powiedzieć zastępcy i ambasadorzy w Budapeszcie: prof. Bogdan Góralczyk (jest nie tylko sinologiem, ale również hungarystą), Rafał Wiśniewski, Roman Kowalski czy Joanna Stępińska. Pracując na Węgrzech, utrzymywali dobre stosunki ze wszystkimi partiami, od socjalistów, przez Orbána, aż po Jobbik.

W stosunkach USA-Rosja, w ich aspekcie ukraińskim, ponowną młodość przeżywa pojęcie finlandyzacja. Po wojnie zimowej 1939 r. i sojuszu z Hitlerem Finowie w 1944 r. sojusze odwrócili, a ich prawicowy prezydent Risto Ryti, ten który podpisywał z ZSRR pokój po wojnie zimowej, ustąpił, aby to umożliwić. Po 1945 r. Finlandia w zamian za zgodę na oddanie ZSRR części Karelii, przesmyku karelskiego z miastem Viipuri (Wyborg), baz wojskowych i deklarację neutralności w polityce zagranicznej uzyskała zgodę na demokrację i wolny rynek w polityce wewnętrznej. Dla obu stron ten kompromis nie był łatwy i określa się go jako finlandyzację. Ale w długofalowej perspektywie obu stronom przyniósł wielkie korzyści. Moskwie tę, że do dziś Finlandia jest neutralna. A Finlandii umożliwił olbrzymi rozwój gospodarczy, przekładający się na dobrobyt ludności. Przed 1939 r. II RP znacznie wyprzedzała pod tymi względami Finlandię. Natomiast już u progu lat 60. było odwrotnie.

Jeśli ktoś chce szukać przykładu na potwierdzenie tezy, że rozum i umiar dają więcej niż infantylne wyobrażenia, to ma go jak na dłoni.

Attaché

Efektowne salto humbaka u wybrzeży australijskiej Nowej Południowej Walii.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 659b2c71ae

PENETRACJE

MARIAN TURSKI, KIEROWNIK DZIAŁU HISTORYCZNEGO „POLITYKI", BYŁY WIĘZIEŃ AUSCHWITZ

Nie zarabiam kroci, choć zarabiam przyzwoicie, ale co miesiąc przeznaczam 15% mojego dochodu na cele dobroczynne. Nie lubię dawać żebrakom pieniędzy. Ale jeżeli przechodzi obok mnie ktoś głodny, to mam nie dać mu na chleb? Jeżeli dziecko na granicy jest przemarznięte, to mam odwrócić głowę? Mogę być obojętny, że ktoś błąka się dwa tygodnie po lesie, bo boi się, że jakiś polski myśliwy doniesie na niego do Straży Granicznej? Nawet jeśli rzeczywiście sprawi nam duże kłopoty, to przecież w tej chwili umiera z głodu, z zimna, pragnienia. Jak możemy odwracać głowę?

MARCIN WIĄCEK, RZECZNIK PRAW OBYWATELSKICH

Byłem głęboko poruszony. Nigdy nie miałem z czymś takim do czynienia. Nigdy nie byłem w tak bezpośrednim kontakcie… W lesie zobaczyłem ludzi szukających lepszego życia, wyziębionych, głodnych, chorych. Dzieci zobaczyłem. To moje pierwsze takie doświadczenie. I dlatego doszedłem do wniosku, że jako rzecznik praw obywatelskich muszę tam pojechać, zobaczyć, co się dzieje z uchodźcami przy polsko-białoruskiej granicy. To bardzo silnie wpływa na emocje człowieka, który wcześniej zajmował się tym tylko w teorii.

ALEKSANDRA KURZAK, DIWA OPEROWA

Roberto (Alagna) budzi się rano z sycylijskim słońcem na twarzy i z ogromnym uśmiechem, i we wspaniałym humorze. A ja jestem naburmuszona i zachmurzona. Od rana jestem obrażona na pół świata. Mniej więcej po godzinie, półtorej zaczynam się normalnie odzywać do domowników. Roberto jest typowym artystą, trochę bujającym w chmurach. Pisze książki, wiersze, komponuje melodie, piosenki. Ja za to ogarniam remonty, rachunki, jestem logistykiem tej rodziny. Jestem artystką, ale taką, która lubi mieć porządek, bo mi to daje spokój. Poza tym lubię być diwą, ale od dziewiętnastej, gdy kurtyna idzie w górę. Do dziewiętnastej jestem zwykłą kobietą, matką, żoną i… kochanką.

MAGDALENA CIELECKA, AKTORKA

Teatr daje mi możliwości mierzenia się z czymś nowym, daje czasem zupełnie niesamowite wyzwania – jak zagranie starej i schorowanej Elizabeth Taylor. Za to w kinie ciągle jestem w szufladzie, którą mam nadzieję wreszcie rozsadzić. W lutym przyszłego roku skończę 50 lat. To oczywiste, że jestem inna niż wtedy, gdy miałam lat 20. Dziś o wielu sprawach, także o sobie, myślę inaczej niż kiedyś. Jak raz ktoś cię wsadzi do jakiejś szuflady, to staje się ona częścią twojego wizerunku. A przecież zmieniamy się nieustannie. Więc ferowane o nas wyroki tracą aktualność. Dostałam łatkę zimnej blondynki, *femme fatale* albo ostrej babki, ale czy cały czas muszę się z tego tłumaczyć czy demaskować?

Jedno ze zdjęć roku 2021 Agencji East News. Józef Hen po otrzymaniu nagrody „Dzieło życia" za całokształt twórczości. Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida przyznaje Samorząd Województwa Mazowieckiego.

FOT. EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. ANDRZEJ ROTTERMUND O ODBUDOWIE PAŁACU SASKIEGO

Po co? Jest pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia symbolicznego.

KRZYSZTOF VARGA O WIZJI NOWEGO STANU WOJENNEGO

Stan wojenny wprowadzany rękami Błaszczaka i Kamińskiego przy merytorycznym wsparciu Sasina i Suskiego rozgrzewa mi wyobraźnię. Byłaby to akcja brutalna, ale chaotyczna, groteskowa i kompromitująca nieudacznictwem.

JERZY URBAN O LEKTURACH

Czytam rewelacyjną książkę Roberta Walenciaka „Gambit Jaruzelskiego. Ostatnia tajemnica stanu wojennego". Pilnie czytam „Przegląd".

PROF. RAFAŁ MATYJA O CHARAKTERZE POLSKIEJ POLITYKI

Zbudowano bardzo sprawny system oparty na bardzo wąskich partiach, klientelistycznych, zarządzanych autorsko.

MARIA SADOWSKA O WSPÓŁPRACY Z DODĄ

Ja jestem wolnościową lewaczką, ona jest konserwatywna, ja jestem artystyczna, ona komercyjna, mimo to znalazłyśmy zbiór wspólny.

EWA KASPRZYK O WYZWOLENIU KOBIET

Coraz więcej kobiet się wyzwala, bo są otwarte i mądre. A co więcej, są mądrzejsze od mężczyzn.

LESZEK LICHOTA O WIDZU

Jako widz uważam, że im mniej wiem o aktorze, tym bardziej mu później wierzę, gdy udaje kogoś innego.

ANNA DERESZOWSKA O 40. URODZINACH

Czas łagodzi mój temperament, który jest fajny, ale bywa męczący.

KUBA WOJEWÓDZKI O TOMASZU KAMMELU

Naczelny konferansjer „dobrej zmiany" wyznał, że w wielu sytuacjach milczenie jest złotem. Powinien częściej słuchać siebie.

OLGA BOŃCZYK O PLANIE NA SIEBIE

Idę swoją drogą, choć często pod prąd, nie ufam zbiorowym zachwytom.

eprasa.pl 659b2c71ae

MEMY BEZ ŚCIEMY

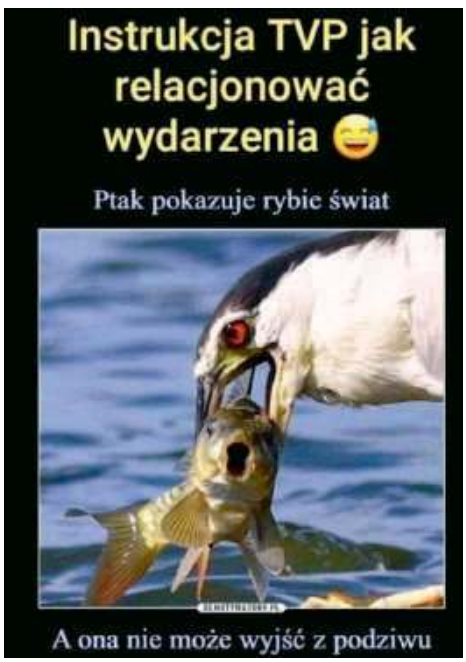

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Do garbu na skróty

W Arabii Saudyjskiej kilkadziesiąt wielbłądów uczestniczących w dorocznym konkursie piękności zostało zdyskwalifikowanych w związku z nielegalnym poprawianiem urody. Już w pierwszych dniach Festiwalu Wielbłądów udowodniono niektórym hodowcom stosowanie hormonów w celu wzmocnienia mięśni zwierząt, ostrzykiwanie ich warg i policzków botoksem czy „pompowanie" garbów. Pokusa oszukiwania jest ogromna, gdyż pula nagród wynosi 66 mln dol. Prawda, że to silniej działa na wyobraźnię niż klasyczne „ucz się i pracuj, a garb ci sam wyrośnie"?

Prawdziwych przyjaciół poznaje się… na bani

W Olsztynie pijana zakonnica spowodowała wypadek drogowy, a następnie udawała, że to nie ona. 37-letnia służebnica boża z 2 promilami alkoholu w organizmie uciekła z miejsca zdarzenia, po czym wróciła z koleżanką, która zeznała, że to ona doprowadziła do stłuczki. Uczynna znajoma zmieniła jednak swoje oficjalne stanowisko, gdy dowiedziała się, że grozi jej utrata prawa jazdy. Chyba czas na nowe: używkę, kumpelkę i Anioła Stróża.

Patron komercji i napojów gazowanych?

Sycylijska diecezja Noto wystosowała oficjalne przeprosiny, po tym jak biskup ordynariusz powiedział grupie dzieci, że Święty Mikołaj nie istnieje. Antonio Staglianò w czasie spotkania z najmłodszymi wiernymi niespodziewanie stwierdził, że znana im postać w czerwonym stroju jest wytworem firm, m.in. Coca-Coli, służącym celom reklamowym. Ks. Alessandro Paolino, diecezjalny dyrektor ds. komunikacji, zapewnił, że intencją biskupa nie było odarcie Bożego Narodzenia z uroku, chciał po prostu umożliwić dziatwie głębszą refleksję – począwszy od historycznej postaci św. Mikołaja, który rozdał majątek potrzebującym – nad sensem hojności i solidarności. Święty Mikołaj nie skomentował sprawy, za to wyrazy otuchy publicznie przekazali mu Dziadek Mróz, Śnieżynka oraz renifery i elfy.

Stażystka z zapałkami

W Lublinie 38-letnia stażystka jednej z firm podpaliła jej sekretariat. Kobieta wyciągnęła z szafki stos dokumentów, a następnie zaprószyła ogień, wywołując straty oszacowane na 70 tys. zł. Przesłuchującym ją policjantom szczerze wyjaśniła, że była zirytowana, ponieważ pracodawca oraz współpracownicy zaburzali jej dzień pracy, zlecając coraz to nowe zadania. A mogła skłamać, że po prostu robota paliła jej się w rękach!

Kto przegina, tego wina

W Wieliczce zatrzymano budowę nowej siedziby pogotowia ratunkowego, gdyż okazało się, że garaż jest za mały dla karetek. Jak wyjaśnił jeden z urzędników, ambulans jest w stanie wjechać, „ale za każdym razem trzeba byłoby składać m.in. anteny, a na to nikt nie ma czasu". Starostwo zleciło audyt, by ustalić, ile będą kosztowały zmiany w postawionym

ROZWIĄZANIA: KRZYŻÓWKA Z KONTUREM, WIRÓWKA, SUDOKU

■	A	U	T	O	S	T	O	P	■	S	■	L
T	■	N	■	Ś	■	A	■	R	E	K	T	O
O	P	I	E	W	A	N	I	E	■	A	■	K
M	■	F	■	I	■	Z	■	Z	■	U	N	I
B	I	O	T	E	R	A	P	E	U	T	A	■
A	■	R	■	T	■	N	■	N	■	■	W	■
K	A	M	I	L	■	I	■	T	A	M	A	R
■	N	■	■	A	L	A	D	Y	N	■	D	■
S	K	Ł	O	N	■	■	R	■	G	■	N	■
■	I	■	S	I	E	R	O	C	I	N	I	E
T	E	R	I	E	R	■	Ż	■	E	■	A	■
■	T	■	Ł	■	W	Y	D	A	L	E	N	I
J	E	R	E	M	I	■	Ż	■	K	■	I	■
■	R	■	K	■	N	I	E	J	A	D	E	K

	I	N	R	T	E	M	T	A				
W	B	A	M	I	N	O	B	N				
	T	O	I	N	A	W	N	K				
E	P	N	A	R	K	A	K	O				
	L	E	A	I	A	N	L	O				
S	B	J	F	N	U	I	K	W				
	B	O	Z	E	Z	E	T	A				
O	R	C	F	R	B	S	A	I				
	P	O	E	L	O	K	E	R				
Ł	A	S	I	K	O	I	M	N				
	O	T	K	A	N	E	K	I				
A	K	E	L	R	T	E	Z	A				
	I	R	A	K	U	O	I	S				

Rozwiązanie: WESOŁA NOWINA

ŁATWE

3	7	8	9	2	6	5	1	4
1	5	9	7	8	4	6	3	2
6	2	4	5	1	3	9	8	7
4	6	3	2	7	9	1	5	8
2	1	5	4	6	8	3	7	9
8	9	7	1	3	5	4	2	6
9	8	6	3	5	2	7	4	1
7	3	2	6	4	1	8	9	5
5	4	1	8	9	7	2	6	3

TRUDNE

7	4	1	2	3	5	6	8	9
9	8	5	7	4	6	3	1	2
6	3	2	1	9	8	5	7	4
3	7	9	8	1	2	4	6	5
4	5	8	6	7	9	1	2	3
2	1	6	3	5	4	8	9	7
1	2	4	9	8	3	7	5	6
8	9	3	5	6	7	2	4	1
5	6	7	4	2	1	9	3	8

eprasa.pl 659b2c71ae

Mecz Rosja-Kanada podczas międzynarodowych rozgrywek Channel One Cup organizowanych w Moskwie.

już obiekcie. – Niestety, takich mamy teraz projektantów, że patrzą tylko na to, by wziąć kasę, a później wszelkie poprawki robić w trakcie tzw. nadzorów. Ale w tym wypadku projektant, mówiąc brzydko – przegiął, bo ten błąd powoduje, że musimy te garaże przebudować – skomentował starosta Adam Kociołek. Według niego kosztami aktualizacji projektu oraz przebudowy zostanie obciążony projektant. A te mogą się okazać słone…

Kto (sprze)daje i odbiera…

Policja zatrzymała 32-letniego mieszkańca Ostrowa Wielkopolskiego, który najpierw bezprawnie sprzedał auto konkubiny, a następnie je ukradł. Mężczyzna zbył audi, podrabiając podpis partnerki na umowie, ale zatrzymał kluczyk. Gdy zauważył na portalu ogłoszeniowym, że nowy właściciel samochodu wystawił go na sprzedaż, przyjechał do powiatu kłodzkiego i gwizdnął pojazd. Organom ścigania udało się jednak ustalić sprawcę, zabezpieczyć wehikuł i przekazać właścicielce, która dopiero od mundurowych dowiedziała się, co naprawdę się z nim stało. Domyślamy się, kto w tym roku znajdzie pod choinką same rózgi...

FOT. DEMOTYWATORY.PL, FACEBOOK, REUTERS/FORUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Robert Walenciak **e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl**
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator ds. komunikacji i PR:
Piotr Ciszewski **e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl**
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 659b2c71ae

Magdalena Rytel-Skorek, Za chwilę zaczną się tańce, 2019

Dominika Kędzierska, May, 2021

Sztuka w prezencie

W okresie świątecznym szczególną uwagę poświęcamy bliskim, przygotowując dla nich niepowtarzalne, niesamowite prezenty. Warto poszukać inspiracji w warszawskiej galerii sztuki Stalowa, gdzie można znaleźć oryginalny upominek.

Galeria Stalowa
Warszawa, ul. Stalowa 26

Marzena Nalepa, Bez tytułu, 2021

Jolanta Mikuła, Akt siedzący (kopia według Amadea Modiglianiego), 2015

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 659b2c71ae

TEATR CAPITOL

Magiczny sylwester 2021/2022

Daj się porwać muzyce i magii teatru!

TEATR CAPITOL Duża Scena

A MI TO RYBKA!

Wystąpią:
Łukasz Nowicki, Daria Widawska
Olga Nowicka, Paweł Koślik

START godz. 18:00
- życzenia noworoczne od Aktorów
- Słodkie Marzenie od Cheesecake Corner i kieliszek wina / w przerwie spektaklu
- noworoczny upominek od Manufaktury Cukierków

Bilety od 299zł

START godz. 21:30
- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu zaczarowana impreza do białego rana!
- muzyka na żywo oraz DJ
- wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 4:00

Bilety od 699zł

KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni: MAXXX, Tygodnik, Rzeczpospolita, ams, onet, Przegląd, Kobiety

Partnerzy Teatru: MKZ PARTNERZY, Obag.pl, STREFA MUSIC, PLZ, ARTYWNA WARSZAWA, Cheesecake Corner, Manufaktura Cukierków

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 659b2c71ae

TY WPŁACASZ DOWOLNĄ KWOTĘ A WYDAWNICTWO "NASZA KSIĘGARNIA" JĄ PODWAJA

AKCJA CHARYTATYWNA
#100 tysięcy na 100-lecie

Kliknij w link do zbiórki i weź udział w akcji

ZBIERAJ Z NAMI!

100 lat
Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Fundacja Dziecięca Fantazja

eprasa.pl 659b2c71ae